

**Włodzimierz Kowalewski**

# **Bóg Zapłacz!**

*Wszelkie podobieństwo do osób, rzeczy, sytuacji - będzie przypadkowe.*

Był tu już przedtem czy nie? Może i tak. Może był.

Nogi obsuwały się w topniejącym śniegu, zimna wilgoć przenikała do butów, wsiąkała w skarpety, zlepiając palce, chlupotała przy każdym kroku. Nie mógł iść pewnie. Zrywy wilgotnego wiatru szarpały połami płaszcza, które bezradnie usiłował przytrzymać na brzuchu, a mimo to chłód wciskał się pod spód, wypełniał ubranie, spływał po plecach. Każda część ciała dygotała innym rytmem, strugi potu spod czapki mieszały się na policzkach z deszczowymi kroplami.

Skulony, brnął tak przez środek placu targowego, grzęznąąc co chwila w roztajałej, brunatnej mazi ze śniegu i błota, omijając zamrożone jeszcze, śliskie kałuże końskiego moczu. Pokraczne ptaszyska kołowały nad ziemią z przeraźliwym wrzaskiem. Powietrze było gorzkie od dymu, drobinki sadzy z kominów czuł na gołych rękach, nawet na języku, kiedy łapczywie wciągał ogromne hausty.

Wieczór zapadał już nad tym miasteczkiem. Hełm ratuszowej wieży, przypominający wielki, przerdzewiały strąk papryki, ginął w coraz gęstszej szarości, niżej kulawa kobieta zakładała żelazne sztaby na okienko budki z piwem, niewyłączony megafon chrząkał taktami akordeonistów Dzierżanowskiego, rozmiatając je z deszczem i wiatrem po pustych ulicach. Wszystko tu grało tonami szarości, jaśniejszymi i głębszymi, czasem tylko przybierającymi odcień bury albo wprost czarny - jak na zakurzonym landszafcie, który ktoś dopiero co wyciągnął z piwnicy.

Nagle zapaliły się w oknach brudnożółte żarówki, zapłonął też samotny napis „Wiejski Dom Towarowy” i kilka skąpo rozstawionych latarni, rzucających słabe blaski na bruk. Ciężarówka, lublin o masce podobnej do psiego pyska, przejechała, trzepocząc odpiętą, mokrą plandeką.

Wydostał się wreszcie na jaki taki chodnik, obstukał zabłocone buty i dalej ruszył przed siebie. Chyba nawet nie szedł, ale płynął wzdłuż majaczących już tylko w sinawej poświacie pni nagich drzew, wdychał bijące zza niedomkniętych drzwi wyziewy zgniłych kartofli i gotowanej bielizny. Minął zamknięty na głucho sklep spożywczy, potem cienie tajemniczych postaci o twarzach rozjarzających się na krótko od papierosowych ogników, furmanki przed składem opałowym z lampą w blaszanym kloszu kołyszącą się nad bramą.

Ojciec stał przy kiosku. Właściwie wisiał, oparty łokciami na szerokim parapecie, wciskając głowę do środka przez odsuniętą szybkę. Mówił coś do sprzedawczynie, której twarz w białym świetle, bijącym gdzieś od wewnątrz, wyglądała jak pośmiertna maska. Jakby przeczuwając jego nadejście, ojciec wyprostował się nagle i odwrócił. Był wielki, chudy, między kolanami ścisnął aktówkę, którą zaraz przełożył

Obydwo ogarnął niepowtarzalny, pełen tęsknoty zapach kioskowych wnętrz; wonie świeżych gazet, kwaśnego tytoniu, zabawek z plastiku, mydła „For you” i taniej wody kolońskiej; zapach jedyny na świecie, niespotykany nigdzie przedtem ani potem.

- Nie ma, cholera jasna, radomskich w dziesiątkach, tylko te krakowskie gwoździe są! -

ojciec pokazał mu paczkę sportów zaklejoną niebieską banderolką i wściekle zgarnął bilon reszty ze sterty niesprzedanego „Głosu Pracy”.

- Może gdzieś dalej będą, tatuś. Po co się tak jadowić.

- Jaki ja zmęczony jestem. Jak cholernie zmęczony! - ojciec nerwowo potarł czoło pod beretem obszytym ciemną skórką. - Muszę jechać. Mam pociąg do Prabut o osiemnastej czterdzieści dwie, tyle jeszcze, cholera, czasu! Tyle czasu! Chodź, Iruś - pociągnął go za rękaw. - Chodź, chodź... Do kawiarni pójdziemy. I tak muszę na dworzec, a to zaraz obok. Okropna dziura, nie uważasz? Jedna jedyna kawiarnia, i to spelunka, cholera, prawdę mówiąc! Jest jeszcze mordownia w hotelu na dole, ale daleko, zresztą strach wchodzić. Wczoraj głodny spać poszedłem...

Ciemną salkę tylko trochę oświetlały trzy kinkiety, trzy migotliwe plamy rozlane po przybrudzonym tynku. Przez kłęby papierosowego dymu widział wszystko jak przez zaporowane szkło. Ludzkie sylwetki o mglistych kształtach tkwiły nad blatami stolików, otaczały żagielki papierowych serwetek, szczękając szklankami, podając sobie ogień zapalkami ukrytymi w dłoniach; czasem ktoś wstawał i przemykał na tle bufetu, za którym rządkiem etykiet słodkich wódek, gruzińskich i bułgarskich winiaków zlewał się w jeden kolorowy zygzak.

Usiedli pod oknem, na krzesłach z metalowych rurek, o rozprutych siedzeniach i oparciach naprawionych potem byle jak grubą żyłką.

Po drugiej stronie opustoszałego skweru, za kikutami jakichś gołych krzewów majaczył w mroku budynek dworca z samotną taksówką przycupniętą przy krawężniku naprzeciw wejścia.

Ojciec otworzył aktówkę, wyjął gruby zeszyt ze starannie wykaligrafowaną naklejką, zapisane gęsto formularze, bloczki czystych druków. Ułożył je przed sobą, strzepnąwszy niewidoczne paprochy, a potem uważnie podnosił do oczu, porównywał, głośno mamrocząc, wpisywał coś do zeszytu i wkładał pomiędzy niektóre strony szeleszczące płatki ołówkowej kalki.

- Dzisiaj do Prabut - westchnął - a jeszcze do Pizsa, do Bisztynka. do Olecka, do Sępopola, do Gołdapi, do Bartoszyć... Wszędzie tam, gdzie magazyny zbożowe. Życia, pieskiego życia, cholera, nie starczy. Jak ja bym chciał już przyjechać do domu, zupę zjeść jakąś lepszą, na tapczanie się wyciągnąć z godzinkę...

Nad stolikiem wyrosła zamazana figura, a prawdę mówiąc, przez gęstwinę sali przyzeglowały dwa jaśniejsze owale twarzy i fartuszka. Zobaczył przed sobą talerz z ciastkiem, nieco dalej dwie butelki oranżady. Bardzo chciało mu się pić. Fajansowy kapsel na drucie zadzwonił o szkło. Pyskający bąbelkami napój nie miał jednak w sobie żadnego chłodu ani ciepkości, w ogóle nie czuł go w ustach, gardle; raczej na całym ciele.

- Pij, Iruś, pij... Ciacho wtrząchnij, to wuzetka, zobacz... - ojciec pedantycznie zakręcał chiński długopis. - Czemu ty, cholera, nic nie mówisz, Iruś? Znowu nie masz nic dopowiedzenia,

co?

- Mam jeść na rozkaz, pić na rozkaz i jeszcze gadać, kiedy każeś? - przełknął z trudem kawałek ciastka smakujący jak wata. - Nie chce mi się. Mało kiedy cokolwiek mi się chciało, a już najmniej wykonywać rozkazy.

Ojciec jakby skurczył się, zmalął albo trochę odpłynął do tyłu, w przestrzeń kawiarni. Tak jak zawsze, gdy sytuacja wymagała pryncypialnego rozsądku, zsunął okulary na czubek nosa i kategorycznie spojrzał znad szkielec. Wypraktykował ten odruch podczas zebrań egzekutywy partyjnej, narad u dyrektora oraz wydawania zaleceń pokontrolnych magazynierom zbożowym.

- A jednak ty, cholera, głupi jesteś, Iruś! - mimo chwilowej znikomości postaci przemówił donośnie i ostro. - Co znaczy: jeść na rozkaz, pić na rozkaz, mówić na rozkaz? Co w ogóle znaczy takie podejście albo to parszywe zdanko: „Nie chce mi się!”? Dla mnie to tylko niegrzeczna odżywka rozpieszczonego berbecia, dostaje za coś takiego, cholera, w ucho i tyle, i spokój, i koniec. Ale dla ciebie?! To hasło, które wypisaliście, cholera, na narodowych sztandarach. Sympatycznym atramentem, tak, że nie od razu widać! „Gadać na rozkaz, zreć na rozkaz, pić na rozkaz!” - przedrzeźniał, wydymając wargi - to przecież zanik znajomości reguł świata, ty tego nie widzisz, Iruś? Więcej - to ztrata instynktu samozachowawczego. Klęska, tragedia!

Naprawdę nie miał ochoty na żadną rozmowę, na żadne formułowanie zdań, udawanie zainteresowania, przeciwstawianie się albo zgadzanie. Coś zatykało usta, niecierpliwiło i drażniło. Nie wypadało jednak siedzieć w milczeniu, więc wygłosił zarzut:

- Całe życie stoisz na baczność i nigdy nie zaprosiłeś mnie do stołu!

Potem spuścił oczy i dalej grzebał łyżeczką w ku.

Nie poczuł także zdumienia, kiedy oczy, grube i ręce ojca złożone na dokumentach uniosły się gdzie niewidoczny sufit, malejąc jeszcze bardziej, a głos żabi z góry po kaznodziejsku:

- Kłamiesz, przecież teraz siedzisz przy stoliku.

- I co mi z tego? No co mi z tego?!

- Nie możemy się dogadać, Iruś. Patrzymy na te świat, a każdy widzi co innego. Ja przynajmniej coś, cholera, przeżyłem, czegoś tam chciałem. Ty nie wiesz, czego chcesz, a właściwie tego chcesz, czego żaden ojciec nie może dać. Będziecie się tak pałętać aż do śmierci, plątać się w te wasze spodnie - pletwy, trochę tu, trochę tam, bez ładu i składu, z durną miną, krótką pamięcią, z pretensjami do wszystkich o wszystko. Moja reguła jest oczywista, zupełnie taka sama jak upływ czasu, ciężenie, wiosna po zimie. Zwyczajne: muszą być tacy, co umieją rozkazywać, i tacy, co umieją, cholera, słuchać. Zapomnicie o tym, a znikną kontynenty, zatrze się dzień z nocą, wszystko zleje się w jedno, zostanie tylko ogromne trzęsawisko. Ani lasu, ani wody, ani kawałka człowieka dobrego czy choćby nawet złego - tylko trzęsawisko. A jedyne odgłosy, jakie wszędzie będzie słycać, to, cholera, gulgotanie!

Zza nieczynnego, błyskającego niklem poniemieckiego szynkwasu z ukręconymi kurkami od piwa zadźwięczała muzyka; świszcząca, perlista, niepasująca ani do nastroju, ani do rozmowy.

Usiłował ją przekrzyknąć, dlatego mówienie wymagało takiego wysiłku, że aż chwiało się na boki i zapierał w podłogę, która jak miękka guma ustępowała pod obcasami.

- Brednie, dyrdymały! A ty mi zaraz wyjeżdżasz z „regułami świata”! Z czym jeszcze? Tobie się zawsze wydawało, że coś mądrego powiedziałeś, odkrywczego. Tak jest! Tymczasem każdy ksiądz ręce nad tym załamywał w kazaniach, socjologowie biadoleniem zapełniali hektary papieru, idioci przepowiadali Erę Wodnika... Ja sam już nie wiem, jak to powinno być z człowiekiem. Czy życie polega na tym, żeby układać się w foremki krępujące, co prawda, ruchy, ale zawsze nadające określony kształt, czy przeciwnie - rozbijać te foremki, naginać i tłuc, i być zawsze jak rozciapane ciasto... Ale najgorsze, że nie wiem też, jak to z tym w rzeczywistości jest, naokoło, u konkretnych ludzi, a nie w moralnych traktatach. Nigdy nie wiedziałem.

Ojciec wcale nie słuchał. Na powrót zogromniał. Górował nad nim, nad butelkami i talerzami, nad nieświeżym obrusem, pomarszczonym w przyćmionym świetle jak plastyczna mapa słonecznych wyżyn i cienistych dolinek. Nie musiał przekrzykiwać muzyki, uciszał ją słowami.

- Widzisz, Iruś, ja jestem, cholera, człowiek standardowy. Jeżdżę, tułam się po dworcach, hotelach, no bo muszę przecież. Narzekam na swój los, bo kto przy zdrowych zmysłach by nie narzekał. Do partii wstąpiłem, bo tak trzeba, ale komunę klnę po cichu - obejrzał się dyskretnie. - Chyba tylko taki, cholera, co nic nie widzi i nie słyszy, nie przeklina - dodał szeptem. - Bardzo się jednak cieszę, że Bóg daje mi zawsze możliwość jasnego wyboru, że nie zrzucił na mnie tego koszmaru zastanawiania się, dzielenia włosa na czworo, tych wszystkich przewrażliwień, pytań: co by było, gdyby...? Tylko człowiek standardowy, zwyczajny może być szczęśliwy. Szczęście to żadna tam utopia, żadnych zbiegów okoliczności do niego nie potrzeba ani, cholera, specjalnych talentów, nawet pieniędzy nie. Tylko wszystko w tobie musi się dobrze zazębiać i kręcić z odpowiednią prędkością. Wtedy widać, że świat jest piękny - tutaj albo w Górowie Hławeckim, we wsi Olszewnik czy na stacji Trypucie pod Białymstokiem, a nie w jakichś tam, cholera, artystycznych wizjach. Wtedy można mieć literalnie gdzieś filozofów, przemądrzalców, nawiedzone poetki...

Westchnął, ziewnął, zasłaniając usta, i zaczął zbierać do aktówki swoje papiery.

- Zobacz, Iruś, no zobacz, ile jeszcze roboty, ile roboty! Jak ja bym już chciał wrócić do domu, poleżeć na tapczanie z godzinkę, w telewizor popatrzeć... - zajęczał ni stąd, ni zowąd. - Mam pociąg do Prabut o osiemnastej czterdzieści dwie. Cały czas po tych pociągach, dzień w dzień, wieczór w wieczór, i tak bez końca!... Już tym smrodem przesiąknę, umyć się lepiej nie mam gdzie... Zajadę na dwudziestą pierwszą. Potem jeszcze, cholera, kawał przez miasto po ciemku do hotelu. Ale środa dzisiaj, może takiego ruchu nie będzie, może będę sam w pokoju. Podrzemię

trochę, poczytam sobie coś ciekawego w łóżku. O, „tygrysa” kupiłem, zobacz, Iruś - podsunął mu pod nos książeczkę ze znakiem tygryziej głowy w kółku, zarysem siodełkowej czapki z hackenkreuzem na okładce i z wydrukowanym gotykiem tytułem *Gdzie jest oberleutnant Siebert?*.

Wyszli na skwer przed dworcem. Padał deszcz ze śniegiem, wszędzie dookoła woda szemrała w rynnach, ciemność przesycała zgniła woń odwilży i mokrej blachy.

Przez otwarte na przestrzał drzwi spowitej mrokiem poczekalni dochodziły odgłosy sapania i uderzeń żelaznych drągów, widać było oświetlone peronowymi latarniami drżące, czerwone koła lokomotywy w obłokach pary, jak szpony dyszącego niecierpliwie krogulca, już, już mającego zerwać się

do lotu.

Ojciec machnął ręką na pożegnanie, za chwilę jego ortalionowy płaszcz z paskiem zwisającym swobodnym półkołem poniżej pleców zniknął w czeluściach stacyjnego budynku.

Muzyka za to pluskała i tętniła coraz głośniejsze.

Nieznośna lepkość pod brzuchem rozplaszczonym na materacu pulsowała gorącem, a po grzbiecie ściekała wzdłuż kręgosłupa lodowatą strużką, powodując dygot wszystkich części ciała. Nie pomagał koc w poszwie twardej niczym litosfera, przemoczona i zimna.

Poranne światło było jak nóż przyłożony do czoła.

Przypomniawszy sobie nagle wczorajszy ból, więc leżał skulony, pełen strachu przed jakimkolwiek ruchem, mimo że listwa nierównego, zniszczonego łóżka wpijała się w lewy bok. Wybierał mniejsze cierpienie i pragnął je przedłużyć, na ile to możliwe. Czym bowiem był ten malutki, niewinny ból, właściwie tylko ucisk, ćmienie, trochę silniejsze łaskotanie, wobec tamtego?

Tamten wyobrażał sobie jako ostrą falę wypiętrzającą się raptownie gdzieś w środku, między suchymi kłębkami nerek, wątroby otłuszczonej żółtozielonym łojem, zwiotczalnymi jelitami; jako słup potężnego ciśnienia podchodzący Pod gardło, rozsadzający szczęki, miazgowatą zawartość

czaszki, a potem maltretujący całe wnętrze gwałtownymi skurczami, darcim i kluciem.

Zaczynały wtedy wołać jakieś głosy, przebiegały niezgrabne, człekokształtne fantomy, lśniły obrazy widziane kiedyś naprawdę albo w telewizji. Wówczas usiłował oszukać własną uwagę, myśleć tylko o nich, chwycić się czegoś w beznadziejnym odruchu. Ale nic z tego - kiedy ból przychodził, czas tracił znaczenie, rzeczywistość brała nogi za pas, pozostawiając łóżko z białym podłużnym kształtem zawieszony w próżni.

Wolał zatem nie otwierać oczu, bezwiednie uciekał od dnia, z wysiłkiem naciągając pościel na głowę. Pod kocem oddychał ciężko powietrzem, w którym nie czuł niczego cielesnego,

fizjologicznego, co mogłoby wzbudzić obrzydzenie do samego siebie - jedynie duszącą woń kurzu.

Muzyka puchła i potworniała, stawała się już nie do wytrzymania.

Wiedział, że za chwilę będzie musiał podjąć jakąś decyzję, przyjąć ryzyko ruchu. Odwlekał ten moment jak najdłużej, ale wreszcie z powrotem wysunął głowę ponad krawędź koca i podniósł powieki.

Słońce, oślepiające i czerwone, świeciło prosto w okno, rzucając na wyblakłe nieco kafelki pasiaste cienie żaluzji. Klimatyzacja była zepsuta, od tej strony bił żar, od przeciwnej wionęło Syberią, szron osiadał na umieszczonych wysoko pod sufitem wylotowych kratkach. Sąsiad obok, mając za nic łomot docierający z korytarza, chrapał w najlepsze i pogwizdywał przez zatkniętą do nosa rurkę. Podobnie inni, naprzeciw i koło drzwi.

Ostrożnie, centymetr po centymetrze, zaczął zmieniać ułożenie ciała. Przesuwał punkty ciężkości nogi, układał odrętwiałe po nocy ramiona tak, żeby choć przez parę sekund mogły służyć jako podpora. Niewidzialna granica była tuż tuż. „To gorsze niż przepaść - myślał. - Tam przynajmniej można za coś się złapać, spojrzeć pod stopy albo spojrzeć w niebo”. Przed ostatnim, decydującym dźwignięciem wstrzymał oddech ze strachu i zagryzł wargi.

Zaszeleściły wymiętoszone prześcieradła, jęknęły sprężyny; zwycięstwo zostało osiągnięte - leżał na plecach.

Dyszał z ulgą, ocierając rąbkiem koca spocone czoło.

Radość trwała jednak krótko. Przyszło to, czego przed chwilą bał się tak bardzo. Klucie gdzieś od dołu, z pachwin i kości ogonowej rozchodziło się po całym organizmie jak roztopiony metal, wlewany do każdej komórki.

Znowu nie wiedział, gdzie jest, choć muzyka porażała, siłą wbijała się w uszy.

Zacisnął powieki i odrzucił głowę do tyłu, między pręty łóżka. Znowu pot, wilgoć, przed którą nie ma schronienia, zimna, kleista powłoka.

Ból, jak zawsze, unieważniał otaczającą doczesność, kazał mu widzieć kłębowisko węży zamieniających się w trące o siebie łańcuchy, piasek sypany do wody, niezidentyfikowane czarno - białe twarze, nie wiadomo czemu - opuszczony dworzec w Jezioranach. „Stracić przytomność! - zaklinał w duchu. - Stracić przytomność! Albo jedno, albo drugie. Najgorzej tak... pośrodku”.

Nagły chłodny podmuch powietrza na brzuchu i udach przywrócił mu jednak poczucie rzeczywistości.

Jakby przez fioletową mgłę zobaczył trzy postacie. Stał nad nim lekarz, wysoki, barczysty, obok jakaś czarnoskóra dziewczyna z węzłkami kolorowych koralików opadającymi na czoło i ramiona. Stara, ogolona na tyso pielęgniarzka podnosiła do góry jego koc.

- Zsikał się? - zapytał doktor, uważnie oglądając posłanie. Miał wyrazisty, świeży makijaż, mocno zaznaczone skośne brwi, powieki i twarz pociągnięte niebieskawym, trochę świecącym



makeupem.

- Nie może być. On nie z takich - odpowiedziała pielęgniarka.

- Ale beciki mu zmień. Ire... Pan Ireneusz Słupecki? - pytał dalej, widząc, że otworzył oczy.

- Wiek pański?

- Dziewięćdziesiąt jeden - wychrypiał, łamiąc opór języka sztywnego jak drewniany klin.

- A...to odległy, szacowny...Ale, widzę, jakiś taki mało malowniczy pan dzisiaj.

Dziewczyna wystukała parę wyrazów na notatniku przyczepionym do dłoni.

Zagląдали mu do oczu, naciągając palcami papierową skórę na policzkach, potem ściągnęli pizamę. Kazali podnieść ręce, dziewczyna schwyciła je za nadgarstki jak dwa suche badyle, a lekarz z kamienną miną przystąpił do opukiwania miejsc pod pachami.

- Boli mnie, nie mogę już wytrzymać - skarżył się tymczasem tonem żalonym i skrzekliwym. - Może by chociaż jakąś tabletkę mocniejszą... Rozwała mnie, naprawdę, nawet nie umiem opowiedzieć...

- Hm... Na to nie ma, proszę pana, żadnej tabletki. Nic panu nie da żadna tabletki - odrzekł badający spokojnie, ale z nutką pretensji w głosie.

- No to może by... ja wiem?... - zawodził - jakiś zastrzyk chociaż. I ta muzyka taka okropna...

- Denerwuje? Zaraz ściszą, zaraz ściszą. - Dotknął go poniżej piersi czytelnikiem przypominającym dawne pieczętki z kulistą rączką, przytrzymał parę sekund i wpatrywał się w mały ekranik, który otworzył jak książkę. Stał przy tym bokiem do słońca, a jego makijaż, przedtem błękitny, teraz zaczął się mienić barwą karmazynową.

Muzyka rzeczywiście ucichła i można było mówić normalnym głosem.

- Panie doktorze, może by choć zastrzyk jednak... - nie dawał za wygraną.

Lekarz spojrzał na niego z wyrzutem.

- Popatrz, Gudrun - zwrócił się do dziewczyny. - Pacjent, jak zwykle, wie lepiej ode mnie, czego mu trzeba. A ja panu powtarzam: nie ma żadnego zastrzyku na pańską chorobę. Ja nie mam, nikt nie ma. Jakby lekarz miał zastrzyki na wszystko, to Pan Bóg przestałby być potrzebny.

- Tak mnie boli, żeby tylko choć trochę znieczulić, chociaż na pół godziny, żebym odpoczął... - jęczał trochę na wyrost, bo atak powoli mijał, ale nie wypadało wycofywać się z prośby.

- Czy pan wie, co to jest zastrzyk przeciwbólowy? Czy ja mogę panu na przykład zmniejszać napięcie mięśni gładkich, jeżeli one już dawno przestały być gładkie i wyglądają jak gąbka, nerwy prawie noradrenaliny nie wytwarzają ani w ogóle niczego i są jak siatka pocięta nożycami? Żebym chociaż wiedział, co konkretnie pana boli. Dotykam jednej rzeczy, zaraz odzywa się inna. W takim stanie nawet po morfinę ani nowokainę nie sięgniemy, bo udusi się pan, i tyle.

Cierpliwości, tylko co nieco cierpliwości! - Uniósł brwi i zrobił minę człowieka zmuszonego do pozostania na stałe w labiryncie, z którego nie można znaleźć wyjścia.

- Ja nie wytrzymam - bełkotał Irek zrezygnowany.

Lekarz znów popatrzył na swój ekran i podsunął go Gudrun, której granatowe wargi uśmiechnęły się zimno. Rozmawiali przez chwilę półgłosem, kiwając głowami.

- Czy pan jest mobilny? Tak? To proszę po południu do gabinetu. Piętro niżej, numer czterysta szesnaście - polecił, wychodząc.

Obchód był zakończony. Sprzątaczką, jak co dzień rano, spryskała posadzkę płynem o ziołowym zapachu, a mały grubasek z obsługi wciągnął popiskujący wózek i rozdawał wszystkim foremki ze śniadaniem. Będącym na diecie czerwone albo żółte, zależnie od wskazań, innym białe. Rozległy się odgłosy zdzierania foliowych wierzchów, chlapanie wodą przy umywalce, rozmowy; ktoś szurał znoszonymi kapciami.

Sąsiad ziewnął kilka razy, podniósł się ze zgrzytem sprężyn i usiadł na łóżku, dyndając bosymi nogami. Miał szkarłatny dres, siwe włosy zaplecione w kucyk i rześkie spojrzenie. Wyglądał najwyżej na siedemdziesiąt lat, na pierwszą starość.

- Pan Irek, słyszałem... - zagadał, przytrzymując rurkę nadal sterczącą z nosa, zakończoną spłaszczonym pojemniczkami, który akurat wpychał sobie do kieszeni. - Bartek jestem! - z miejsca przeszedł na „ty”.

Przewrócił się na bok i podał mu czubki palców lewej dłoni, lekko wystawiając ją spod koca.

- Nie mogę nic jeść - poskarżył się.

- No widzisz, ale mówić możesz. Wczoraj, jak cię przynieśli, nic, kurczę mać, nie reagowałeś, chociaż miałeś oczy cały czas otwarte. Już się wydawało, że jesteś mente kaptus.

- Jak myślę, to nie mogę mówić.

- Ha, ha!... Dobrze! Słyszysz, Żebujka?! - krzyknął do faceta wyciągniętego na łóżku pod samym oknem i smażącego się w upale. - „Myślę, więc nie mogę mówić”! Czadowny łeb, co nie?

- Powiedz, powiedz mi jeszcze, czemu oni tę muzykę tak mordują. Ciągłe coś pluszcze, zgrzyta, kotłuje. Jakby mi ktoś szpile wsadzał...

- Nerwusek jesteś! Czyś ty nigdy na nic nie leżał? Muzyczka jest dla oznaczania pory dnia i dla terapii podobno. Ponosi cię, co? Kiepsko...

- Tak naprawdę, to bolało mnie strasznie, teraz też boli, może nie tak, ale paskudnie boli, paskudnie...

- Żebujka to koleś z jednej załogi, z Jagiellońskiej. Pięćdziesiąt lat go nie widziałem, no i żeśmy się spotkali. Tutaj, kurczę mać! Najbardziej zajebisty początek wakacji w życiu! Tobie co jest?

- A tobie co?

- Woreczek mi wycinali. Przedwczoraj już miałem wyjść, ale jeszcze coś nie tak. Robili mi aż sześć testów i ciągle komputer się nie chce wyzerować, ciągle coś wyrzuca, a oni, kurczę mać, dobrze nie wiedzą, czemu. Na razie mnie dotleniają - podniósł dwoma palcami rurkę. - Może dzisiaj będzie OK. I wtedy baj, baj.

Irek poruszył się pod kocem.

- Ja? Ja mam chyba „chorobę główną” - wydusił.

- No więc dlatego tak ten Tubiełło ci się przyglądał, tak macał, tak się wgapiał w ten swój instrument... Rzadko kim się tyle zajmują. Normalnie to już na diagnozie popodłączają docięte kable, wprowadzą czujniki we wszystkie dziury, odczytają informację, sprawdzą jeden raz, drugi. A potem Przetworzenie, optymalizacja, procesor wyrzuca, jakiego

zabiegu albo jakich lekarstw i w jakiej ilości potrzeba. Teraz mato kiedy człowiek ma cokolwiek do gadania.

- Kto to ten Tubiełło?

- Sabin Tubiełło, lekarz, który cię dzisiaj badał. - Jaki tam Tubiełło, Tubiełło! - odezwał się Żebujka

spod okna. - Zwyczajnie, Bielewicz Stefan, i tyle. Mój stary z jego dziadkiem zapieprzali na warsztacie w „Agromie”.

Bartka coś tknęło i zrobił przerażoną minę.

- Tak cię oglądał, tak obstukiwał, jeszcze przyprowadził tę ślicznusią, jak jej tam... A może oni cię będą chcieli wziąć na piękny pokój? Uhuu, bracie... - nie dokończył i zajął się poszukiwaniem bamboszy pod łóżkiem.

- Co to takiego ten „piękny pokój”?

- Co ty, Babilon, będziesz chłopu mieszał! - wtrącił się Żebujka. - Duperele rozpowiadają głupie baby, a ty straszysz gościa. Pan w ogóle go, kurna, nie słucha, to ściemniacz, panie Irek!

- Może i racja, może i nie słuchać... Do kibelka, kurczę mać, muszę... - Bartek - Babilon przycisnął rurkę łokciem i poczłapał na korytarz.

Ból znowu dawał o sobie znać, wykorzystując chwile pozornej samotności na szpitalnej sali. Teraz wybuchał niespodziewanie małymi ogniskami w różnych częściach tego, co kiedyś było zwartym organizmem. Irek bał się o szczęki. Jeżeli ostrze dochodziło do szczęk, czuł najpierw drażące kości czaszki wwiercanie się w łamliwe jak zeschnięte mydło resztki zębów, a potem miażdżenie całej głowy przez zaciskające się po obu stronach śruby.

Mimo wszystko przepelźł powoli na prawą stronę łóżka. Sięgnął do poobijanej żelaznej szafki i wyciągnął swój owinięty ręcznikiem modem. Pomacawszy na oślep w śniadaniowej foremce, oderwał kawałek bułki, przeżuł go parę

razy, wypluł, a następnie, śliniąc palce, zalepił nim maleńki jak główka szpilki obiektowy umieszczony nad klawiaturą.

Trzymając modem przed nosem, wystękał numer. Na ekranie wielkości pudełka zapalek zaczęły się kolejno ukazywać symbole poszczególnych stref. Wreszcie zobaczył siwą głowę Olki na tle ściany z kilkoma obrazkami i zapalanej lampy w rogu pokoju.

- To ty, tatuś? Czemu cię nie widać? - zachrypiało tak głośno, że aż zadrżała mu ręka.

- Nic, nic. Jakaś pewnie awaria tu u nas. Ja ciebie widzę wspaniale.

- W domu jesteś? Wczoraj wchodziłam dwa razy i domowy zawsze pokazywał, że wyszedłeś. Aż pomyślałam, że może coś nie tak.

- A co nie tak? Wszystko w porządku! - pokrzykiwał dziarsko. - Jasne, że w domu jestem. Wczoraj też byłem, tylko sprzęt naprawdę mi robi tyły. Zgłosiłem już. Na parę dni będą musieli wyłączyć, bo ponoć potrzebna instalacja jakiejś tam pierdółki, więc się nie denerwuj, Olucha. Z dziesięć lat nie zamawiałem przeglądów, zapominałem. W domu jestem, na wersalce sobie poleguję, balkon otworzyłem i okno w kuchni, bo u nas upał podzwrotnikowy, trzydzieści sześć w cieniu zapowiadali na południe. Która godzina teraz w Auckland?

- Po dziewiątej wieczorem. Zimno, cały dzień deszcz padał, dopiero pod wieczór przestało. Jass wyszedł trochę pogrzebać do ogrodu, teraz się kąpie. Przedwczoraj Lou przywiozła Hata i Ginger na całą noc i cały dzień, wyobraź sobie. Zmarła w Stanach matka Lou, więc oboje z Bernardem musieli jechać. A dzieciaki brykały! Upiekłam sernik, było fajnie. Właśnie chcieliśmy wejść do ciebie, żeby pokazać, jak ci prawnuczki wyrosły.

- Bernarda też parę miesięcy nie widziałem. Niech się czasem przypomni dziadkowi.

- Pracuje, a jeśli nie pracuje, to odpoczywa. Jedno i drugie bardzo absorbuje, sam wiesz. Mówił, że też parę razy wchodził i zawsze było głucho. Oj, dziadek, dziadek, kręciola z ciebie!

Potem Olucha jeszcze długo i śmiesznie opowiadała o swoich kłopotach z naliczaniem emerytury, o kolejnej aferze ze zmutowanymi warzywami, o niedołęstwie Jassa, niepotrafiącego naprawić rynny. Nie miał nawet sposobności obwieścić jej, że czuje się fantastycznie, że wszystko pomyślnie się układa i życie jest tym, czym być powinno dla prawdziwego człowieka nowej epoki - łańcuchem zdarzeń przylegających jedno do drugiego jak świetnie dopasowane klocki i jak te klocki radośnie kolorowych.

- Nie martw się, dbam o siebie - zapewniała. - Mam indywidualny program wzbogacania wody, gotujemy tylko na sosnowym węglu spod Yverdon, co rano biegam po plaży. Ale, ale... Wspominali tu też o tych waszych katastrofach...

- Przesada, zwykła dziennikarska bajda, nie musisz wierzyć - wykręcał się. - Tylko kilka bloków rozebrali, wszędzie przecież na świecie są rozbiórki starych budynków.

- No to całuję. Przyjadę, jeżeli będzie potrzeba. Aha, odkryłam nareszcie świetny kościół,

Dom Rodziny Świętej, niewielkie wpisowe, odjazdowy kaznodzieja, modlitwa i taniec na świeżym powietrzu. Jestem bardzo szczęśliwa.

- Tak, tak. Odpoczywaj sobie, pobiegaj, potańcz. Pomyśl o mnie, jak będziesz patrzeć na morze.

Nie miał nawet siły z powrotem schować modemu. Całą skórę znów oblepiał ciężki pot, nogi mrowiły, trudno było znaleźć miejsce pod kocem.

Ból izolował go od świata. Otaczał szpitalne łóżko przezroczystym parawanem, za którym ktoś przechodził albo przystawał, prychał, rozmawiał, ktoś inny pił, siorbiąc donośnie; działały się sprawy doskonale obojętne i doskonale zbyteczne. W chwilach największego napięcia, kiedy kręgosłup zdawał się pękać w kilku miejscach, a całe wnętrze podchodziło pod gardło, łudząc jakimś wybuchem, który może wszystko zmienić, ból uwalniał go również od samego siebie. Zabijał potrzebę refleksji, odrywał od wspomnień, od życiorysu. Nie było już oczu i rąk, do których chciałby uciec, miejsc, w jakich pragnął przebywać, gdyby istniała możliwość zawrócenia czasu. Widział przeszłość jak olbrzymią kładź, gdzie kipiały, zachodziły na siebie w bulgocącej cieczy mniejsze i większe strzępy tego, co powszechnie nazywane jest życiem. Bez ładu i składu, bez jakiegokolwiek logicznego porządku zderzały się uśmiechy i lęki, smak wódki i deszcz bębniący o poszycie parasola, gwizdy lokomotyw za oknem i bławatkowy kolor sukienki matki, i krew na tydce po ugryzieniu przez psa sąsiadów, i strach po wybiciu szyby w samochodzie doktora Derejskiego...

- Masz jeszcze problem bólu?

Pytanie zabrzmiało sucho, bezbarwnie, dobiegło jakby zza kilku zasłon. Zobaczył pochylającą się nad nim czekoladową twarz Gudrun, łagodnie zadzwęczały koraliki.

Przyłożyła mu termometr do skroni, a potem powiedziała, że nie zauważa niczego nadzwyczajnego, że temperatura nie jest podwyższona, a ciśnienie w miarę normalne - sto dziesięć na sześćdziesiąt, mogłoby być wyższe. Mówiła krótkimi zdaniami, prześwietlając go skupionym wzrokiem profesjonalisty i zerkając przy tym na nieodłączny notatnik, raz po raz sygnalizujący zmianę danych urwanym dźwiękiem fletu.

- Dam ci DFR - B, ale uprzedzam, to doznanie może nie być najprzyjemniejsze.

- Narkotyk może?

- Syntetyczny preparat, nazwy składników nie są najłatwiejsze do zapamiętania i niewiele ci wyjaśnią - tłumaczyła pozbawionym emocji głosem.

- Wszystko mi jedno.

Zniknęła zatem w korytarzu i wróciła za kilka minut z oprzyrządowaniem do iniekcji. Czujnik aparatu długo błądził po przedramieniu, szukając właściwego miejsca.

- Masz nie najlepsze żyły - stwierdziła.

Wklucie jednak nastąpiło. Nie poczułby go nawet, gdyby nie brzęczyk przyrządu i migająca pomarańczowa lampka.

- Leż teraz spokojnie, przez godzinę nie wykonuj gwałtownych ruchów, niczego nie jedz ani nie pij.

Kiedy wyszła, Żebujka zerwał się ze swojego posłania pod oknem i podbiegł bliżej.

- Widziałeś? Widziałeś?! Oni na wszystko wszystko mają, tylko nie chcą dawać, ale chyba wmiękają, jak coś poważnego. Super będzie, panie Irek, zobaczysz pan, jeszcze super będzie!

- Eeeeeej... kurczę mać, niech mi też w końcu coś wstrzykną - ziewnął Bartek - Babilon z łóżka obok. - Nawet jakby chcieli cztery razy pod rząd w ten sam półdupek, to bym nie protestował. Aby jeno te pieprzone cyferki się zgadzali.

Nie odpowiadał. Nasłuchiwał szeptów dochodzących z każdego zakamarka splądrowanego ciała. Coś nowego, gorącego i oślizłego zaczynało rozchodzić się wzdłuż

kości. Było jak silny, coraz silniejszy strumień, który ogarnia wszelkie przeszkody na drodze i układa je siłą nurtu według własnego porządku. Podchodziło pod gardło, na początku nieśmiało, potem w coraz gwałtowniejszych skurczach, powodując niezwykle napływ śliny - kwaśnej, zalewającej krtań, krztuszącej, wdzierającej się do nosa.

Jęknął i zwiesił głowę nisko nad podłogą. Myślał, że zaraz zwymiotuje, nie chciał zapaskudzić łóżka.

Ale skurcze powoli ustępowały. Powietrze wydobywało się z niego w olbrzymich haustach. Przypominało to czkawkę, lecz nie męczyło, nawet przynosiło ulgę, jakby organizm, wydając ordynarne odgłosy, wyrzucał to, co najbardziej zbędne.

Chwytał ręcznik wiszący na krześle, wycierał w niego nos, wypluwał nadmiar śliny, której nie zdołał przełknąć.

Nieoczekiwanie poczuł gęstą słodycz rozlewającą się po jamie ustnej, pęczniejącą między dziąsłami, zatykającą przełyk. Miał wrażenie, jakby szorstki i obrzmiały język pływał w kleistym roztworze sacharyny, tężejącej mazi, ciągle zwiększającej objętość, dławiącej, szturmującej nos i zaciśnięte wargi.

Ponownie musiał użyć ręcznika.

W stanie obrzydzenia przyprawiającego o nowe mdłości nie zauważył nawet, że wielki ból zaczyna z wolna zanikać. Jakby ktoś dusił niezliczone ogniska rozsiane po wszystkich członkach, wygładzał zaciśnięte węzły, przebijał wzdęte bąble.

Ciało znalazło nareszcie dla siebie miejsce. Mógł w tej wszechogarniającej słodkości zasnąć prawdziwym, choć wymuszonym snem.

Nie spał długo. Dwie godziny, może trzy. Kiedy otworzył oczy, słońce przesunęło się gdzieś poza taflę okna, skwar na sali nieco zelżał.

Nie było Bartka - Babilona ani Żebujki. Trzech pozostałych współtowarzyszy zajmowały najzupełniej prywatne sprawy. Jeden rozmawiał z kimś szeptem, zakrywając poduszką głowę i modem, drugi, odwrócony tyłem, jadł kawałek chleba, wyciskając nań co chwila jakąś papkę z pstrokatej tuby, opatrzonej napisem: *Extra Exquisite Dish*. Byli podobni do siebie, starzy, ale o wiele młodszy od niego. Mieli mięsiste policzki, odstające uszy, do skóry ostrzyżone czaszki. Tak wyglądał również i ten trzeci, unieruchomiony w „bezpiecznym” łóżku z przewodami odprowadzającymi mocz, sprawiający wrażenie martwego, gdyby nie słuchawki brzęczące pod zsuniętą na koniec nosa bejsbolówką, niezdejmowane dzień i noc - jeden z tych murów, które każdy wznosi wokół siebie w godzinie próby.

Ból zginął. Przypominało o nim tylko lekkie odrętwienie w okolicach kości krzyżowej i mostka.

Powstrzymując strach, nie rozważając także żadnych „za” ani „przeciw”, zdecydowanym ruchem przerzucił nogi przez krawędź materaca. Po chwili już siedział na łóżku. Wewnątrz nic się nie działo, trochę mu się tylko zakołowało w głowie.

Nie namyślając się wiele, sprężył siły i wstał. Zgarnął zielony szlafrok z wieszaka, a potem wyszedł. Każdy krok dawał coraz większą pewność, serce łomotało z wrażenia, ale na wszelki wypadek pozostawał cały czas blisko dającej poczucie bezpieczeństwa ściany.

Po korytarzu snuli się bez celu chorzy tacy sami jak on - kilka kobiet rozmawiających półgłosem o zabiegach

i cierpieniach, przygaszeni mężczyźni z rękami założonymi do tyłu, których odbicia w połyskujących kafelkach przypominały karykatury z krzywych zwierciadeł. Muzyka brzmiała leniwie, wyrażając niegłośnym pluskiem, do którego zdążył już przywyknąć, zwolniony rytm życia popołudniowej pory. Klimatyzacja nie była w stanie zneutralizować szpitalnych zapachów. Mijały dziesięciolecia, cywilizacja wkraczała w coraz to nowe fazy, a tu panował zawsze ten sam ciężki mikroklimat, złożony z woni środków antyseptycznych, odgrzewanego jedzenia i przepoconych skarpet.

Dotarł do szklanych drzwi przy końcu korytarza. Przekroczywszy zaporę chłodnego powietrza, tłoczonego od posadzki, znalazł się na zalanym słonecznym żarem tarasie. Nie było tu żywego ducha, ale jemu nie przeszkadzała ani upał, ani samotność. Oparty łokciami o balustradę, mógł z daleka patrzeć na miasto.

Martwa przestrzeń drżała w potokach gorąca. Niebo od paru tygodni traciło wiosenną barwę, trwało nieruchomo, jakby przysypane szarym proszkiem. Nic nie zakłócało widoku z piątego piętra. Za gąszczem karłowatych sosenek, wśród których wzniesiono gmachy Szpitala

Nieustającej Pomocy, biegła od dawna nieużywana stara szosa do Ostródy. Właśnie trenował tam rowerzysta w czerwonym kasku; stawał dęba na tylnym kole, urządzał ostre slalomy między uskokami i pęknięciami asfaltu.

Dalej spomiędzy gęstwiny zakurzonych drzew prześwitywały zarysy stłoczonych byle jak domków dawnego podmiejskiego osiedla. Kiedyś była to oaza bogatych ginekologów, obrotnych dyrektorów i pułkowników, adwokatów i właścicieli straganów, oddających swoje najlepsze lata morderczej sprawie wykończenia rodzinnego pudełka z garażem i gazowym piecem w piwnicy. Później, po przełomie, wśród mieszkańców pojawili się średnio zamożni przedsiębiorcy, na zgrzebnych tynkach - barankach wyrosły amerykańskie sidingi, a na pustych jeszcze parcelach postmodernistyczne konstrukcje z wieżyczkami, wywiniętymi daszkami, kopułkami ze szkła. Nawet i teraz, pomimo inwazji grzybów i liszajów oraz zapadłych już gdzieś fundamentów, jest to niedostępna kraina marzeń, szczególnie dla tych, którzy muszą opuszczać blokowiska.

Nad pustą linią kolejową, zamarłym wiaduktem, nad kępami zieleni między domkami wypiętrzały się niezliczone estakady autostrady zachodniej. Podobne do dziesiątek ustawionych rzędem kaczyczych łap, wiodły od środka miasta, od czerwieniejących na horyzoncie wież zamku i katedry; malejąc, znikwały po przeciwległej stronie, poniżej słońca stojącego nad siną linią lasów. To był jedyny element niepokoju w zastygłym ze spiekoty krajobrazie. Kawalkady wydłużonych od szybkości aut gnały we wszystkie strony jak psy wyciągnięte w gonitwie, prężąc grzbiety srebrzyste, ciemnofioletowe, rude. Wydawany przez nie syk to rósł, to opadał; przypominał nigdy nie zamierający grzmot. Trzeba się było do niego przyzwyczaić, jak do muzyki na szpitalnych korytarzach.

Jedna z kilku odnóg autostrady spływała ślimakiem w dół i ginęła za drzewami, dochodząc do zlokalizowanego tam III Rejonu Socjalnego. Przez świerkowe gałęzie przebijała jaskrawa biel kontenerów mieszkalnych, których półtora tysiąca ustawiono na terenie dawnego lotniska.

Nareszcie mógł jako tako pozbierać myśli.

Mimo ataków bólu, kilkukrotnych omdleń, pamiętał wszystko doskonale. Miał pięćdziesiąt jeden lat, był samotny, ale samotnością otwartą i pogodną.

Żył zupełnie normalnie. Już od dawna, od śmierci żony, nie zaszło w jego życiu nic szczególnego.

Jesienią i zimą rzadko wychodził z mieszkania. Sypiał długo, z przyjemnością podobno zupełnie niewłaściwą dla wieku, potem parzył kawę, oglądał newsy, czytał dzienniki. Wieczorami zamawiał do domowego terminalu dokumentalne filmy z różnych okresów i różnych krajów i do późna w nocy, bawiąc się zatrzymywaniem oraz transfokowaniem obrazów, podróżował przez epoki. Był wytrwałym tropicielem nieistotnych szczegółów. Uważał, że to właśnie one, ich miliony, występujące po sobie i obok siebie, a nie pojedyncze wydarzenia znane wszystkim, opisywane



przez uczonych i publicystów, wyrażają właściwy sens przemijania. W całej nieskończoności czasu nie ma przecież niczego ważniejszego od źdźbła trawy zakołysanego wieczornym wiatrem, od ukradkiem rzuconego spojrzenia, od słów wypowiedzianych bez namysłu.

Swoje odkrycia utrzymywał i kolekcjonował. Przechowywał kilka płyt z zapisami, przeglądał je nieustannie, dziesiątki razy badał od nowa. Plamka światła w oku Hitlera na barwnym filmie nakręconym przez Ewę Braun podczas sjeisty w rezydencji Berchtesgaden, kobieta spokojnie krojąca pomidory, którą wykrył za firanką okna madryckiej kamienicy, gdy w dole gwizdały kule i pękały granaty, rozwiązane sznurowadło Edwarda VIII, wstępującego na trap oceanicznego liniowca - możliwość docierania do takiego poziomu intymności podniecała go, była grą w Boskie spojrzenie, symulacją sprawowania władzy nad wiecznością. Latem natomiast pragnął jak najwięcej powietrza, towarzystwa i rozmów. Odwiedzał Waldka i Goškę, Roberta, Gugę. Dopóki jeszcze mogli prowadzić, wyjeżdżali do Plusk albo nad Maróz do Swaderek, wdychali zapach lasu, popijali piwo pod parasolami, patrząc w migotliwe dale jeziora. Niestety, dla nich wszystkich los był mniej łaskawy niż dla niego.

Później lipce i sierpień spędzał na własnym balkonie, drzemiąc w cieniu pnącego groszku i nemezji, słuchając muzyki, którą wybierał wieczorem i programował na cały następny dzień. Przygotowywał sobie także jedzenie, robił kilkudniowe zapasy, choć zauważył, że ciało zaczyna stawiać coraz mniejsze wymagania, gaśnie rozkosz smaku, a łaknienie można opędzić byle czym.

Nigdy nie chorował, nie przeżył żadnych tego rodzaju doświadczeń. Kiedy przed paroma laty zdarzyło mu się lekko przeziębienie, nie umiał nawet skorzystać z badania lekarskiego za pośrednictwem modemu.

Mądra samotność nakazywała być blisko ludzi. Dawał się zapraszać na chwilę, częstować w kuchni kawałkiem sernika, ze zrozumieniem wysłuchiwał politycznych racji albo opowieści o tym, jak się powodzi synom i córkom. Młodszy sąsiedzi zostawiali u niego dzieci, czasem wychodził przed blok i rozmawiał z każdym, kto miał ochotę przystanąć trochę dłużej.

Płomyk choroby zaczął się tlić pół roku temu. Początkowo był to tylko niepokój, narastające nagle złe przecucia, niweczące wszelkie plany, odsuwające na bok pogodne wyobrażenia o przyszłości. Zainteresowały go wtedy wróżby. Nie jakiś tam okultyzm, tarot, nowa metafizyka, ale zwyczajne, dziecinne wyliczanki. Ze wstydem i biciem serca odmierzał krokami odległość do krawężnika czy najbliższego słupa i mamrotał na przemian: „Wszystko w porządku”, „Będzie kiepsko”, „Wszystko w porządku”, „Będzie kiepsko”, albo dochodząc do ulicznych świateł, mówił sobie: „Jeżeli zdążę przejść przy zielonym, to...” Wyniki raz pocieszały, innym

razem napawały lękiem. Potem pojawił się ucisk w dolnej części kręgosłupa, przypadłość mało uciążliwa, bezbolesna, a więc łatwa do akceptacji, zupełnie zanikająca przy pewnym sposobie ułożenia nóg.

Wtedy właśnie mieszkańcy domu otrzymali jednobrzmiące pisma, których spodziewali się od dawna. Na swoim ekranie, w czerwonym tekście sygnowanym jako MI (Most Important) i opatrzonym rysunkiem zaaferowanego ludzika łapiącego się za głowę, przeczytał:

*Po trzech kontrolach stanu technicznego Twojego budynku, przeprowadzonych kolejno w grudniu ub.r., lutym i kwietniu br., stwierdziliśmy groźbę katastrofy budowlanej i zagrożenie Twojego bezpieczeństwa. W związku z tym przyznaliśmy Ci apartament przy projektowanej Alei 21 nr 14/645. Do czasu wybudowania tego lokalu oddajemy Ci w użytkowanie lokal zastępczy - VIII Rejon Socjalny, domek przenośny 2842C. Termin zasiedlenia - do 10 sierpnia br. Warunki finansowe zostaną ustalone po zasiedleniu...*

Dalej następowały kody dostępu do informacji kontrolnych, podstaw prawnych itd. „To pewnie gdzieś koło Kaplityn, tam teraz przenoszą”, zauważył tylko beznamiętnie i cała sprawa przestała go obchodzić.

Natomiast ucisk kręgosłupa coraz częściej zastępowało rwanie i klucie, jakby temu czemuś obcemu, co najwyraźniej osadziło się gdzieś na dnie ciała, wyrastały żądła. Jedynie przy pierwszym ataku pomogły tabletki, które dała mu gruba pani Rafalska z dołu. Później, skurczony na wersalce, musiał coraz dłużej czekać z zagryzionymi wargami, aż dolegliwość minie.

Którejś nocy zerwał się przerażony i mokry od gorącego potu - ból pożerał już wszystko, nie pozwalał spać, myśleć, robić cegokolwiek.

Został bezbronnym zakładnikiem bólu. Przeżył tak trzy tygodnie, nie odróżniając dnia od nocy, w nadziei cudu uciekając z sypialni do dużego pokoju i z powrotem, łykając masę środków nasennych, które sprawiły tylko, że leżał jak stara kłoda, pod którą rozpalają ogień. Skapitulował. Nic nikomu nie mówiąc, wezwał pogotowie.

- Ale z ciebie karteczka, nie mężczyzna - powiedział ogromny pielęgniarz i na rękach, jak dziecko, zniósł go z czwartego piętra. Drugi zatrzasnął drzwi mieszkania. W ciszy klatki schodowej pożegnał go metaliczny odgłos, znajomy od ponad pół wieku.

Przed gabinetami lekarskimi zastał tylko jedną pacjentkę. Nie mogła usiedzieć spokojnie na białej ławeczce. Przytupywała, plaskając kapciami o posadzkę, a jej chude ręce gięły się w tanecznych ruchach. Głowa trzęsła się i kręciła, jakby owładnięta transem, tak że krótki, siwy język przypominał z daleka srebrzystą aureolę. Żując gumę, śpiewała. Po cichym hallu roznosiły się świsty naśladujące gitarę, strzelanie palcami i cmokanie - niby uderzenia bębnow.

- Przepraszam, czy tu przyjmuje doktor Tubień? - zapytał.

- Dokładnie - wymlaskała. - A czy już przyszedł? - Dokładnie.

- Więcej nikogo nie ma? - rozejrzał się. - Dokładnie.

- Pani też do niego?

- Pani?... Może „waćpani”? - wybuchła śmiechem pogardliwie ostrym i

nosowodychawicznym. Pierwszy raz zaśmiała się tak Janis Joplin na koniec utworu *Mercedes Benz*, potem powtarzały to samo niektóre inne gwiazdy, a następnie kilka pokoleń dam chcących uchodzić za osoby nietandetne, acz zachowujące przymioty naturalnej spontaniczności.

Wzruszył ramionami i zajął się studiowaniem tabliczek przy drzwiach poszczególnych gabinetów. Kryspina Greile, Justyn Sztuk - Pocierała, Roger Ro Rogalla - brzmiały umieszczone tam nazwiska. Były także inne, bardziej swojsko brzmiące; zawiadackie: Szurka Pierekocił, jak dusza rozlewna słowiańska: Cudko Nowaczko, oraz jedno z rozmysłem wyrafinowane: dr Kontrapost Thui Sarathakos.

- Ty! - dobiegło go zza pleców- Pamiętasz ten numer Offspringsów?

Towarzyszka wystrzeliła z ławki jak torpeda, tupnęła kilka razy i potrząsając kolczykami, które ledwo trzymały się w zwiotczącej skórze uszu, nosa, warg, wydała z siebie długi, modulowany jęk, zakończony dudniącym burkotem. Rozchełstany szlafrok odsłonił pofałdowane, wpółzatarte tatuaże pod szyją: orchidee, motyle, puciołowatą twarz Buddy.

- Nie znoszę tej mody na ciągle zmienianie nazwisk - irytował się, przerywając niegrzecznie. - Nie można wymówić, takie *rzeczy* wymyślają. Trudno dojść, kto jest kto, nawet czy kobieta, czy mężczyzna. Żeby choć raz na jakiś dłuższy czas, ale ludzie to robią parę razy do roku. W ogóle, wszędzie, na każdym kroku ta idiotyczna maniera nieustannego zmieniania! Słyszałem, że to bardzo drogo kosztuje. Niektórzy cały majątek oddadzą, żeby się tylko popisywać.

- Faaacet! - zachichotała jeszcze raz, obrzucając wzrokiem całą jego mizerną powierzchowność. - A po co komu nazwisko, jeżeli każdy ma adres modemu? Nazwiskami też się można bawić, jak wszystkim, i jest ekstra! - Wykonała nowe taneczne pas.

Kiedy otworzyły się jedne z wielu drzwi i pielęgniarka poprosiła go wreszcie do doktora Tubiełły, usłyszał za sobą śmiech:

- Leć, facet! Jesteś wylepisty na piękny pokój. Wylepisty!

Doktor Sabin Tubiełło oczekiwał na środku przyciemnionego, chłodnego gabinetu, bawiąc się niebieską kulką, którą przerzucał z dłoni do dłoni. Grzecznie przeprosił za zwłokę, dodając tonem usprawiedliwienia:

- Musiałem wziąć dzisiaj dodatkowy dyżur, zatem trzeba było wołać wizażysty. Mam szacunek dla swoich chorych, nie mogę wyglądać stresujące.

Rzeczywiście, jego młoda jeszcze twarz była jak brzoskwinia w południe, końce skośnych brwi zataczały regularne łuczki, a delikatne pokrycie powiek i policzków grało symfonię różowości.

- Pan Ireneusz Słupecki. Wdowiec. Emeryt. Urodzony 1956. Płeć... No, bez przesady - łytnął okiem ze zrozumieniem. - Czy był pan leczony na AIDS? Czy miał pan złamania otwarte albo zamknięte? Czy przechodził pan choroby zakaźne? pytał rutynowo, mimo że wszystkie dane przesuwały się na monitorze wiszącym nad biurkiem.- Kim pan był, panie Ireneuszu, przed emeryturą?

- Nikim. Kasjerem. Dzieciństwo dobrze pamiętam, ale z tamtych czasów już nic.

- Bardzo się cieszę, że pan jest taki kontaktowny, mamy duży temat do rozmowy, chyba się pan domyśla?

Słowo „pan” Tubiełło wypowiadał jak rzadko kto w tych czasach, zupełnie naturalnie, bez ironicznego wymuszenia. Irek powoli zaczynał przystosowywać się do krępującej atmosfery, skłonny był nawet obdarzyć zaufaniem tego przybranego w nieskazitelną biel człowieka z innego wymiaru.

Doktor objął go ramieniem, podprowadził do kozetki, ułożył najpierw na brzuchu, potem na plecach. Czytniki tym razem były większe, ich przyleganie i gładkie ocieranie się o skórę sprawiało przyjemność. Aparatura szumiała uspokajająco, wyświetlając kolumny różnobarwnych znaków, na co Tubiełło reagował nerwowymi skokami ręki po piętrowej klawiaturze, przypominającej organowe manualy. Trwało to dobre dwa kwadransy, po czym Irek mógł zapiąć piżamę i z wysiłkiem usiąść.

Niebieska kulka była w istocie miniaturową, sprężystą piłeczką. Tubiełło nieustannie ugniatał ją, odbijał, toczył po blacie biurka i zręcznie chwycił w locie, gdy spadała.

- Panie Ireneuszu, chcę panu powiedzieć, na co pan cierpi... Nowoczesna medycyna nakazuje wszystko dokładnie wyjaśnić choremu, nie wolno kłamać ani przeinaczać, chory musi najpierw zaakceptować swoją chorobę, a potem ją pokochać.

- Nie jestem głupi ani zdziecinniały - machnął ręką z rezygnacją. Przywykł już, że każda nowa wiadomość mogła być tylko złą wiadomością.

Ze szczeliny powielarki wysunęły się arkusze z dużymi, jaskrawymi obrazami wewnętrznych narządów. Doktor wziął pierwszy z brzegu.

- No, niech pan raczy spojrzeć, oto dolna część pańskiego kręgosłupa. Kręgi, jeden na drugim, niczym wieża Ba

bel, proszę wybaczyć metaforę. Natomiast o n wygląda albo niewinnie, albo ohydnie, zależy, kto i z której strony patrzy. O, tutaj - zastukał wypielęgowanym paznokciem w śliską folię - te różowe kalafiorki, które wciskają się we wszystkie szczeliny, pączkują, obrastają kostki, mięśnie, to właśnie on. Trudno na razie powiedzieć, *enchondromatosis* czy *osteosarcoma parostale*, ale tu, bliżej miękkich narządów, też widać jakieś gruczolaki, o, proszę bardzo, zanikające szypuły. Przebarwmy chore miejsca/powiedzmy, na zielono i zobaczmy,

ile tego jest.

Doktor wydał ustną komendę w stronę urządzenia. Ekran zamrugał, zagrał krótkim sygnałem i prawie w całości pokrył się szmaragdowymi odcieniami. Tubiełło niczego nie komentował, zrobił tylko minę szalonego badacza, przerażonego wynikiem eksperymentu.

- Weźmy teraz płucka. - Sięgnął po następny arkusz.

- Palił pan?

- Kiedyś dawno tak. Wszyscy palili.

- Papierochy? Marysionkę tyż? Sklify, skuny? - komicznie zmarszczył uformowane przez wizażystę brwi, chcąc najwyraźniej zjednać pacjenta filuternym poczuciem humoru.

- Panie... U nas w Polsce to nie były jeszcze te czasy. Może dziesięć, piętnaście lat później...

- No tak, pan niewątpliwie lepiej wie, panie Ireneuszu. Mnie, niestety, nic już nie mówi ta czy inna martwa dekada. Wróćmy do płucek... Tak zwane okrągłe cienie występują u pana w mięższu i wewnątrz oskrzeli, o, tu, tu... te plamy. Normalne, tu się umiejscawiają przerzuty mięsaków tkanek miękkich i kościopochodnych. Zwyczajna hydraulika, prawa jak w kanalizacji czy wodociągach. Chyba nie ma mi pan za

złe pewnej obrazowości? Nowotwory szerzą się drogą krwionośną. Krew żylna, pędząc pod ciśnieniem, zagarnia po drodze wszelkie brudy z narządów, oczywiście również odszczepy rakowej tkanki, spływa do prawego przedsionka, a następnie do płucnych naczyń włosowatych. Następuje osadzanie tego paskudztwa, rozplen i wzrost, no i coraz wyraźniejsze objawy, jak te, które pan obecnie odczuwa. Oblewa się pan potem, ma duszności, męczy się, słabnie. Widzi pan, natura nie kłamie, nawet jej najmniejsze elementy zawsze genialnie do siebie pasują!

Tubiełło porzucił intymny ton rozmowy i nieoczekiwanie przeszedł do wykładu. Gestykulował przy tym, wymawiał z naciskiem fachowe pojęcia, a później już wszystkie rzeczowniki, czasownikom zaś aktorskim sposobem nadawał emocjonalny wydźwięk.

- Zainteresujmy się teraz, dajmy na to, pańskim jelitem grubym - ciągnął dalej jak deklamator, stojąc nad Irkiem z kolejną planszą w ręce. - Niech pan popatrzy, jego wnętrze przypomina zawalony schron. Wybacz mi pan te porównania? Wielka pasja potrzebuje wielkiej ekspresji, rozumie pan, prawda? A więc zmiany hamartomatyczne, polipy kosmkowe, brodawczaki. O drożności trudno tutaj w ogóle mówić. Wszystko zamyka się, zwiera, zarasta. Ponadto *colitis ulcerosa*, widoczne symptomy wrzodziejącego zapalenia, co grozi otwarciem i krwawieniem. Już pan ma kłopoty z wypróżnianiem i ołówkowy stolec, jest tak?

I nie czekając na odpowiedź, pośpieszył z konkluzją, wygłoszoną na stojąco przy niespodziewanym akompaniamencie jakiegoś samoczynnie włączającego się, kwilącego elektronicznego sygnału:

- Pański wewnętrzny świat, panie Ireneuszu, stoi] u progu apokalipsy!

Zapadło milczenie.

Na Irku cały ten wywód nie zrobił żadnego wrażenia. Obrazki z arkuszy przedstawiały jakieś obce mięso, na które mógł patrzeć pełen obrzydzenia albo obojętności, ale nie odniósłby nigdy do własnej osoby.

Poczuł też nagły ślinotok i nie potrafił go powstrzymać ani nerwową pracą przełyku, ani ukradkowym wycieraniem ust rękawem szlafroka. Tubiełło przyszedł mu z pomocą, podsuwając kilka płatków ligniny o silnym zapachu fiołków, miodu i mocnych ziół.

- Lubię ten zapach, tak ponoć pachniały perfumy „Lulu” - wyjaśnił skwapliwie. - Tak też musiała pachnieć przeszłość, którą znam z videoclipów. Pan jest dla mnie zmęczonym podróżnikiem stamtąd. Nawet nie pyta pan, co dalej, jak to wszystko leczyć.

- No właśnie, jak leczyć? - zapytał obojętnie, skoro] Tubiełło się tego dopominał.

- Dziwny z pana człowiek. Nic pan nie obchodzi siebie samego. Jakby było w panu dwóch ludzi i jeden przed drugim chował się za węglem. Szkoda, że nie ma muzeum] ludzkich charakterów. Kiedyś takie założę, miałbym mnóstwo eksponatów. Proszę mi wybaczyć te dygresje... Otóż - • wrócił do zasadniczego tematu rozmowy - przede wszystkim: co leczyć? To, co kryje się w pańskiej klatce piersiowej! i jamie brzusznej, mogę porównać do zaciśniętego na amen, olbrzymiego węzła. Nie wiadomo, za który koniec pociągnąć, którą pętlę wydłubać, czy się wtedy rozluźni, czy jeszcze mocniej zaciśnie.

- Przecież chyba są jakieś metody. Tyle o tym mówili w serwisach, coś też gdzieś tam czytałem - bąkał bez przekonania Irek, jakby chodziło o kogoś innego.

W tym momencie drzwi trzasnęły zniecacka i do gabinetu wbiegł, podskakując, młody człowiek. Miał na sobie pomarańczową koszulę sięgającą kolan, która w półmroku natychmiast zmieniła barwę i zaświeciła mocnym amarantem, obcisłe, białe spodnie i sandały z rzemykami oplatającymi łydki. Twarz pokrywał biały makijaż, tak że wyglądała jak posypana mąką. Prawe oko zdobił gruby obrys czarnego trójkąta, na policzki i czoło rozchodziła się siatka delikatnych żyłek srebra.

- Praca, praca, praaaaca! - zawołał śpiewnie, widząc doktora i Irka nad wynikami badań. - Zostajesz? - zapytał Tubiełłę.

Nie słuchając odpowiedzi, wskoczył do sąsiedniego pomieszczenia, otwierał szuflady, grzebał w nich, przewracał pudełka leżące na biurku.

- No, nareszcie mam, myślałem, że wpadła nie wiadomo gdzie! - obwieścił.

Trzymał w ręce pomadkę, którą natychmiast odkręcił i z pasją zaczął pokrywać usta.

- Petrolecyt plus parę witaminek wyjaśniał, przesuwając po wargach koniuszkiem języka. - Gęba mi spierzchła od tego upału, Jutta znowu powie, że mam zajady! Zostajesz?

- Dyżur na O-L odparł sucho Tubiełło. - Ja lecę, lecę, leeece!... Dzisiaj rozgrywki! Z

hałasem zamknął za sobą drzwi, potem jeszcze uchylił je na chwilę i wsadził głowę.

- Yooo!... - beknął na pożegnanie zmienionym, grubym głosem.

- Młodzi ludzie... - westchnął doktor. - Jest, niestety, tak, że zawsze przeplatają się dwie fale.

Wy nie robiliście nic, sprawnie umieliście tylko kłać, biadolić, protestować, być niezadowolonymi i zdesperowanymi. My harowaliśmy potrójnie, za siebie, za was i za zupełnie już skretyniałych rodziców, tych śmiechu wartych kondomiarzy, squatersów o żalonym poczuciu lekkości życia, co to albo latali z czarnymi flagami, albo poszukując wolności, znajdowali ją na przykład w wegetarianizmie czy w smarowaniu po murach. Wolę was, przynajmniej byliście w jakimś tam stopniu obliczalni. Ale kiedy oglądam ich zdjęcia sprzed czterdziestu lat, nie mogę opanować obrzydzenia. To wszystko były twarze z defektem genetycznym. Płaskie, szerokie, mongoloidalne, z wdrukowanym matolectwem. Potem sprawdziło się, pan słyszał, trzydzieści dwa procent zaburzeń psychicznych na całą populację. Powiem panu, że moi starzy też od dawna są w zakładzie. A my, moje pokolenie, rozpalaliśmy w sobie niebywałe pokłady energii. Wygrywaliśmy konkursy o stypendia, urządzaliśmy rankingi wyników, wielkim szpanem było nie miewać w ogóle wolnego czasu i nie rozstawać się z laptopem, póki jeszcze nie wprowadzono dzisiejszych modemów. Ach, wybaczy pan, ale czasem ronię łzę nad naszym heroizmem - podszedł do okna, za którym powietrze nabierało miedzianej barwy wczesnego wieczoru; wrażenie to potęgowały przyciemnione szyby. - Natomiast jacy są dzisiejsi młodzi, sam pan widział - stwierdził po minucie milczenia. - Daruje pan te wtręty, może powinienem coś zrobić ze sobą, zmienić, rzucić ten szpital, zostać publicystą, aktorem albo poetą? Wracając jednak do pana... Żeby to jeszcze były pojedyncze schorzenia! Można byłoby zastosować telomerazynę, kwas foliowy albo dokonać próby odbudowy zniszczonych komórek przez klonowanie i połączenie z niezapłodnionym krowim jajeczkiem... Rzeczywiście, są różne sposoby i gdyby pan był młodym człowiekiem, który ma od pierwszego tygodnia życia czytelne testy DNA i korekcje organizmu co pięć lat, nie byłoby problemu. Ta choroba zaczyna się od genomu komórkowego, wystarczy nadmierna jonizacja, złamanie chromosomalne, aneuploidia czy poliploidia chromosomów. Tam ją należy wykrywać, łańcuch łątać, naprawiać. My wszyscy jesteśmy dzisiaj jak otwarte książki. Niestety, tym się od was różnimy, że potrafimy czytać przyszłość naszych ciał, możemy uprzedzać zamiary przeznaczenia. A wy...wy chcecie, żebyśmy umieli niszczyć plony krwawego żniwa, które przez dziesięciolecia odkładały się w was bez udziału waszej świadomości. Pan, przykładowo, zupełnie jest już pozbawiony limfocytów. I co? Ach, przepraszam, przepraszam... - ujął głowę w dłonie i patrzył Irkowi prosto w oczy. - Zagalopowałem się, od czasu do czasu miewam wrażenie, że jestem postacią z antycznej tragedii!

- Ale przecież ta Murzynka dała mi lekarstwo. Ja, panie doktorze, po raz pierwszy od kilku miesięcy czuję się zupełnie nieźle. W nocy i rano myślałem, że to już nareszcie idzie koniec, ale

teraz cieszę się, że jeszcze nie.

Tubiełło zakręcił się na miejscu.

- Wiem, wiem. Doktor Gudrun zaaplikowała panu DFR - B. Świństwo, sztuczne sterydy wymieszane z jakąś kataleptycznogenną chemią, która oszukuje układ nerwowy. Proszę wybaczyć, nie powinienem tego przy panu mówić, ale to do niczego dobrego nie prowadzi. Gudrun jest młoda, mało jeszcze widziała i wydaje się jej, że terapię można za

stąpić kilkudniowym widowiskiem. Pacjent, szczęśliwy z poprawy, będzie piąć peany, a potem nagle padnie jak ta zwiędła koniczyna i wtedy ona tylko rozłoży bezradnie swoje hebanowe ramionka, bo co jej innego zostanie? Proszę wybaczyć tę odrobinę poezji... Cóż, prowadzi pana, jej sprawa. Niestety, przypomina to pompowanie przekłutego balonu; można dmuchać, owszem, nawet trochę się nadmie, ale... - nie skończył, westchnął beznadziejnie i odgiął głowę do tyłu, pozostając w tej pozycji dobrą minutę.

- Chciałbym się już położyć- powiedział Irek cicho, mając nadzieję, że doktor pozwoli mu wrócić do sali. Nie obchodziło go nic z tego, co przed chwilą o sobie usłyszał. Medyczne terminy, kwieciste interpretacje obrazów uszkodzonych narządów i dramatyczna niemoc doktora Tubiełły przepływały obok, trafiając w pustkę. Wyzwolony od bólu, pragnął najpiękniej wykorzystać tę krótką zapewne pauzę. Owinąć się kocem obleczonym świeżą poszwą o zapachu płynu dezynfekcyjnego, usypiać przy dźwiękach szpitalnej muzyki, w spokojnym szumie rozmów dobiegających z sąsiednich posłań, milknącym szuraniu czyichś kroków po korytarzu. Pomyślał sobie nie bez zdziwienia, że szpital tak prędko stał się jego światem, a niewygodne, poobtłukiwane łóżko na kółkach - małą ojczyzną.

- Zaraz, zaraz... - oponował Tubiełło. - Przyszedł pan przecież porozmawiać o przebiegu leczenia. Niech pan mi powie, czy myśli pan o przyszłości?

- O przyszłości? - Irek pierwszy raz uśmiechnął się papierowymi wargami. - Powiem panu, że gdy będzie pan miał dziewięćdziesiąt parę lat, pozostaną panu tylko dwie kategorie czasu - przeszłość i czas mityczny.

Tubiełło nie zrozumiał jednak dowcipu.

- Może będę miał, a może i nie będę miał - spojrzał niechętnie spod malowanych rzęs. - W każdym razie pańska przyszłość zależy tylko i wyłącznie od pana. Będzie ona wyglądać na przykład tak. Ma pan zaatakowany rdzeń kręgowy, to są guzy zewnątrzrdzeniowe, a pewnie też i wewnątrzrdzeniowe, rozpychające od środka segmenty kręgosłupa. Stwierdzimy jeszcze, czy gwiazdziaki, czy skąpodrzewiaki. Ktoś układający kiedyś te terminy musiał mieć szczególny dar wyobraźni, proszę wybaczyć te dygresje... Stąd właśnie pański potworny ból. Współczuję - nieoczekiwanie położył rękę na dłoni Irka - ale nie jestem od uzalania się nad losem. Operować ich już nie można, zneutralizować jak u młodszych chorych również nie. Pański organizm by tego nie



wytrzymał, umarłby pan w męczarniach, po prostu wysychałyby panu po kolei wszystkie organa. Za kilka, może kilkanaście dni rozpocznie się ostatnia faza. Przede wszystkim doktor Gudrun nie uśmierzy już bólu. Nie pomoże ani DFR - B, ani też syntetyczne opiaty, które trzymamy w specjalnym bunkrze i po których nawet ten wieszak na fartuchy mógłby mieć wizje edeńskiego ogrodu. Znowu ta poezja, przepraszam...

- To powiedziawszy, niespodziewanie rzucił piłeczką nad głowę Irka, w kąt gabinetu, tam gdzie rzeczywiście stał wieszak, i schwycił ją zręcznie, gdy się odbiła. - Jednym słowem

- ciągnął dalej - przeżyje pan piekło. Ponadto zaczną się coraz poważniejsze zaburzenia równowagi. Będzie pan padał, może łamał kończyny, które nigdy się nie zrosną. Będzie pan wymiotował żółcią, mając wrażenie, że za chwilę resztki żołądka wyrwą się panu przez gardło. Jednocześnie, co naprawdę nieuniknione, nastąpi proces niedowładu rąk i nóg, zakończony całkowitym paralizem. Będzie temu towarzyszyć częściowa lub pełna utrata wzroku. Najgorsze, człowiek jest jakoś tak niefortunnie urządzony, że nie straci pan

przytomności. To może trwać nawet kilka miesięcy. Kilka miesięcy - ślepy, przykuty do łóżka, niepanujący nad fizjologią, skręcany straszliwym cierpieniem, stanowiącym jedyną treść ostatnich dni. Będzie pan klął swoje życie, może wył na całe piętro jakieś niewyobrażalne głupstwa. Będzie pan pamiętał tylko ból, wiedział, że jest z bólu i dla bólu, i że niczego nie ma poza bólem. Dopiero potem, pod sam koniec nastąpi śpiączka, pozorne zbawienie. Odejdzie pan, o niczym nie wiedząc, jak uległa ofiara, wyrzekająca się samej siebie, zdana jedynie na bezwzględność losu, co potrafi zniszczyć nawet godność człowieka, godność mężczyzny też.

Irek skurczył się na krześle i poruszając bezgłośnie ustami, wbijał wzrok w podłogę. Słoneczne cętki na chłodnej posadzce nabierały czerwonego odcienia. Cóż można było powiedzieć po kanonadzie takich słów? Gdy minęła dłuższa chwila, uniosł jednak głowę i bąknął niepewnie:

- Chciałbym wiedzieć, do czego pan zmierza.

Tubiełło wstał, dyskretnie rozprostował kości i przysiadł na krawędzi biurka. Spojrzał z bliska na Irka, a ten dopiero teraz zauważył, że oczy doktora są niepokojące, potrafią przeszywać, mają bladozielone tęczówki wpisane w obwódki o smolście czarnej barwie.

- Wierzy pan w Boga? - zapytał. - Tak odrzekł Irek.

- A czyjego intencje nie są widoczne? Czy te obrazki - rozrzucił plik wydruków badania - nie mówią wyraźnie, do czego Bóg wobec pana zmierza? Ja natomiast chciałbym ominąć gehennę, którą panu sprokurował, i zaproponować *overleading*.

Milcząc, podrzucił kilka razy piłeczkę, a następnie zwinnym ruchem umieścił ją w przezroczystym pojemniku.

- Co to znaczy?

- Nie wyrażam się jasno? Chcę pana przeprowadzić. - Przeprowadzić?...

- Tak jest, przeprowadzić. Mądrze i bezpiecznie przeprowadzić na tamtą stronę.

Irek nie wiedział, jak zareagować.

Czy zebrać siły, wstać w milczeniu i wyjść, czy przypomnieć sobie najbardziej plugawe przekleństwa, zrekompensować wrzaskiem słabość i poczucie bezsensu jakiegokolwiek obrony? A może powiedzieć coś mądrego, o przykazaniach Bożych, o życiu, śmierci, Piśmie Świętym?

Tylko co?

Zrobiło mu się zimno, zacisnął ręce; czuł, że się trzęsą i lodowacieją. Przez chwilę poruszał ustami i mlaskał językiem, jak gdyby próbując dźwięku różnych wyrazów. Wreszcie wykrztusił:

- Pan chce, żebym ja umarł... Doktor uśmiechnął się z politowaniem.

- Czy to aby na pewno ja chcę? Jest pan przekonany, że ja? To ja temu wszystkiemu jestem winien? - flegmatycznym ruchem podniósł do góry plik wydruków, a potem rozluźnił palce. Arkusze ze śliskim szelestem rozsypały się po biurku, kilka spadło na podłogę.

- Przecież to, co pan mi proponuje, to jest... - pociągnął nosem - to jest... Eutanazja to jest!

Tubiełło pochylił się nad nim, zacisnął dłonie na ramionach, przybliżył pachnącą twarz, nieomal dotykając czołem jego czoła. Zajrzał przy tym głęboko w oczy, wzrokiem klującym jak reflektory, które omiatają czarne niebo.

- Dlaczego pan używa tego słowa? - wyszeptał miękkiem głosem. - Jak można nosić w sobie tyle nienawiści? Zrównuje mnie pan teraz z nazistami, którzy podstępnie

uśmiercali nieuleczalnie chorych, albo lekarzami - dewiantami, zafascynowanymi zadawaniem śmierci. Czyja coś przed panem ukrywam, czy robię coś bez pańskiej wiedzy i na przekór Boskim wyrokom? Działam zgodnie z podstawowym prawem natury, a przy tym chcę zapewnić panu spokój, dać absolutną władzę nad samym sobą, dać zwycięstwo nad przeznaczeniem, bo dzięki mnie od pana, a nie od niego będzie zależało załatwienie tej ostatecznej ludzkiej sprawy. Sprawy, o której sama myśl jest dla wielu, nawet zdrowych i młodych, obsesją, największym przekleństwem życia. Będzie to wynikiem pańskiej głębokiej i świadomej decyzji, a nie okoliczności zewnętrznych czy fizjologicznych. Ponadto jest pan wolnym człowiekiem, w każdej chwili może pan wyjść, powiedzieć „żegnam”.

Irek przełknął ślinę, która znowu napływała strumieniem.

- Jak to: wyjść? Przecież pan dobrze wie, że nie mogę i nigdy nigdzie nie wyjdę.

- Istnieje u nas Oddział O-L, na którym podejmuje się takie decyzje. W ciszy, skupieniu, atmosferze szacunku. Jeżeli wyrazi pan zgodę, umieszczę tam pana. Będzie pan dysponował nieograniczonym czasem. Miesiąc, pół roku, ile będzie potrzeba. Będzie pan również mógł w każdym momencie zrezygnować.

- To... takie hospicjum?

- Och, cóż za egzaltacja! Niech pan nie przesadza. Niech pan już nic więcej nie mówi, nie wolno, nic tak nie szkodzi, jak gwałtowne wzruszenia. Powinien pan wyciągnąć się trochę, zdrzemnąć. Wezwę personel, odwiezie pana na salę.

- Sam pójdę.

- Absolutnie... Musi pan unikać nawet i takich wysiłków.

Kiedy już przybyła pielęgniarka z wózkiem i odjeżdżał w najprawdziwszą stronę dal opustoszałego korytarza, bo takim kolorem wykładzin oznaczono całe czwarte piętro, Tubiełło pomachał mu przez otwarte drzwi:

- Niech pan będzie dobrej myśli, panie Ireneuszu!

Na sali Żebujka akurat opowiadał o swoich samochodach. Zachodzące słońce, przesiane przez szczelki żaluzji, kładło mu się na twarzy czerwonymi pasmami, tak że wyglądał jak Indianin w barwach wojennych. Podniósł wezłowie łóżka, rozparł się wygodnie i perorował pełnym głosem. Inni słuchali, półdrzemając bądź świdrując oczami sufit.

Irek siorbnął gorzkiej wody z kranu nad umywalką, wśliznął się pod koc i przytulony do chudej poduszki, słuchał także.

- Pierw miałem malucha-mutanta. Osiemnastolatek był, jeszcze z tymi starymi felgami jak pokrywki, ale po blacharce, podłoga zrobiona ekstra, progi, błotniki z przodu. Ojciec sam miał favoritkę, malucha kupił za dwa tysiące, przyprowadził i mówi: „Chcesz się uczyć jeździć, to się ucz, ale na tym głównie. Jak rozwalisz, to już ode mnie następnego nie dostaniesz”. Taki koleżka z samochodówki mi go zrobił, taki... nie pamiętam... odpadł parę lat temu. Spiłowywało się głowicę, żeby był lepszy stopień sprężania, trzeba było też włożyć specjalny wałek rozrządu z innymi krzywkami, zmienić dysze w gaźniku. Niektórzy też wsadzali przekładnie od cieniasa, ale ja już nie miałem tyle forsy. Potem jeszcze tylko doprowadzić dodatkowe powietrze, wyregulować coś

tam w elektryce i szedł jak szatan, sto trzydzieści, serio! Tyle, że taki silnik siadał bardzo szybko, grzał się jak czort i chochlował, cholera wie ile. Wiosną, w jasne noce, sam albo z jednym kumplem, jakimś Pejpejem, tym, co miał później pub „Bitter Black Nipple” koło starej komendy policji, jechaliśmy na szosę warszawską, a potem w lewo, do Łańska. Tam się dopiero, kurna, fastrygowało po tych asfaltówkach w lesie! Jak Hołek! Radio na *fuli*, aż basami rypało w dekiel, gaz do podeszwy. Pod samą bramę dojeżdżaliśmy, wartownik wylatywał z kałachem, a my światłami po oczach, na pydę i w długą! Drzewa tylko furczały po obu stronach; zakręty pod kątem prostym, droga wąska, najwyżej dwa metry, podobno dlatego, żeby przedtem, no, za komuny, tylko jedna czajka mogła się zmieścić i żeby można było wszystko, co wjeżdża; do lasu, wygodnie namierzać fotokomórkami i podawać sobie od warty do warty. Tu matura coraz bliżej, kwiecień,

ciepło, inni ryli albo przynajmniej dla zasady trzęśli dupami, a ja j łąb na glacę, kółko w nos i tylko sobie jeździłem. Olew absolut. Skasowali mnie, rzecz jasna, na tej maturze od razu, dopiero za trzy lata jakoś tam przelazłem. Albo jeszcze jazdy| z taką jedną Suchą Fućką, a później z Be!

Dla spotęgowania napięcia przerwał, mlaskając! przerzucił gumę z jednej strony języka na drugą, potem jeszcze raz i jeszcze, zrobił wielki, pęczniejący bąbel i aż zatrząś! się z zadowolenia, kiedy ten bąbel pękł. - Matko, kurna, ale to były kominy, ale blachy! I odpal total! Przyświrowało się pigułkami, potem wjeżdżało na imprezę do „Rzeźni” czy „Offa”, bo najbardziej najarani didżeje, a nad ranem akcje, gdzie się dało - w krzakach koło filharmonii, za kioskiem przy dworcu, na murku przed katedrą. Normalna huczka i amplexus, jak mówił taki jeden profesor z Kortowa! Sucha Fućka to sobie od razu wycinała dziury w rajstopach, żeby nie trzeba było szarpać ani ściągać. Tylko słyszałem, jak ludzie dookoła trzaskali oknami. Luz, odlot, wolność totalna, życie na maksa!

- Uj, ladacznik z ciebie, Żebujka! - prychnął Babilon, pociągając przez słomkę sok marchwiowy z pudełka.

- Już nic nie pamiętam, ale jak sobie czasem pomyślę... - Żebujka poruszył się niespokojnie i ukradkiem podrapał gdzieś głęboko pod kołdrą. - Be lepiła potem bułki w piekarni na Likuzach, Sucha Fućka wyjechała do Stanów z takim jednym, co wygrał zieloną kartę. Odpadła teraz, na wiosnę, brata niedawno spotkałem, l wiecie co? Tak mnie to nosiło, że wziąłem rower i pojechałem dać na mszę za Suchą Fućkę. Ale do prawdziwego kościoła, do Józefa, nie do tych tam, kurna, komediantów. Zapomniałem nazwiska i ksiądz odprawiał mszę za Dziołę, bo chciała, żeby tak na nią mówili... Jęknął sobie pod nosem, zamyślił się na chwilę, a potem mówił dalej, zadowolony, że nikt nie wszedł mu w słowo.

- Miałem jeszcze jednego malucha, zwyczajnego, prosto za sklepu, później szarego matiza metalika, różne większe daewoo, w które się upychało teściów, dzieciaki... Bez porównania. Tak nijakie przy tym staruszkę, że coś tam pamiętam, ale mi się myli. Chociaż dzisiejszymi to już zupełnie nie można jeździć, mnie tam mdli. Ci biedni ludzie teraz w ogóle nie wiedzą, co to naprawdę znaczy „samochód”. Wsiadasz, zaraz cię fotel obłapuje i trzyma jak kaftan bezpieczeństwa, kask ci się na czole zamyka, głową nie ruszysz. Wciskasz gaz, wydłuża się i przysiada, podjeżdżasz do czegoś za blisko, sam hamuje, silnik nie pracuje, tylko skwierczy jak smalec. I te obowiązkowe komunikaty głosem: „Źle się czujesz, dziś nie prowadź”, „Pod lewym kołem temperatura plus 11”, „Siedzisz niewłaściwie”, „Skręcasz zbyt gwałtownie”, „Przyśpiesz”, „Zwolnij” - przedrzeźniał i zrzędził dalej: - Nie tylko w samochodzie. Całe życie za rękę, wszędzie cię instruują, jak i co masz robić, kiedy jeść, kiedy spać, w końcu kiedy umrzeć. Wolność przekreślona, wolność zaszczuta, wolność, kurna, zastraszona wolnością!

Żebujka tak się zatracił w patosie ostatnich słów, że nieomal już krzyczał na całą salę, nawet

nie ocierając zaślinionych ust.

- Dokładnie! - potwierdził z oburzeniem łysy współtowarzysz spod przeciwległej ściany, którego łóżko stało *vis a vis* łóżka Irka. - Znajomy wnuka gruchnął w drzewo pod Bisztynką i taki fotel go po prostu zadusił.

Pogardliwie machnął ręką także ten milczący, unieruchomiony, z bejsbolówką na oczach. Ze zdjętych słuchawek, rzuconych byle gdzie między ręczniki i otwarte opakowanie pampersów, dochodziło do Irka stłumione, monotonne dudnienie hip-hopu, którego tamten słuchał bez przerwy dniami i nocami.

„Gdzie można znaleźć miejsce schronienia, do jakiej go ostatecznego portu zawinąć, błądząc po oceanach własnego bólu? - myślał, pogrążając się w przedsennym bezruchu. - Jemu się udało. Uciekł do wielkiej dyskoteki, do laserów i stroboskopowych świateł. Muzyka musi być głośna, rytm tańca zabija rytm czasu. Wszystkie dziewczyny są nieśmiertelne, wszyscy mężczyźni twardzi i młodzi. Nie ma godzin, pór dnia, miesięcy, lat prawdziwa wieczność nie znosił podziałów. Świecą sztuczne słońca i sztuczne księżycy, bój tylko to, co martwe - nie przemija”.

W nocy znowu przypomniał o sobie ból. Dawka DFR - B widocznie przestawała działać i granice ciała Irka wypełniło nieznośne napięcie.

Oczekiwanie na cierpienie jest gorsze od samego cierpienia. Nie można oszukać go snem, myśleniem, zajęciem się czymkolwiek. Wielka cisza sprężona w klatce żeber, uciskająca ogryzek mózgu, obezwładniała i narzucała konieczność bezwzględnego skupienia się na samym sobie. Gdzieś głęboko pod nią, u korzeni kręgosłupa, kiełkowało znajome ćmienie. Pamięć, wola, charakter i zdolność odczuwania były teraz jednym wielkim uchem skierowanym do wewnątrz.

Bał się. Leżał bez ruchu, z oczami otwartymi w ciemności i nasłuchiwał, skąd wyruszy atak.

Salę rozświetlała tylko fioletowa lampka przy drzwiach; chrapaniu i posapywaniu śpiących towarzyszyło monotonne rżenie klimatyzacji. Jedyne sąsiad obok wiercił się, drapał nerwowo, wypychał do nosa swoją nieszczęsną rurkę, która ciągle wypadła i plaskała o podłogę.

- Babilon... - syknął w tamtą stronę. - Nie śpisz?

- Raz zimno, kurczę mać, raz gorąco - odpowiedział taki sam szept.

- Babilon... Masz mieszkanie?

- Eee... Mnie już pół wieku temu w blokach coś śmierdziało i wiedziałem, że trzeba spadać.

Jak tylko wujek zmarł, zaraz poszedłem na jego miejsce do tych kolejowych domów na Żeromskiego, bo nam zapisał. Wiesz, tych czerwonych... Gówniarze jeszcze byliśmy z Karola, rok po ślubie, Przedtem siedzieliśmy u starych na kupie. Stary się nawet wpieniał, że nora, że ciemno, wilgoć, centralnego nie ma, że

lepiej sprzedać, kupić jakieś auto, a resztę jemu pożyczyć. Aleja twardo, wziąłem jeden kredyt, drugi, potem się dokupiło lokal po sąsiadach z przeciwka i spoko - stoi do dzisiaj, jest OK, a cała wielka płyta naokoło - leży. Przecież starzy mieszkali w tym wieżowcu na Jagiellońskiej, gdzie się u nas zaczęła cała ta kałabania. Chwała Panu Bogu, nie dożyli. Najpierw poleciały balkony, wszystkich dziesięć, jeden w drugi, jak karty przy tasowaniu, wtedy, wiesz, na ten furgon z pepsiolą, co w telewizji na całą Polskę pokazywali. Potem fundamenty osiadły, zbrojenia przerdzewiały, każdy klocek odstawał w swoją stronę. Mówili: nic, nic, OK, norma, kurczę mać, trzeba po prostu środków na remont. Aż raz gościu jeden, niejaki Bujda, przyszedł nawalony do domu, pieprznął się spać, nad ranem przewrócił się na bok zbyt intensywnie i zleciał z szóstego piętra, bo nie było już ściany.

Z korytarza dobiegł stłumiony, basowy sygnał. Zaraz potem usłyszeli podwójny, szybki stukot obcasów. Po szkle w drzwiach przemknęły cienie dwóch postaci, a pomiędzy nimi długa platforma, obciążona workowatym kształtem. Kółka piszczały, jak we wszystkich wózkach tutaj, i bez słowa wsłuchiwali się w ten metaliczny spazm, dochodzący długo jeszcze z coraz dalszych czeluści szpitalnego labiryntu.

- Babilon... Ty mi powiedz w końcu, co to jest ten „piękny pokój”?

Sprężyny w sąsiednim łóżku zajęczały, jego lokator mościł się i przeciągał, wreszcie znieruchomiał, oparł głowę na łokciu tak, że nad białym szafki zamajaczyła jaśniejsza plama jego twarzy.

- To nie wiesz?

- Nie.

- Serio? Nigdy nie słyszałeś?

Rurka znowu wypadła mu z nosa. Kichnął, zanim ją tam na powrót ulokował, a potem podłubał jeszcze chwilę w obydwu dziurkach.

- Podobno jest tu taki oddział, i to od początku, jak zbudowali ten szpital ze trzydzieści lat temu. No, wiesz, taki oddział, gdzie każdy może, na własną prośbę, tego... - wykonał jakiś gest, niewidoczny w ciemnościach.

- Umrzeć na własną prośbę.

- Dokładnie. Ale to chyba nie jest złe! Tylu ludzi się męczy niepotrzebnie. A tak wiesz, kiedy, gdzie, jak sam zarządzisz. Już cię śmierć nie zaskoczy, nawet ją można uprzedzić i powiedzieć: „Spadaj, larwo!” Wszystko spokojnie, wszystko, jak ty chcesz. Mówią, że „piękny pokój” to taka wirtualna projekcja z ekstra aparaturą, podobno z dotacji Światowej Organizacji Zdrowia. Kładą cię tam, podłączają, zamawiasz sobie scenerię. Las w słońcu albo plażę na Bahamach, albo dżunglę, albo może komnatę szkockiego zamku w ciemny, jesienny wieczór. Niektórzy wolą na pewno panienki, oczywiście można, bo wszystko można. Elektronika wchodzi,

las pachnie rozprażoną korą, morze szumi, czujesz słoń bryzę, trzaskają polana w kominie i paruje wino z korzeniami albo wydaje ci się, że odwalasz ostatniego sztosu - głos Babilona nabrał tonu tkliwego i przepojonego nutą tęsknoty. - Tak możesz podobno godzinami, długo, ile chcesz. A potem dajesz tylko jedną komendę i powoli zapominasz, kim jesteś, ile masz lat, jak obrzydliwie wyglądasz. Wtapiasz się w to otoczenie i nawet nie zauważasz, kiedy już minąłeś.

- Matko, co za pierdoły! - Irek parsknął śmiechem. - Co za pierdoły! Z pięćdziesiąt lat temu... Gdzie tam pięćdziesiąt! Za PRLu jeszcze słyszałem takie słuchowisko w radiu, w Trójce, w *Powtórce z rozrywki!*

- Nie wiem, ja tam żadnej Trójki nie słuchałem - warknął Babilon obruszony. - Ale jak na mnie przyjdzie czas, to się sam zgłoszę. A co! Ja tam się nie dam kosztować ani chorobskom przechlapać. Pan, kurczę mać, jestem! Gdzie spojrzeć, mam prosto! - dodał z pasją.

Tym razem atak nastąpił na wysokości serca. Ból promieniował spod mostka, płonął i przygasał między łopatkami jak rozdmuchiwany żar. Nie można było oddychać. Każde poruszenie klatką piersiową sprawiało wrażenie stalowego klina wbijanego na skos, przez przepoń, kości kręgowy, i przygwałdzającego do łóżka. Przechylił lekko głowę, złożył usta, jakby chciał zagwizdać, i ostrożnie wciągał wąskie strużki powietrza. Rozpalona do czerwoności tama zaległa w poprzek ciała, od pachy do pachy. Wydawało mu się, że za nią nie ma niczego. Nie czuł brzucha i nóg; czuł wilgoć, lepkość kałuży. Nie był pewien, czy to pot, czy też stracił już władzę nad pęcherzem.

- Babilon!...jęknął.

Tamten jednak spał, odwrócony plecami.

Irek nadludzkim wysiłkiem podniósł ręce do góry i po paru próbach namacał przycisk dzwonka. Siostry zwykle nie przychodziły, ale kiedy nacisnął raz, drugi, a potem jeszcze kilka razy, usłyszał kroki i zobaczył za szybą ciemną sylwetkę.

To była doktor Gudrun. W półmroku gęstwina jej cienkich warkoczyków opalizowała zmiennymi kolorami, piękną głowę oplatały smugi fioletu, błękitu, żółci, jasnej zieleni.

- Chyba znowu masz problem bólu?

Nie odpowiedział. Ścisnął czubki jej palców. Były chłodne i miały gładkość kredowego papieru.

- Spacerowanie w twojej sytuacji nie jest najlepszym pomysłem - powiedziała, przesuwając czytelnikiem po jego piersiach i ramionach.

Potem zrobiła zastrzyk.

Zniósł to o wiele gorzej niż poprzednio. Nie mógł już powstrzymać ślinotoku. Poduszka po paru minutach stała się mokra i napęczniała.

Chwyciły go torsje, których też, w przeciwieństwie do poprzedniego razu, nie mógł

opanować.

Wszyscy przykryli się z głowami, udając, że śpią i niczego nie słyszą.

Wymioty były jednak prawdziwą erupcją radości. Ból odchodził, przychodziła lekkość. Czuł się tak, jakby do wiadra, nadstawianego przez krzywiącą się z obrzydzenia pielęgniarkę, wraz z ohydą, słodką strugą uciekło całe cierpienie i strach.

Bez niczyjej pomocy dotarł pod prysznic i drżąc na całym ciele, umył się od stóp do głów. Kiedy zaspana, naburmuszona kobieta z siwym paskiem włosów przez środek wygolonej czaszki i miedzianym kółkiem przebijającym brew przyniosła świeżą pościel, mógł przeżyć zapomnianą rozkosz ciepła miękkiego posłania, opadania ciężkich powiek, wchodzenia w spokój, jaki przynosi ciemność. Przetrwiał resztę tej nocy najlepiej, jak tylko można - bez snów.

Rano, po obchodzie, w czasie którego Tubieńło zatrzymał się przy nim tylko przez chwilę, puszczając oko błyszczącą pomarańczowo powieką, wyszedł na taras. Tym razem nie był sam. W rogu kolebał się na ażurowym foteliku

stary ksiądz. Podwinął sutannę, zdjął buty, chude jak piszczele bose nogi wystawił ku słońcu między kratami bariery.

Irek nie zwracał na niego uwagi. Rankiem strumienie samochodów, wypełniające koryto zachodniej autostrady, pędziły ku miastu, by za chwilę wdrzeć się w gęstwinę domów i aż do późnej nocy oblepiać tętniącą kolorami lawą uliczne labirynty, zalegać w katakumbach podziemnych garaży. Miasto, wyzłocone porannym światłem, obmyte świeżością nowego dnia, przyciągało i wsysało, pęczniało ludzkim mrowiem. Potężna rzeka bez końca rwała naprzód, z daleka omijając białoniebieskie pryzmy murów Szpitala Nieustającej Pomocy, trwające nad nią nieruchomo i majestatycznie jak góra lodowa.

Uśmiechnął się, bo nagle dostrzegł w tym pejzażu wielką metaforę wszechrzeczy. Galop i bezruch, zwyczajny smak fizyczności i rozkosz urojenia, trywializm spraw codziennych i patos spraw ostatecznych - potężnie naładowane przeciwne bieguny, pomiędzy którymi przeskakują miliardy iskierki pojedynczych losów. Jedyne sens - w elektrycznym wyładowaniu, jedyna prawda w krótkim błysku.

Był spokojny. „Otrzymałem propozycję śmierci” -; powtarzał sobie wiele razy, zdziwiony, że słowa te nie wywołują naturalnej reakcji lęku, nie mobilizują do obrony, nie wyzwają instynktu ucieczki. Może należało cieszyć się z tej niezwyklej wiedzy, jakiej obietnica została mu dana? Stał; o krok od największej zagadki, wpisanej w każdego z nas, jedno słowo wystarczy - i pozna jej początek, może będzie świadom jej pierwszych chwil.

Najgorsze jest pierwsze uderzenie śmierci. Jej nagłe pojawienie się w małym światku



najbliższych sobie osób budzi grozę i konsternację, jakby była ona kimś nieznanym, ma zawsze swoją dramaturgię, scenerię, rekwizyty. Takim rekwizytem był telefon, zapomniane dziś urządzenie, którego napastliwy dzwonek przewrażliwionym ścinał krew i zatrzymywał oddech. Kiedy matka umierała, ktoś polecił mu szybko zamknąć kasę i biec do pokoju kierownika, bo tam przełączono rozmowę. Obojętny głos chrypiał, że zawał, że stan poważny. Zapamiętał długie godziny przed salą intensywnej terapii, tykanie elektrycznego zegara, upał taki sam jak dzisiaj, wreszcie biały fartuch, rozłożone ręce i kobiecy głos mówiący coś w rodzaju: „Nie dało rady, proszę pana, niestety”. Kiedy zupełnie oszołomiony, z teczką w ręku i marynarką przewieszoną przez ramię, rozglądał się potem po korytarzu, nie wiedząc, co robić, widział, jak lekarka wchodzi do swojego gabinetu, z roztargnienia zostawia uchylone drzwi, włącza czajnik, wyciąga grube pismo i przegląda, szeleszcząc lakierowanymi stronami.

Śmierć dla nikogo nie jest tą samą osobą, nie może być także doświadczeniem ogólnym, bo choć ciąży nad wszystkimi, zawsze dotyczy tylko niektórych. U ojca wszakże była wielką ulgą. Pamiętał niekończące się noce na stołku przy szpitalnym łóżku, znużenie, krążenie w kółko po hallu, rozprostowywanie zdrętwiałych nóg, gryzący kwas papierosów wypalanych dla zabicia czasu przy otwartym oknie. Głowa ojca nieruchomo spoczywała na chudej poduszce, czasem otwierał oczy i spoglądał bez zainteresowania albo poruszał wargami i trzeba je było wówczas zwilżać kawałkiem ligniny. Nic nie mówił, zapadał w krótkie, trwające po kilkanaście minut transy snu. Charczał wtedy i rzeził, w kącikach ust pączkowały bąbelki śliny.

Nie ma żadnych łagodnych przejść, śmierć drażni i zwodzi, do ostatka piętrzy przeszkody, stawia zadania, żąda nadludzkich wysiłków.

Podczas snu ojciec zerwał się raptownie z wyrazem bezgranicznego zdziwienia na twarzy, zaklaskał zniemacka w ręce, wyrywając przy tym igłę kroplówki, i z szyderczym uśmiechem opadł już po tamtej stronie.

Światło na sali, doktor, ziewająca pielęgniarka taszcząca parawan. Irek nie odczuł wówczas niczego, co powinien był odczuć porządny człowiek. Bez słowa zebrał swoje rzeczy: kurtkę, dwie gazety, napoczętą paczkę chipsów; trąc szczypiące powieki, zszedł na dół, wciągnął głęboko styczniowe powietrze, które o trzeciej nad ranem smakowało jak zamrożona wódka, i zaczął skrobać szyby malucha.

Ale najwcześniejsza odsłona śmierci, jakiej osobiście doświadczył, to była śmierć Basi. Właściwie pani Basi, dziewczyny mieszkającej w poniemieckim domku obok dziadków, w niedalekim miasteczku, dokąd rodzice co roku wywozili go na lato. „Kiedy to mogło być?” - głowił się przez chwilę. Ciekawe, prawie równo osiemdziesiąt pięć lat temu, jeszcze nie chodził do szkoły.

Dobrze, że liczby niewiele już znaczą, nie powodują zawrotu głowy.

Basia studiowała fizykę w Warszawie, była spokojna i poważna. Często, gdy bawił się w

piasku albo biegał po podwórzu z drewnianą ciężarówką na sznurku, rozkładała niedaleko leżak. Gryzła papierówki, czytała jakieś nudne książki bez obrazków, rzadziej słuchała piosenek z małego radia, podśpiewując sobie pod nosem. Pamięta płową grzywkę i modne zielone spodnierybaczki, obcisłymi nogawkami sięgające trochę za kolana. Musiała go lubić. Zabierała ze sobą, kiedy jechała do sklepu, sadzała na bagażniku wielkiego czarnego roweru i kazała mocno trzymać się siodełka. Paplał coś przez drogę po swojemu, a ona, pedałuąc, zaśmiewała się na cały głos. W ciemnym wnętrzu, pachnącym

chlebem i beczką ze śledziami, dostawał czasem szkliste, zielone dropsy albo ulepkowatego lizaka na patyku, którego drzazgi włożyły między zęby.

Którejś niedzieli ktoś nagle wpadł do ogródka i krzyknął:

- Słyszeliście? Basia się utopiła w jeziorze w Warbunach!

Późnym popołudniem przywieziono ją do domu. Żukiem z piekarni, dziadek mówił, że nie było innego transportu. Może wtedy nie zabierano na sekcję, może sprawa była jasna - szok termiczny po skoku do wody przy trzydziestostopniowym upale.

Samochód wjechał na sąsiednie podwórko. Irek podkrał się od tyłu, wsadził nogę we wnękęstopień do wsiadania, chwycił obiema rękami za wyslizgany bort i z ciekawością zajrzał pod plandekę. Wewnątrz panował półmrok rozjaśniony słonecznymi strzępami, wpadającymi przez szpary. Na deskach białych od mąki leżał podłużny, nieruchomy kształt okręcony kraciastym kocem, spod którego wędrowały jeszcze w różne strony cienkie strużki wody, obok siatka na zakupy wypchana kłębem plażowej sukienki, wetknięte w nią pudełko kremu i ciemne, najmodniejsze okulary „chytry kotek”. Z domu dobiegał spazmatyczny kobiecy lament, falami przechodzący w gardłowe łkanie, tłukący się potem o mury okolicznych domów przez całą bezsenność noc, aż do rana. Zeskoczył i uciekł, zaczepiając ubraniem o krzaki porzeczek. Nie pamięta pogrzebu. Następnego dnia ojciec zabrał go do domu, to był chyba koniec sierpnia. Jednak po latach, kiedy w miasteczku nie miał już nikogo i przyjeżdżał tylko zajrzeć na niewielki cmentarz, gdzie leżeli dziadkowie, starał się choć przez chwilę zatrzymać przy Basi.

Pomnik uważano powszechnie za ekscentryczny, przyciągał uwagę, nawet gorszył. Był rzeczywiście inny niż wszystkie. Projektowany podobno przez jakąś artystyczną znakomitość, stanowił niespotykany przykład zastosowania w takim charakterze nowoczesnej sztuki początku lat sześćdziesiątych. Śnieżnobiały obelisk zakończony żelaznym krzyżem, wyższy od człowieka, tak że na krzyż można było spojrzeć, jedynie zadzierając głowę, obok wstęga marmuru, zwinięta w ustawioną pionowo pętlę, powykręcana, zwichnięta; ni to płatek kwiatu, ni obrys serca, może łodyżka, co zwiędła przedwcześnie, złamana wpół, dotykająca ziemi końcem, który przecież miał rosnąć wysoko.

Nie chodziło jednak o prostoduszne skojarzenia - kiedyś zrozumiał, że to była metafora

krzywdy, konceptualna deformacja przestrzeni, ukazująca, czym jest świat bez Basi.

Z roku na rok biel pomnika stawała się coraz bardziej matowa, topniały lawiny kwiatów, przedtem szczelnie pokrywające płytę i niklowane słupki, ubywało lampek zapalanych na Wszystkich Świętych. Przestał przyjeżdżać narzeczony, którego ludzie widzieli podobno kilka razy w zwykłe, powszednie dni, jak rano, zziębnięty, wymęczony podróżą, gna pustymi ulicami prosto ze stacji na cmentarz, żeby zaraz zdążyć z powrotem na warszawski pociąg, odchodzący za trzydzieści pięć minut. Życie oddalało się w swoją stronę, a Basia w swoją. Biel na pomniku ustępowała miejsca szarości, lśniąca powierzchnia, kluta mrozem i chłostana deszczami, zaczęła pękać, obnażać warstwy zlepionych ze sobą kamyczków, bo widać marmur nie był prawdziwym marmurem. W końcu raz na zawsze znikły żywe kwiaty, zamiast nich ktoś położył wianuszek ze sztucznego anturium. Kiedy

z dziesięć lat temu Irek pojechał tam po raz ostatni, nie było już i wianuszka. Obelisk przekrzywił się niebezpiecznie, płyta wrosła w ziemię. Mógł tylko podnieść oderwaną kamienną tabliczkę z zatartym nazwiskiem, przetrzeć chustką i troskliwie oprzeć o gzyms pokryty zielonym lizajem.

Cmentarze nie mają w sobie żadnej grozy, to Sargassowe Morza na Oceanie Czasu. Pierwsze uderzenie śmierci trwa krótko, ból mija, po nim wkracza na zawsze odwieczny bezruch, rodzaj jakiejś skamieliny żalu, pamięci, wrażeń, która wypełnia spowodowaną ciosem pustkę. Monumentalne bramy albo skrzypiące, zardzewiałe furtki otwierają się na ciche przestrzenie, gdzie godziny, miesiące i lata nabierają konsystencji gęstego syropu albo przypominają roztopione szkło. Wicher historii traci impet na zmurszałych płotach, bagnetach żelaznych ogrodzeń, a świat widziany z perspektywy kruszejących pomników, zapomnianych krzyży o dumnie jeszcze wyprostowanych ramionach, wygląda, jakby był zaludniony wyłącznie przez dalekich przechodniów.

Pojedyncze postacie przemykają w odległym prześwicie bramy albo migają między szczeblami parkanu na chodniku od strony życia. Fasony nakryć głowy, krój spodni i kurtek, kształt i odgłos obcasów, obojętne plamy twarzy, unoszone w dal szybkim krokiem, zaświadcza o nieustannej zmianie poza magiczną granicą tych enklaw, o kołowrocie epok, o odwiecznej opozycji trwania i nieskończonego przepływu.

Gdy tak rozważał właściwości czasu życia oraz etapy przechodzenia jego progu, Sabin Tubiełło objawił mu się znieca jako konkwistador, zdobywca, waleczny rycerz Nowej Ery, odmieniający tuż za progiem tysiąclecia skostniałą procedurę istnienia świata. Uświadomił sobie, że cała kultura, cała sieć utkana przez pokolenia, rozpięta na przęsłach wieków i spływająca w mgłę przeszłości, ma swoje źródło właśnie w nieobliczalności śmierci, w obawach o godzinę jej przyjścia, w strachu przed zaskoczeniem, które zawsze przynosi. Oto więc jest prawdziwe oblicze

kary, wymierzonej po wygnaniu z raju, najsrozszej, bo paradoksalnej: jedyna pewność w naszym niepewnym bycie jako największa tego bytu tajemnica. Starożytni sofisci starali się śmierć zlekceważyć, odurzyć winem, utopić w zalotnych spojrzeniach pięknych młodzieńców, wysyłali Syzyfów, by pojmać ją i uwięzić. Mistrz Polikarpus był o wiele mniej naiwny, chciał zajrzeć w jej krwawe oczodoły, dotknąć gnijącego ciała, przekonać się, czy lepiej czekać na nią pokornie, jak nakazywano z ambon, czy może dać się ogarnąć płomieniowi buntu chartryjskiej bądź joachimickiej herezji. Romantycy sprowadzili śmierć do mało znaczącej, pogardzanej przypadłości cielesnej. Potem potrafiła jeszcze wchodzić w rolę kochanki, bywać kaprysem, narzędziem zemsty, miejscem schronienia dla najwrażliwszych. Gdyby nie jej nonszalancja i brak zasad, nie powstałoby wiele wierszy i pamiętników, nie wiadomo, jaką postać przybrałby na przykład słynny *Kwartet dmolll* Schuberta, ile życiorysów „przeklętych” poetów nie weszło by do ponadnarodowej mitologii. Dopiero Tubiełło, ba, cała współczesna generacja Tubiełłów rozpoczęła żmudny proces ujarzmiania śmierci, osławiania jej i kształtowania tak, aby służyła nowemu człowiekowi.

Słońce paliło już bardzo dokuczliwie, wycofał się zatem w cień i znalazł przy księdzu, który podobnie jak on, milcząc, patrzył na miasto przyparte do ziemi upałem.

Zapytał o mszę.

Ksiądz odwrócił ku niemu spłowiałe oczy. Jak większość starszych mężczyzn, nie miał makijażu.

- Od dawna tu nie odprawiam. Nie mam dostępu do kaplicy, już sześć lat temu uniwersaliści ją wykupili. Czasem, jak się znajdzie parę osób, to w jadalni albo pod schodami, szybko, póki kto nie przepędzi.

Mówił śmiesznie, niewyraźnie, niektóre słowa kaleczył. Zamiast „się” wymawiał „sze”, „sześć” zabrzmiało jak „szeszcz”, „dostępu” jak „dosztępu”.

- Prawdę mówiąc - Irek poskrobał się po czole - odszedłem od Kościoła. Nie z jakichś specjalnych powodów, bez nienawiści, zwyczajnie - kiedyś tam wiara po prostu przestała mnie interesować. Teraz chciałbym wrócić, ksiądz sam widzi, dlaczego. Wystarczy na mnie spojrzeć.

- Nie wygląda mi pan na kogosz, kto odszedł. Może sze panu tylko tak wydaje? Powrót wyłącznie od pana zależy, pan musi chcieć wrócić, ksiądz nie jest bileterem ani nie wydaje paszportów.

- Kto to są ci uniwersaliści? Słyszałem, oczywiście, ale nie chciałem sobie zawracać głowy. Sekta jakaś?

- Nie szekta, raczej insztytuczja. Międzynarodowe konsorcjum. Dzierżawią kościoły, czasem starają sieje wykupywać, niektórym księżom proponują kontrakty na godziny zleczone pod warunkiem przeszkolenia. Mówią, że ich nie interesuje światopogląd kapłana, tylko profesjonalizm. Usługi religijne - najszersza gama, najwyższy poziom - tak tę swoją działalność

nazywają w reklamach, widział pan? Mnie nie proponowali, ja sze nie nadaję, zresztą bym nie Przyjął. Sam też już nie mam *de facto* parafii, a tu jestem kapelanem trzydziesty szósty rok, od samego początku, przychodzę codziennie, bardziej teraz z przyzwyczajenia niż z czyjejś potrzeby.

Irek przywłókł spod ściany koślawe krzeselko, ciągnąc je ze zgrzytaniem po terakocie, i usiadł obok.

- Czy mogę z księdzem trochę porozmawiać, zapytać o coś? Proszę pozwolić, pewnie więcej nie będzie okazji.

Ksiądz popił wody mineralnej z ekologicznej butelki z grubego szkła, włożył ją na powrót do staromodnej teczki, milcząc, otarł kark.

- Ja jestem prostym człowiekiem, zwyczajnie myślącym. Nie mam tyle złośliwości, żeby umieć odpowiadać na pytania, jakie dzisiaj ludzie zadają księżom - odrzekł po chwili.

- Chciałem tylko zapytać o wygnanie z raju. Zawsze mi się zdawało, że pierwsi ludzie byli nieśmiertelni, a śmierć to kara za nieszczęsne łakomstwo i ciekawość...

Duchowny chrząknął niecierpliwie, jakby zmuszano go do wysiłku, którego podejmować akurat nie miał ochoty.

- Nie tak, nie tak... Kara polegała na wzbudzeniu potrzeb ciała, nad którymi nie można zapanować, a więc namiętności fizycznych, tych wszystkich błogości i swędzeń, co człowiekowi skutecznie przesłaniają rzeczywistość. Ale nie tylko, także na otwarciu drogi dla pożądań innej kategorii: bogactwa, dominacji, sukcesu wywodził niechętnie, matowym głosem. - To też jest coś w rodzaju rzuconego na oczy bielma, najpierw niepozwalającego rozpoznać fałszu, a potem powodującego niepewność, wątpliwości. Adam i Ewa, gdyby zostali w raju, musieliby, rzecz jasna, cieleśnie umrzeć, tyle że śmierć bardzo konkretnie wpisywała się do porządku ich życia. Nie powodowała strachu ani rozpacz, bo stanowiła takie samo oczywiste dobro, jak wszystko, co ich spotykało w tych cichych ogrodach nad Gichonem i Eufratem. Nie musieli w Pana Boga wierzyć, znali Go przecież osobiście. Żywot wieczny duszy to także nie była dla nich kwestia wiary w coś albo nie, to było zwyczajne prawo natury. Przecież nie może pan powiedzieć, iż nie wierzy, że zielony pączek zamienia się w piękną różę albo, na przykład, że jesienią jabłka spadają z drzew.

- To czym jest to rajskie szczęście? Zapewniony komfort zbawienia, wegetacja bez pragnień, czyli i bez spełnień, bez seksu i radości ciała, bez ryzyka, nawet bez satysfakcji z pracy, tworzenia czegokolwiek, co daje zadowolenie, bo praca też przecież spadła na nich jako kara. Szczęście dwóch mumii zażywających gwarantowanego świętego spokoju! Dobrze, że Bóg ich w końcu wyrzucił, widzę w tym drugi etap aktu kreacji, właściwe, dosłowne uczłowienie, wypełnienie krwią.

Ksiądz zamrugał oczami.

- Rajskie szczęście to niezakłócona niczym świadomość ideału, życie bez zła, a co za tym

idzie - pewność każdego kroku, zupełna nieznajomość lęku, sztetu, może nawet choroby. To także całkowita władza nad sobą; cokolwiek uczynisz, zawsze będzie zgodne z intencją Pana - czyli w konsekwencji bezgrzeszność. No i funkcjonowanie w pięknie, pojęcie piękna bez zastrzeżeń, znaków zapytania, jako jedynej możliwej kwalifikacji Boga, natury, myśli, przedsięwzięć. Zawsze tak to rozumiałem...

Obydwa zamilkli. Słońce stało coraz wyżej i pomyśleli o powrocie do chłodnych, szpitalnych wnętrz.

- Proszę księdza, ja coś zrobiłem... - odezwał się jednak Irek.

Rozmówca badał go wzrokiem przez dłuższą chwilę. Ślizgał się wzrokiem po skórze pokrytej brązowymi plamami, roztrzęsionych rękach, chudych jak wiórki, tonących w zbyt obszernych rękawach szlafroka, po twarzy przypominającej pieczone jabłko.

- Domyślam się... o pana doktora Tubiełłę chodzi? Czy tak? - zapytał jakby z zażenowaniem.

Irek skinął głową.

- Zgodziłem się. Pójdę do pięknego pokoju. Nie mówiłem mu jeszcze, ale jutro to zrobię.

Ksiądz patrzył na niego, długo namyślając się, co powiedzieć.

- Tak, już kilka razy przychodziło mi rozmawiać o tych rzeczach. Nikogo nie przekonałem - przyznał. Za chwilę jednak zmienił ton, zaczął szeptać jak w konfesjonale:

- Pamiętaj, sięgasz po to, co nie twoje. Grzeszysz sztraszliwie, nie oparłeś się pokusie wyręczenia Go. Ja jednak patrzę na ciebie i widzę: jesteś sztary, chory, opuszczony. Może upadłeś pod ciężarem, może zgnębione ciało potrzebuje ulgi za wszelką cenę, a dzisiejsi ludzie odbiegli tak daleko, że, skołowany, zgubiłeś się gdzieś po drodze? Sztraszny świat, jaki sztraszny... Wcale nie piękny. Nie będę cię potępiał, w twojej sytuacji to już zupełnie bez sensu, ale też nie mam jak pocieszyć. Najwyżej spokoju mogę życzyć. Dopiero tam, na górze, z Nim we własnej osobie o tym będziesz gadał, Tubiełło też kiedyś będzie, niech szobie Bóg wie co nie myśli. Poszukaj mnie, jeśli poczujesz taką potrzebę. Nazywam się Edwin, jestem tu, jeszcze mnie można znaleźć po różnych ciemnych kątach tego molocha.

Kiedy wracał do sali, usłyszał ze swojej szafki pulsujący sygnał modemu. Cofnął się za próg i zaczął czekać, aż igielkowy pisk ucichnie, dopiero wtedy wszedł.

Wszyscy rozpełzli się po korytarzach i screeningroomach, gdzie można było zamówić serwisy albo ściągnąć sobie jakiś film dla zabicia czasu. Został tylko Babilon i oczywiście Nieruchomy, jak zwykle odgradzony od świata słuchawkami i mrokiem pod czapką, zsuniętą dziś na całą twarz, tak że koniec daszka unosił się i opadał od ciężkiego oddechu.

Babilon leżał na plecach, z rękami pod głową. Nie miał już rurki w nosie, za to z kąta ust wystawał mu czerwony przewód, podłączony do gniazdka w panelu nad łóżkiem. Drugi przewód, żółty, biegł od lewego przedramienia do innego gniazdka, obok przełączników z żarzącymi się diodami.

- Nie odpowiadasz? - wskazał w stronę szafki.

Kabelek musiał mu sprawiać wiele kłopotu. Zniekształcał słowa, a przede wszystkim powodował obfite toczenie śliny, wsiąkającej w grube opatrunki przymocowane do szyi i brody.

- Urządzili mnie, kurczę mać! Ciągłe nic się nie trzyma kupy. Każdy penetrator wyrzuca co innego, nic nie pasuje, żadna cyfra się nie *zgadza*, siara i tyle... Doktor powiedział, że gdyby uwierzył wynikom, wyglądałoby to tak, jakbym miał cząstkowe objawy wszystkich schorzeń z całego oddziału i, na dodatek, jakby zmieniały się co godzina. Stało na tym, kurczę mać, że nie wiem, na czym stoję! A przecież tylko woreczek mi wycinali! Dali mi teraz stały podgląd, o, widzisz! Mam leżeć plackiem, jak ten tam... Znowu nie wiem, kiedy wyjdę.

Irek zapytał o kaplicę.

- Olej to. Na co ci? Nie pomoże. Ja od zawsze olewam. Do tamtych nie chodziłem i całe życie nic mi się nie stało, to u tych też nie będę z siebie, kurczę mać, jajec robił. Zero polityki, zero religii, zero strachu! wycedził Babilon, ale przedtem skrupulatnie udzielił żądanych informacji.

Myląc windy i pokonując gmatwaninę korytarzy, Irek znalazł się wreszcie na błękitnym poziomie E. Kolor przybrudzonego błękitu miała tam posadzka, taki sam kafelki, którymi wyłożono ściany. Wiele z nich dawno odpadło, a puste miejsca ktoś zasmarował ciemnoczerwoną farbą, tak że cała perspektywa korytarza wyglądała jak serweta ochla- i pana konfiturami z żurawin.

W hallu przed kaplicą było jednak czysto i połyskliwe. Do wnętrza wiodły ostrołukowe drzwi, otoczone imitacją muru z gotyckiej cegły. „Uniwersalny Kościół Boga Ojca Jedynego” - głosiły złociste litery, powyginane jak płomyki wokół tak samo złocistego trójkąta z wpisanim węń ruchomym, mrugającym okiem barwy liliowej. Kilkanaście osób w szlafrokach czekało już na nabożeństwo, pogadując półgłosem i szeleszcząc ulotkami reklamowymi, których sterty pokrywały rozstawione w różnych miejscach stoliki i konsolki.

Irek przycupnął z boku, za pnączami sztucznego bluszczu, tchnącego także sztucznym, wilgotnym powiewem. Najpierw porozkoszował się trochę dochodzącymi niej wiadomo skąd dźwiękami harfy, a potem zgarnął kilka prospektów i również zaczął je przeglądać.

„Z Kościołem Uniwersalnym przez tajemnice ludzkiej duszy” - przeczytał w pierwszym folderze, reklamującym dalej wirtualne programy nabożeństw katolickich, Ewangelicko - Augsburskich i noworeformowanych, mormońskich, koptyjskich, prawosławnych

oraz niechrześcijańskich

\_ między innymi islamskich obydwu odłamów i judaistycznych; opisującym sposoby ich instalowania w domowych terminalach oraz zachwalającym ceny z promocyjnymi zniżkami dla rekonwalescentów, mogących okazać certyfikat Szpitala Nieustającej Pomocy. Okładkę broszury zdobił wielowymiarowy wizerunek rezydującego w Albuquerque, stan Nowy Meksyk, Arcypatriarchy Kościoła, którego nobliwa powierzchowność, zależnie od kąta spojrzenia, ukazywała się pod postacią popa, rabina, katolickiego księdza i tybetańskiego lamy.

Znalazł także ulotkę zachęcającą do kupna „modułu konfesyjnego”, który zapewnia intymną, domową spowiedź wobec kryteriów moralnych sformułowanych przez dwudziestu czterech światowej sławy filozofówetyków. Moduł oczywiście nakładał pokutę, dawał nawet wypracowaną dzięki żmudnym badaniom możliwość porównania jej z zadośćuczynieniem, jakie zostałyby nakazane przez najsurowszych spowiedników ponurych stuleci - wszystko brzmieniem głosu samego Arcypatriarchy, zaprogramowanego w dwudziestu pięciu językach europejskich do wyboru.

- „A co na to Padre Pioda Pietrelcina?” - pocziwa gospodyni domowa pyta na zdjęciu swojego męża, podstarzałego playboya o łajdackiej gębie, ze wstydem i skruchą spozierającego znad talerza z napoczętym kotлетem.

„Tylko Pan na Niebie zna moje sekrety!” - wyznaje zielonowłosa dziewczyna z innej fotografii, wskazując paluszkami na oddzielny mikrofon i klawiaturę urządzenia.

„Od Twoich narodzin aż do Twej śmierci” - brzmiało następne ogłoszenie. Pod napisem umieszczono dwa zachodzące na siebie obrazki: Uśmiechnięty kapłan w kolorowych szatach, ku radości pary rozpromienionych, młodzieńców

rodziców, podnosi do góry równie szczęśliwego, tłustego bobasa. Obok tenże sam kapłan, inaczej już ubrany i z poważnym wyrazem twarzy, w skupieniu kładzie dłoń na widocznym fragmencie jakiejś mocno politurowanej drewnianej krawędzi, zapewne wieku trumny.

Kilka minut przed siedemnastą ton harfy stał się niepokojący, puls dźwięków szybszy, coraz głośniejszy, wręcz napastliwy, jakby za nic mający naturalną delikatność tego instrumentu. Rozmowy umilkły, rozległo się drażące głęboką ciszę bicie niewidocznego zegara.

Równo z piątym uderzeniem otwarto drzwi. Stał przed nimi wysoki, chudy ksiądz w powłóczystej sutannie, ciągnącej się po ziemi jak krynolina. Skłonił się uroczyście i wykonał zapraszający gest. Weszli speszoną, człapiącym kapciami tłumkiem.

Kaplica przypominała wnętrze rozłupanego ametystu, grotę o pełnych załamaniach, półprzezroczystych ścianach, które w zalegającym tam ciepłym mroku opalizowały lekko fioletem i mocną czerwienią. Światło, niewiadome, naturalnie słoneczne czy sztuczne, załamywało się wysoko i grało złocistym kurzem jak pod wypiętrzoną ku niebu sklepieniem katedry.



Irek razem z innymi wszedł między rzędy amfiteatralnie ustawionych krzeseł.

Ksiądz, podobny do olbrzymiego czarnego przecinka, wyrósł na środku prezbiterium, przed ołtarzem w kształcie ginącego we mgle górskiego szczytu.

- Dziś msza łacińska, przedsoborowa - oznajmił, wznosząc ramiona, i znieruchomiał.

Przestrzeń nagle stężała wokół białych dłoni, podświetlonych dyskretnie, jak dwa srebrzyste groty uniesionych nad majestatyczną, ciemną sylwetką.

Przejmująca cisza wysubtelniła półkula zastygłych w oczekiwaniu twarzy.

I raptem zagrzmiały gwałtowne uderzenia bębnow, potężne organowe akordy zwały się na głowy spragnionych, betonowy nieboskłon i cztery filary kaplicy rozbłysły żywym ogniem. U stóp księdza wytrysnął gejzer białego światła, spowijający całą postać pulsowaniem iskier, błysków, srebrzystych wstęg, jakby za chwilę miała ulecieć w powietrze.

Z tajemnych miejsc między niebem i ziemią wystrzeliła w górę ściana ludzkich głosów. Zdawało się, że przebija sklepienie.

- *In Te, Domine, speravi: non confundar in aeternum!* - śpiewał niewidzialny, może naprawdę nigdy nieistniejący chór, a gwałtowna, pełna rozmachu muzyka potęgowała dostojność hymnu.

- Czad, czad! Ale czad! - pisnęła obok podniecona staruszka, brzęcząc bransoletami na rękach i nogach. - Kumaj, Agucha! Nie wsiąkaj! - szturchała łokciem sąsiadkę, nie za bardzo widać zorientowaną, gdzie jest i co się dzieje.

Tymczasem chór zamilkł, prezbiterium zalała błękitna poświata, rozległy się słowa księdza, dźwięczne, donośne, osadzone na ledwo teraz słyszalnym, lecz niepokojącym keyboardowym rytmie:

- *Judica me, Deus, et discerne... et doloso erue me!*

Z różnych stron odpowiadały im starannie wypracowane brzmieniowo głosy altarystów, niewidzialnych tak samo jak chór:

- *Quia tu es Deus, fortitudo mea... Et introibo ad altare De/... Sicut erat in principio...*

Ksiądz składał i rozkładał ręce, wstępował na stopnie ołtarza i sfruwał z nich niczym czarny obłok. Przemieszczał się tak, jakby nogi wcale nie były mu potrzebne; można było odnieść wrażenie, że płynie kilka centymetrów nad mozaiką podłogi.

Irkowi jednak wyraźnie czegoś brakowało w tej doskonałości ruchów, w tym od dawna przecież zapomnianym obrazie liturgii, lśniącego ornatu, rzędów świec. Po chwili już wiedział: „On przecież ani razu nie ukląkł!”

Uczestnicy nabożeństwa nie musieli nic robić. Naokoło ciągle zmieniały się kolory, chóralne pieśni rozbrzmiewały gdzieś nad ich głowami, piękne głosy za nich wypowiadały teksty łacińskich i rodzimych modlitw. Niektórzy z zachwytem przyglądali się coraz to nowym efektom, inni z zamkniętymi oczami podrygiwali do taktu muzyki.

Smuga światła odsłoniła ogromną księgę, spoczywającą na kamiennym pulpicie. Książę pełnym namaszczenia ruchem przewrócił jedną kartę i ogłosił czytanie z Ewangelii świętego Mateusza. Ale to nie on był lektorem Świętej Przypowieści.

Najpierw uroczyście zagrzmiały trąby, a później z wysoka, znad ołtarza, spod samego stropu udającego niebo, rozległ się poważny, budzący respekt głos:

*/ przystąpili do Niego faryzeusze i saduceusze, i kusząc, prosili Co, żeby im pokazał znak z nieba.*

*A On, odpowiadając, rzekł im: Gdy nastanie wieczór, mówicie: Będzie pogoda, bo się niebo czerwieni.*

*A rano: Dziś będzie niepogoda, bo się niebo czerwieni i jest zachmurzone. Oblicze nieba umiecie rozpoznawać, a znamion czasów nie potraficie?*

*Ród zły i cudzołozny domaga się znaku, ale znak nie będzie mu dany, chyba tylko znak jonasza. I opuściwszy ich, odszedł.*

Po tych słowach zapadła ciemność i cisza, dopiero za czas jakiś wiązka jasności wyłoniła księdza na wąskiej mównicy, podkreślając bladość policzków i rysy, które nagle stały się ostre, podobne do płaskorzeźb na gotyckich sarkofagach.

- Czcigodni i prawi! - przemówił duchowny twardym tonem. - Kiedy Bóg Ojciec w akcie tworzenia wyrzekł owo pamiętne: *Fiat!*, kiedy z ziemskiego prochu ulepił człowieka i w imię ojcowskiej miłości nadał mu rozum i wolną wolę, nie oznaczało to, iż pozostawia go samemu sobie. Na ogół umieliśmy spożytkować te najcenniejsze Boskie dary. Tysiąclecia rozwoju ludzkości dowodzą, że nasze próby i błędy, nasze kluczenie, jak mówi poeta: *między drogami prostymi a manowcami*, przybliżało nas coraz bardziej do absolutnej wiedzy o tym, czym jest ów Boski intelekt i czym jest Boskie rozumienie wolności. Każdy wynalazek, każda nowa książka, ale też i każdy niegodny występki, pojedynczy bądź zbiorowy, granice tejże wolności coraz silniej precyzuje i określa. Nie w tym rzecz, aby były one stałe, bo cóż stałego na tym świecie, cóż niezmiennego? Chodzi o to, aby były zawsze jasne i każdemu wiadome. Drodzy i czcigodni! Mimo że tyle mamy powodów do dumy, że wiemy o sobie tak wiele, iż więcej chyba wiedzieć już nie można, to często w chwilach złudnego zwątpienia zdarza nam się porównywać nasze życie do żaglowca dryfującego po oceanie. Rzadko pamiętamy o Bogu, gdy wiatry znoszą nas na spokojne wody, ku cichym, słonecznym zatokom; wtedy zapominamy

nawet o prostym słowie: dziękuję. Inaczej jednak jest, gdy nieubłagany prąd popycha nas ku strefom burz i zdradzieckim skałom!

Książę dramatycznie zawiesił głos, rozległ się złowrogi świst wichru, łopot płótna, przerażający trzask łamanych desek. Powiew prawdziwego, zimnego wiatru smagnął po policzkach i czołach zebranych. Ponury blask powlókł ludzi, sprzęty i samą osobę kaznodziei grubą szarością,

jakby warstwą popiołu.

- Wtedy dopiero wznosimy oczy ku niebu i gorączkowo wołamy: Dopomóż! Uratuj! W Tobie nasza nadzieja! *A więc: Pokaż znak z nieba*, interweniuj, działaj, zrób coś w mojej sprawie! Ale zrób tak, by przy okazji jeszcze udowodnić, że w ogóle jesteś! - Spuścił pełen zażenowania wzrok i zaraz dodał z wyrzutem: - Zupełnie jak owi faryzeusze do Jezusa Chrystusa, o czym w czytaniu dzisiejszym rzecz Ewangelista! Tysiąclecia minęły, a nic, nic się nie zmieniło. Żądamy zatem, aby nagle przyszło wybawienie z zewnątrz, aby jakaś tajemnicza siła zniszczyła powody naszych strapiień. Chory chciałby ręki sięgającej z nieba, która cudownie usunie ognisko cierpień i zablizni rany, dłużnik marzy o piorunie obracającym w perzynę bankowe bazy danych, lokator rozbieranego domu śni o nagłej odmianie losu i zażywaniu spokoju pod zacisznym dachem. *Oblicze nieba umiecie rozpoznawać, a znamion czasu nie potraficie?* - pyta Jezus. Trudna jest Boska miłość, tak jak każda inna wymaga i cierpliwości, i zrozumienia, i wyrzeczeń. Ale nie szukajcie jej wśród gwiazd, nie patrzcie w niebo - patrzcie w siebie! Choremu potrzebny będzie nie skalpel niebiański, ale odporność i potęga ducha, dłużnikowi nie czarodziejskie wymazanie cyfr, ale w czwórmasób zwiększony wysiłek, nieszczęśliwemu panu domu nie zbawienne sny, ale pomysłowość,

upór, a może i przebiegłość w Boskim dziele budowy nowego gniazda!

Nagle rozstąpiły się chmury i ziemię zalało płynne złoto, pomieszone z radosną, rozkrzyczaną purpurą. Wszystko naokoło zdawało się brodzić w jasności. Była ona wszechobecna, migocącymi konturami otaczała sylwetki ludzi, ściekała ze ścian i sprzętów, kałużami gromadziła się na podłodze, najpierw sięgała po kostki, potem po kolana. Irek odetchnął głęboko zapachem świeżych liści zmoczonych przelotnym deszczem, nieomalże usłyszał dochodzące z daleka ćwierkanie ptaków. Może zresztą słyszał je naprawdę. Ukryte gdzieś, doskonale urządzenia generujące szczelnie wypełniały dźwiękami każdy decymetr kwadratowy powietrza, przeszywany ponadto ze wszystkich stron falą światłocieni i tęczowymi smugami.

Tymczasem kaznodzieja z tą samą determinacją, ale też i z optymizmem kończył swoją naukę:

- Ileż to Boskich wyobrażeń poznaliśmy do tej pory! Ile dostarczyli ich nam malarze, poeci, myśliciele przebrzmiałych wieków! Bóg - sędzia, Bóg - okrutnik, Bóg - artysta, Bóg - mistyczna tajemnica. Odrzućcie to, z całą mocą powtarzam: odrzućcie! Nie ma żadnej granicy między rzeczą Boską i rzeczą ludzką, to tylko nasza ziemską logiką szwankuje, przestaje działać, kiedy wchodzimy w sferę nieskończoności, i podpowiada nam brednie. Wiersze, rysunki, tajemne księgi trzeba zostawić estetom, okultystom, fantantom, których rzekoma ostrość widzenia wszechrzeczy tak naprawdę nazywa się po prostu: schizofrenia.

Czcigodni i prawi! Każdy z was to świątynia Boga Ojca Jedynego. Bóg nie byłby sobą,

gdyby nie przemawiał językiem niezrozumiałym. On nie daje znaków na niebie, nie jest szaradziwą ani konferansjerem zgadujzgaduli, nie potrzebujecie w pogoni za nim zapędzać się do krain, których nie znacie, Wszystkich was uczynił mądrymi i pięknymi, i tacy naprawdę jesteście! Ale żeby to okazać, żeby to wykorzystać, musicie Go w sobie odnaleźć. Szukajcie, szukajcie głęboko, dniem i nocą ciemną szukajcie! Bądźcie zdecydowani i silni, to ważne szczególnie tutaj, dla was, doświadczonych dobrodziejstwem choroby! Dobrodziejstwem, bo może choroba właśnie pozwoli wam dotrzeć do potęg, których istnienia nawet nie przeczuwacie na dnie waszych dusz. Niezmierzona jest bowiem szczodrość Boga Ojca Jedyne! Niech zatem wasze wybory będą jednoznaczne i proste, wola wasza żelazna, postanowienia prężne niczym barki Samsona. Bóg Prawdziwy nie wymaga ani skruchy, ani pokory, ani umartwień. Czy bowiem boskość może być aż tak małostkowa? On chce tylko, żebyście uważnie wsłuchiwali się w jego głos, bo w nim jedynie prawda i droga do szczęścia. On nie daje znaków z nieba, bo część siebie w was pozostawił, bo objawia się przez wasze istnienie i wasze działanie. To wy jesteście Jego znakiem na Ziemi, którą dla was stworzył i wam oddał. Bądźcie pewni Jego pewnością, mocni Jego energią, wyniośli i dumni Jego wielkością! Idźcie i zwyciężajcie! Miejcie Go w sercu i zawsze pojmujcie dosłownie, bo On nie znosi metafor. Amen.

Organy zagrały kleiście i chrypliwie, ściany znowu zmieniły kolor- od gorzkiej trawiastej zieleni, przez zielenie chromowe, oliwkowe i pruskie, aż do zupełnego wyciemnienia. Po sklepieniu, szerniałym nagle jak zimowe niebo, zaczęły przewalać się w nienaturalnym tempie konstelacje gwiazd, połączonych złocistymi liniami tak, aby widoczne były obrysy astronomicznych figur.

Wszyscy unieśli głowy i milcząc podziwiali szybujące kształty Wielkiego Wozu, romb Cefeusza, przewróconą siódmką Andromedy.

Organowe brzmienia sączyły się wolno, matowo, mięsiście, ale też wstępowały na coraz to wyższe tony, znowu przyspieszając tętno krwi słuchających.

Wreszcie na szczycie spiętrzonych dźwięków, w ciszy po ostatnim akordzie rozległy się zwielokrotnione echem słowa:

*- Suscipiat Dominus sacrificium de manibus tu/s ad laudem et gloriam nominis sui, ad utilitatem quoque nostram...*

Wśród chórów anielskich, kolorowych dymów, słodkich zapachów, tłoczonych ze wszystkich kątów, ksiądz podniósł kielich i trzymaną dwoma palcami Hostię podobną do wielkiej, złotej monety. Światło padło na nią tak, że odbite promienie spowiły całe wnętrze kaplicy jaskrawą pajęczyną. Po chwili wyrwała się i uleciała w górę, kilkakrotnie powiększając przy tym swą powierzchnię. Stała wysoko nad rzędami krzeseł, a następnie, jakby pod wpływem wlepionych w nią kilkudziesięciu par oczu, eksplodowała oślepiającymi racami.

Irek stęknął, zwlókł się ze swego siedzenia i zgięty w pół, nadal stękając oraz pokaszując, zaczął przepychać się do wyjścia.

Przeszedł przez pusty hali, ale nawet ta niewielka odległość przebyta po prawie godzinnym siedzeniu w bezruchu zmęczyła go tak, że dysząc, opadł na najbliższą ławkę w korytarzu.

Akurat była pora kolacji. Krzepko wyglądający chorzy z Oddziału Laryngologii grupkami spacerowali w tę i z powrotem bądź przysiadali na parapetach z szeleszczącymi foremkami w rękę i łapczywie, paluchami zajadali parówki. Musztardowy aromat po brzegi przenika! atmosferę.

„Jaki wygodny ten dzisiejszy świat, jaki przyjemny i sprawnie zorganizowany. Nawet na Królestwo Niebieskie nie trzeba wcale czekać, o nie. Można tam, ot, tak sobie zajrzeć od czasu do czasu, pójść jak do wesołego miasteczka”.

Przypominał sobie odprasowane na sztywno, pachnące mydłem i krochmałem niedziele dzieciństwa. Dni nie do zniesienia. Słońce świeciło inaczej niż zwykle, zmiękczało krajobraz opustoszałego podwórka, wygładzało kontury domów, otaczający świat czyniło oficjalnym i nieswoim. Jeżeli padał deszcz, to był to deszcz uroczysty, cieplejszy niż zwykle, i miał mdły smak. Nie można było normalnie, jak co dzień, wylecieć na dwór, zresztą innych chłopaków rodzice też nie wypuszczali. Odświętne koszule brudziły się o wiele łatwiej, wyszorowane mydłem „7 kwiatów” ręce jakoś dziwnie lgnęły do smoły i świeżej farby, kościolowe spodnie chętniej wkręcały się w łańcuch roweru. Zawieszista, ciężka nuda osiadała nad stołem i parującą wazą niedzielnego rosółu, przysłaniała migocący szaro ekran z *Wielką grą*, zapędzała do kąta ze starymi zabawkami.

Nie lubił też chodzić do kościoła. Sceptykiem został jeszcze jako przedszkolak, gdy kiedyś z matką uczestniczył w wielkotygodniowym misterium dla dzieci. Zafascynowały go postacie dziewczynek przebranych za aniołki, a szczególnie piękne, trzepocące skrzydła, które miały przypięte na plecach. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zaczną fruwać. Odbiją się, uniosą z łabędzim biciem piór. Czas mijał, a one tylko recytowały, śpiewały cieniutko, ze złożonymi rączkami przebiegały z jednej strony na drugą. Misterium dobiegło końca i nikt nie oderwał się od ziemi, białe stadko zniknęło w mrokach zakrystii. Rozczarowany, spazmował wtedy i wrzeszczał tak, że wszyscy ludzie odwracali głowy, kładli palce na ustach i szeptali: „Ciiiiii!” „Nie bój się, nie becz, jeszcze kiedyś sam polecisz, może wyżej, dalej” uspokajała go zła i zdenerwowana matka.

Gdy był starszy, nudziły go niezrozumiałe, łacińskie słowa, nie rozumiał też kazań, głoszonych z wysokiej ambony, na którą ksiądz wstępował, otwierając przedtem małym kluczem ażurowe drzwiczki. Dałby wszystko, żeby tak samo móc się wspinać po stromych stopniach i spojrzeć z góry. Tymczasem widział obok siebie tylko fałdy plisowanej spódnicy matki, chłonał unoszące się ze wszystkich stron ciemne i jasne smugi woni ruskich perfum i co chwila szeptał: „Mama, a długo jeszcze?” Nie myślał o Bogu; myślał o dużych lodach za dwa czterdzieści, które matka zawsze kupowała po mszy, o żółtej waniliowej kuli, nakładanej pomiędzy dwa kratkowane

wafle przyrządem podobnym do śniących się po nocach szczypiec z gabinetu szkolnej dentystki. Zanim jeszcze przebrzmiały różnej chropowatości basy i alty finalnego *TeDeum*, wyrwał się matce i przebiegłszy kościelny plac, a potem wąską uliczkę, stawał w kolejce pod budką ze spiczastym daszkiem...

Teraz ze wspomnień wyrwał go daleki szmer oklasków, widocznie nabożeństwo dobiegło końca.

Po paru minutach służbowym wyjściem kaplicy wybiegł ksiądz uniwersalista. Opalony i przystojny, już w „cywilnym” stroju, z długą kopertówką pod pachą, lekko, prawie tańcząc, zmierzał do windy. Spostrzegłszy Irka, zatrzymał się i cofnął dwa kroki.

- Widziałem, że wyszedłeś przed końcem. Czemu? - zapytał, brutalnie przecinając wspomnienia.

Irek podniósł zdziwioną twarz.

przeprowadza się specjalne pomiary, uwzględnia miejsce wygłoszenia, przeciętną wieku, przekrój społeczny klientów, hipotetyczną zamożność, nawet warunki pogodowe i przewidywane na ten dzień ciśnienie.

- Wierzysz w to, co mówiłeś z ambony? Co znaczy: „Bóg we mnie”? Czy ten Bóg ma tak samo jak ja dziewięćdziesiąt jeden lat, boli Go każdy kawałek mojego ciała, czy... w końcu razem ze mną zgaśnie? Jeżeli tak, to znaczy, że nie jest nieśmiertelny. Ale jeśli jest nieśmiertelny, to gdzie się On, biedny, podzieje, kiedy mnie wreszcie szlag trafi? Nic z tego nie rozumiem, nic do siebie nie pasuje. Te wasze dogmaty są jak czarne barany trykające się łbami.

Ksiądz uśmiechnął się po raz pierwszy i uniósł ramiona w ostentacyjnym geście protestu.

- Żadnych dogmatów! Nie jesteśmy dogmatykami! To nie jest kwestia wiary, raczej profesjonalizmu. My możemy być nawet niewierzący, wymaga się od nas przede wszystkim umiejętności sugestywnego przekazywania emocji. Nabożeństwo, w którym uczestniczyłeś, jest jedną z dróg prowadzących do „obudzenia Boga”, czyli eliminacji kompleksów, wyzwolenia ukrytych możliwości. Czy to naganne, złe? Właśnie jedynie nasze konsorcjum potrafiło, po dwóch tysiącach lat jałowości, klęsk moralnych, wojen wyznaniowych, zastosować treści religijne oraz Pismo Święte do konkretnego celu, tu, teraz, w realnym, ludzkim świecie, a nie tylko traktować je jako podstawę mętnych wywodów; o bytach metafizycznych, tak zwanym zbawieniu, piekle, niebie i tym podobnych pojęciach, które w zasadzie powinny należeć do etnologii, a nie opisywać subtelności człowieczej duszy. Mam także licencję pastorską, certyfikat A8+ po studium w Kopenhadze, za godzinę będę sprawował nabożeństwo luterańskie. To jakby inny klucz do tych samych drzwi. Marzę też o licencji prawosławnej, może za parę lat... Zarząd bardzo ceni rozszerzanie kwalifikacji. Im większa wszechstronność, tym lepsze możliwości w dotarciu do ludzi, no i, nie ma co ukrywać, nasza satysfakcja, perspektywy, pozycja zawodowa... Wyjaśniłem trochę?

Muszę już bieć. Zapraszam do nas, jutro organizujemy dzień islamski. Wszystkie msze w szpitalu są gratisowe, a kiedy wyjdiesz, dostaniesz bezpłatny sześciotygodniowy karnet do wybranego kościoła.

Żebujkę i dwóch innych współtowarzyszy zastał skupionych wokół przycumowanego do ściany łóżka Babilona. Grali w szachy.

Zasypiał, słuchając osobliwego dialogu, towarzyszącego szuraniu o szachownicę, umieszczoną na stoliku dla obłożnie chorych, który koledzy przysunęli leżącemu pod brodę.

- No czekam, Babilon - niecierpliwił się Żebujka.
- Uś! - tamten widocznie podjął decyzję.
- *Qui!* - Żebujka potwierdził groźnie.
- Figur dają! - zdziwił się któryś z kibiców.
- Pion to człon.
- Uś!
- *Qui.*
- Matuj go!
- Sił mało...

W końcu ktoś zgarnął figury do pudełka i wszyscy zaczęli układać się na posłaniach.

- Brzuch mi napieprza, nie wiem, co jest. Dobrze było, a teraz co dzień, kurczę mać, rewelacja, coraz gorzej - skarżył się skrzywiony Babilon.

- Ja, jak mnie boli brzuch albo nawet cokolwiek innego, to nic nie biorę, tylko wypijam pomaleńku, łyk po łyżeczku, szklankę czystego wrzątku, *ifinish*, spoko, jest OK.

- A ja, jak mnie bolą nogi, to wystarczy, że kapcie zmienię i, kurna, jakby ręką odjął - skwitował głos Żebujki.

Ból Irka nie był jednak ani tak wyrozumiały, ani łaskawy. W środku nocy znowu przypomniał o swoim istnieniu, i znów wszyscy udawali, że śpią, chrapali, puszczały bąki, przewracali się z chrzęstem sienników. Jak zwykle nikt nie przyszedł na dźwięk dzwonka, którego przycisk Irek beznadziejnie miętoszył przez dobry kwadrans, czując, że kręgosłup zmienia mu się w rozpalony kostur, zakrzywiony do wewnątrz i rozdzierający trzewia.

Udało mu się wreszcie obudzić Babilona; z nadludzkim wysiłkiem rzucił w niego kubkiem po jogurcie. Babilon, przerażony jękami i charczeniem, o dzwonku nawet nie pomyślał, wsadził sobie dwa palce do ust i, nabrawszy powietrza, zagwizdał tak przeraźliwie, że z sąsiednich łóżek bluznęły wyzwiska, ale w rezultacie po paru minutach na szybie zamajaczyły dwa rogate cienie pielęgniarek.

Kiedy minął szok, wywołany kolejną dawką DFR - B, ustały wymioty i ślinotok, zobaczył siedzącą obok doktor Gudrun. Długo patrzył na błyszczące szafirem i czerwienią sploty

warkoczyków, jedyne światło w zalegającym naokoło półmroku, a potem dotknął jej dłoni.

- Pani jest dla mnie dobra - wyszeptał drewnianymi wargami.

- To nie jest najmądrzejsze słowo - odpowiedziała, miękko cofając rękę.

Obudziła go czerwien porażająca, o wiele ostrzejsza; natychmiast wytrąciła ze snu cienkiego jak wodnista zupka. Automatyczne żaluzje, otwierające się i zamykające według własnego uznania, część archaicznego, od dawna rozstrojonego Management Building's Systemu szpitala, tym razem rozwarły się za wcześnie. Wschodzący, słoneczny kłęb ze zwiniętych płomieni stanął za oknem po drugiej stronie korytarza i ledwie mieścił się w uchylonych drzwiach do sali. Niewiadome, która mogła być godzina czwarta, piąta? Zgrzebał się z łóżka i ruszył prosto w ten ogień. Wszyscy wokół spali, oddychając zdecydowanie i łapczywie, jakby wykonywali ciężką pracę.

Była to jedna z krótkich chwil w ciągu dnia, kiedy w szpitalu nic się nie działo, nikt nie rozmawiał, nie człapał po posadzce, nie skrzypiały wózki i nawet terapeutyczne melodie nie płynęły z ukrytych źródeł.

Tuż za progiem musiał przysłonić oczy. Ognista czerwien pelzała po ścianach, czepiała się sufitu, przykrywała podłogę. Długa perspektywa korytarza, wypełniona grzywami wszystkich pożarów świata, zamknięta odległą, przejrzystą plamą wyjścia na taras, kusila i ssała. Zobaczył ją jako aleję uformowaną z nieruchomych konarów płomieni i ich odbić zmniejszających się w oddali, prowadzącą do jakiegoś celu, o którym niczego nie wiadomo, poza tym, że istnieje. Przepływały przez nią majaki miast; wieżowce i bloki, ludzie i okna, bury, rozmokły śnieg albo też letnie ulice uśpione w kasztanowym cieniu, rzędy pustych aut ukrytych przed upałem. Twarze nakładały się na twarze, widma pociągów przebiegały w opętańczym tempie, pozostawiając tylko łoskot, uderzenie wiatru na twarzy i pod gardłem krótki skurcz tęsknoty. Za nimi wzlatywały wydęte płachty gazet, Jeff Beck unosił gryf gitary z miną zblazowanego demiurga, krótko błysnęły szkła Lennona, na zamazanych ekranach startowały rakiety o smukłości katedralnych wież, bezradnie migały kolorowe, nikomu już nic niemówiące napisy, rozpływające się wraz ze zbliżaniem do końca korytarza w coraz rzadszą fioletową mgłę. Jakby trąba powietrzna stanęła nad wysypiskiem rozległym po horyzont i wyrzuciła w niebo jego nieprzystającą do żadnego porządku zawartość, przegniłą i cuchnącą materię, która zawsze służyła uczonym mężom do zgłębiania ducha zaginionych cywilizacji. Wschodzący dzień nieoczekiwanie podważył na chwilę zaklętą skorupę czasu i pozwolił ujrzeć jego prawdziwą treść. „Obrazy, wyłącznie obrazy i nic więcej” - powtarzał Irek zawiedziony. Zachciało mu się rozłożyć ramiona, stać się nagle lekkim i bezcielesnym, tak samo pobiec albo poszybować w tę rozżarzoną otchłań.

„Może to rzeczywiście lepiej - móc oświadczyć własnemu losowi: Dziękuję, nie jesteś mi



już potrzebny!” zastanawiał się, ponownie czując przyływ senności i pieczenie oczu.

Piętro niżej, tuż przed drzwiami gabinetu Sabina Tubiełły doszedł go wyraźny, kręcący w nosie śwąd. Kiedy wszedł do środka, zastał doktora pochylonego nad mosiężnie pobłyskującym samowarem. Tubiełło nadymał policzki i nieporadnie usiłował rozżarzyć węgle w okrągłym, sterczącym kominku, z którego za każdym dmuchnięciem wywalały się kłęby szarego dymu.

Zobaczywszy Irka, uśmiechnął się tylko cierpko i nie przerywał swojego zajęcia. Samowar stał na wolnym kawał

ku stelaża podtrzymującego aparaturę. Jego pękata staroświeckość, jakby żywcem przeniesiona z *Wujaszka Wani bądź Wiśniowego sadu* Czechowa, osobiwie prezentowała się w sąsiedztwie trzech niewygaszonych ekranów, centralnej klawiatury, szeregów zielonych i żółtych diod kontrolnych.

- No i co pan tak patrzy, panie Ireneuszu? Co pan patrzy? - doktor zamknął pokrywkę, odwrócił się do lustra i zaczął sobie coś wyciskać spod nosa. - Czy ja już nie mam prawa choć do krzty melancholii? Śmiesz pana i dziwi, tak? - naciągał skórę nad górną wargą, przyglądał się temu miejscu, zbliżając prawe oko do lustrzanej toni, i zrzędził: - Ach, ten mój skincleaner, fuszer przebrzydły, na dodatek kokiet, moja żona go nienawidzi. Żebym ja tak uzdrawiał chorych, jak on mi czyści skórę!

Irek czekał cierpliwie. Kiedy Tubiełło wygadał się, wytrzepał, obmył ręce na sucho przez włożenie ich do pojemnika z antyseptycznym nawiewem, znalazł swoją niebieską kulkę i uspokajał się, podrzucając ją w dłoni, wtedy oznajmił mu, że przemyślał sprawę, że przystaje na *overleading* i jest do dyspozycji.

- Tylko logika przeze mnie przemawia - dodał. - Nic więcej. Żadnych sentymentów. Rachunek nie pozostawiał wątpliwości.

Tubiełło spojrzał na niego bystro.

- A... może pan się herbaty ze mną napije? Na pewno nie zaszkodzi, zaręczam jako lekarz. Niech pan sobie wyobrazi, że węgli drzewnych nigdzie nie mogłem dostać. Dopiero w sportowym sklepie dla kobiet, pojmuje pan? W sportowym!

Otworzył szafkę, zaczął wystawiać filiżanki, dzwonić łyżeczkami. W pewnej chwili odepchnął naczynia na bok

i podbiegł do Irka. Ujął go za ramiona, przybliżył policzki pokryte srebrnoróżowym pudrem i wyszeptał z naciskiem:

- Nawet pan nie wie, ile pan dobrego dla siebie zrobił. Za pomocą tych kilku zdań przeszedł pan ze stanu płynnego w określoność i pewność. Tak, to bez wątpienia były najważniejsze zdania w

pańskim długim życiu. Nareszcie jest pan człowiekiem z właściwościami. Czas nie zadrwi już z pana, bo uzyskał pan rzecz pozornie niewyobrażalną i nadludzką, a jednak, jak widać, zupełnie ludzką - władzę nad przeznaczeniem. Jakie to jednak piękne, dawać ludziom ład wynikający ze skończoności - westchnął rozmarzony. - Proszę mi wybaczyć, w ważnych chwilach tęsknię do wielkich słów - zmitygował się zaraz.

Samowar zasyczał i wypuścił obłoczek pary. Po gabinecie zaczął się rozchodzić cierpki, gorzkawy aromat, przynoszący złudzenie domowego spokoju. Zupełnie taki, jak kiedyś u Kosha w akademiku. Kosh - małowówny, kościsty, długowłosey, studiujący po nocach tłumaczoną z angielskiego *Jadźurwedę*, brahmany i upaniszady, zamieniał parzenie herbaty w zawilły rytuał, wymagający wielu wtajemniczeń. Dolewaniem i odlewaniem wrzątku, mieszaniem zawartości kilku czajniczków przykrytych czystymi szmatkami, przestrzeganiem co do sekundy czasów nagrzewania i naciągania wyczarowywał z zeschniętych listków pospolitego madrasu, sprzedawanego w szeleszczących, krzywo zlepionych torebkach, niezwykle napój, którego każdy łyk smakował jak haust górskiego powietrza. Piło się go, paląc carmeny, przy sitarze Ravi Shankara zawodzącym z magnetofonu ZK140, zwyczajem epoki - w kucki, na rozłożonych materacach zasłanych akademikowymi kocami. Był gęsty, smolisty, drętwiały od niego dźwięk i język, ale dawał jasność w głowie, poczucie pewności siebie, mądrym ogniem doświadczał całe ciało.

Tubiełło rozlał herbatę. Pociągali milcząco, Irkowi trzęsły się ręce, lecz jednocześnie gdzieś na dnie rósł dziwny spokój, nawet wrażenie przyjemności przebywania w tym wnętrzu, chłodnym, białym, jakby ulepionym ze świeżego śniegu. Doktor gniótł swoją kulkę, odbijając ją co jakiś czas od posadzki, i trwał zasępioy, zasłuchany w monotony szum klimatyzacji oraz ciche odgłosy włączonych urządzeń. Nagle ocknął się jak ukłuty szpilką, zrobił kilka gimnastycznych ruchów rękami i podsunął Irkowi mały czytnik głosu.

- Musimy załatwić papierki. Niestety. Ja będę pytał, pan niech odpowiada.

Zaczął od dokładnego sprawdzenia numeru modemu, potem padły pytania o życiorys, zawód i przebieg zawodowej kariery, rodzinę, choroby. Irek odpowiadał sucho i rzetelnie, rubryki na ekranie wypełniały się równymi szeregami wyrazów. Niekiedy urządzenie przerywało, migalo na czerwono, łączyło się z jakimiś bazami danych, z Urzędem Miejskim, ze sztabem wojskowym, z funduszem emerytalnym, weryfikowało informacje, wprowadzało poprawki. Trwało to długo, było męczące.

Tubiełło zapytał o sytuację mieszkaniową.

- Do początku sierpnia mam czas - odburknął, zrezygnowany.

- Czyli relokacja? A dokąd?

Doktor otworzył mapę okolic i, słuchając wyjaśnień, pomarańczowym kursorem wskazał VIII Rejon Socjalny. Zaraz też wyświetlił obraz - długie na kilometr, rozciągnięte prawie po daleką

linię lasu rzędy kontenerów, piach, droga z betonowych płyt przez środek, gromadki dzieci.

Wszędzie

pojazdy, poupychane, gdzie się da, sklep, obok duża prowizoryczna budowla, chyba namiot, oznaczony świetlistym trójkątem z mrugającym okiem - znakiem Kościoła Uniwersalnego.

- Kaplityny, w stronę Mokin. Tam się teraz wszystkich przenosi. Podobno Rejon IX, w Sząbruku, jest o wiele lepszy, mniejszy, nad jeziorem. Tyle, że przekręty się dzieją i byle kto, ot tak sobie, miejsca nie załatwi - mówiąc to, spoznał na Irka ze zgorzeniem i smutno pokiwał głową: - Co wyście zrobili temu światu, co wyście zrobili...

Irek nerwowo podrapał się po karku i poprawił kołnierz szlafroka.

- To nie ja! Ja nic nie robiłem!

- Te bloki, co składają się jak domki z kart i zamieniają spokojnie śpiących ludzi w przejechane pomidory, to właśnie wasze dziedzictwo, najwyraźniejszy obraz waszego dorobku.

- Chciałbym wszystko załatwić i iść sobie, panie doktorze. Co ja mam wspólnego z blokami? Stały już, kiedy dzieciakiem byłem, niezależnie od mojej woli. Boleć mnie znowu zaczyna - skłamał, teatralnie chwytając się za bok.

Tubiełło ciągle podrzucał kulkę, tym razem rozważniej i wolniej, co widać pomagało w koncentracji oraz formułowaniu myśli.

- Może pan sam do niczego się nie przyczynił, ale na pewno gorąco pan wyznawał spóźnione mody, które dotarły do nas po parunastu latach. No, no, niech pan sobie przypomni: wyzwolona miłość, różne zabawy transcendencją, kontestowanie jako forma istnienia albo też marzenie o życiu wolnego artysty przemierzającego słoneczną Amerykę, jak w balladach Dona McLeana. Dobrze mówię? We wszystko to się wgryzłem, przestudiowałem, przetrawiłem. Zawsze i wszędzie stosuję zasadę nowoczesnej medycyny: zanim podejmiesz jakiegokolwiek zabieg na chorym, musisz zejść do przyczyn, jeśli trzeba, nawet do genów, do kodu. A więc podobał się panu *hardrock*, podobali się młodzi ludzie o smukłych sylwetkach, obcisłe ubrania bez milimetra luzu między skórą a sztywną materią, dziewczyny o długich, puszystych włosach, mówiące cicho, melodyjnie i poważnie, podnoszące skupione spojrzenia zza druczianych okularów. Rozczułały pana powłóczyste gitarowe solówki, na przykład ta z *Since I've Been Loving You* Led Zeppelin, i czerwcowe wieczory, z ich zapachem mokrej zieleni, mgiełką nad ulicami po krótkim, szalonym deszczu. Uwierzył pan w siłę własnej młodości, ba, żyjąc w PRLu, w wolność pan uwierzył! Co tam dla was komunizm, przysłonięty luzactwem studenckich klubów, zasłodzony poezją śpiewaną! Wszyscy zaraziliście się młodością, byliście pewni, że tak już będzie zawsze, że dobry Bóg zawiesi dla was prawa biologii, tak jak bezwzględnie stosował je wobec waszych rodziców, dziadków. Oni przecież tacy niezgrabni, tacy beznadziejnie dosłowni, marnie ubrani, tacy nieporadni w zmaganiu z własnym przeznaczeniem. Rozmawiać umieliście tylko ze sobą, tamci to były żałosne figury,

snujące się gdzieś w tle, ślepe, otępiałe, warte jedynie upchnięcia w zagraconym magazynie czasu przeszłego. Ale lata miały i najtrzeźwiejsi z was zaczęli jednak dostrzegać, że ten kraj, błotnoburaczany ugór, nad którym nawet księżyc wygląda, jakby go zęby bolały, nigdy nie będzie, oględnie rzecz ujmując, wymarzoną oazą dla waszej młodości wszechogarniającej i wiecznej. Ci, co mogli, wyjechali, *Co się stało z naszą klasą?*, nie? Zarabiali pierwsze marki albo dolary, urządzali socjalne mieszkania, pisali, że „tu, w West Berlinie, takie te sklepy kolorowe”, odbijali sobie polskie kompleksy, kupując stopy czarnych płyt w tekturowych okładkach, codziennie rano, zaglądając do lustra, po cichu pielęgnowali dumę z odmiany losu. Mniej obrotna większość oczywiście została na miejscu i nawet jeśli potem wpadli w podziemie i konspirę, to ta niezwykła, znana do tej pory z powieści i filmów, sytuacja dodawała tylko skrzydeł ich chorobie. I tak nagle, niespodziewanie dla was samych, wylądowaliście w normalnych czasach. Zdurniali, siwiejący, rozmemłani i leniwi, zupełnie nieprzygotowani do prostych kolei życia - wysiłku, nieuchronnej śmierci najbliższych, kalkulowania i odmierzania, powolnego upływu godzin. Nadal się wam wydawało, że ktoś powinien coś wam dawać, bo przecież dzielenie się z drugim człowiekiem to cnota młodości, że przyjaciele, że gromada, że ucieczka w metafizykę albo w tradycję; wzdychanie nad ludową *rzeźbą*, „muzyka ziemi” to remedium na ból istnienia. Tymczasem nawet my, teraz, w Szpitalu Nieustającej Pomocy, przy tak niezwykłym postępie medycyny naszych czasów, tego bólu nie potrafimy uśmierzyć.

Wypowiadając te słowa, Tubiełło zapalał się jak zwykle, od tonu zwykłej rozmowy stopniowo przechodził do nuty patetycznej i głosu tak twardego, jakby przemawiał przed liczną publicznością, a nie tylko samotnym Irkiem, skulonym po drugiej stronie stołu. Kiedy mówił, wiercił się na siedzeniu, przechylał, podnosił i znowu siadał, wreszcie trwale przybrał pozycję stojącą, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Irek mamrotał tylko:

- Ale co ja? Goja z tym?... Jaki tu związek z blokami? Niczego nie rozumiem... Nie, nie, to raczej pan doktor niczego nie rozumie. Komuna bloki stawiała, każdy się cieszył, jak mieszkanie dostawał... Niech pan spojrzy na mnie, czy ja wyglądam na takiego, któremu jeszcze się chce dyskutować o pokoleniach i o historii? Nic panu nie powiem, chciałbym do łóżka, może gorączkę mam.

- Właśnie, „każdy się cieszył”! Te domy to materialna forma waszego życia, która rozpada się, zabijając i raniąc. Musimy na to patrzeć, musimy za nią płacić. Nie wiązać ich z wami? Nie ma wymowniejszego symbolu. Świat idzie naprzód, a ten kraj z waszej przyczyny przemienia się w jeden wielki obóz przejściowy dla uciekinierów. Tyle złych *rzeczy* wam zawdzięczam, nawet zakląć sobie nie mogę, bo przekleństwa zrównaliście z innymi słowami i znaczą tyle, co „dom”, „szafa”, „drzewo”...Jestem kompletnie aseksualny, nigdy nie czułem żadnych fizycznych podniet - tu

potoczył pełnym niesmaku wzrokiem po dolnych partiach własnej powierzchowności - bo odczarowaliście tajemnice ciała. Z oczu patrzących w mroku, z żarliwości dotyku, z harmonii westchnień oddania, szału i uwielbienia zrobiliście papkę nudną jak codzienna gazeta. I popełniliście coś jeszcze gorszego. Potworne urzeczywistnienie tego, co w was naprawdę siedziało - to wasze dzieci, materialne obrazy waszych dusz, odbite jak w zwierciadle czarnoksiężnika. Małe, wystrzyżone łby brzęczące kolczykami albo łby jak kubły, łby jak brukowce, mordy jak placki, wielkie dupy w nieforemnych majtach do kolan, obnoszone po świecie na szczeciniastych, pałkowatych łydkach. Odruchy zamiast myślenia, szczekanie zamiast języka, bluzgi zamiast metafor, „wrzeszcz, kop, lutuj w ryj” - prosta recepta na egzystencjalne subtelności. A potem szpitale psychiatryczne pękały w szwach od nadmiaru starców: blokatorów, tagerów, hipopowców, skinów i zaczadziących lewaków; „siary” na korytarzach, podpalanie sobie łóżek w nocy, zabójstwa w ubikacjach! Tego nigdzie na świecie nie było, ten kraj nawiedziła prawdziwa epidemia katatonii hiperkinetycznej i depresji maniakałnych, z którą my musimy walczyć. My! Dzięki wam! - ironicznie wyduł wargi. - Niech pan pomyśli, ilu lekarzy, jakie środki! Mogliby robić pozytywne rzeczy, na przykład rozwijać teorię powiększania objętości mózgu albo efektywnej przemiany materii, albo choćby zwalczać wiotczenie skóry pod oczami, a tu trzeba oprzątać milion siedemset tysięcy zgrzybiałych wariatów!

Perorował coraz szybciej i głośniejsze, tak że Irek nie chwycił już sensu, aż nagle, ku jego cichemu zdumieniu, przerwał jak piorunem rażony, na minutę skamieniał, siorbnął łyk wystygłej już herbaty i otarł czoło. Chwycił znowu kulkę; miętosząc ją w dłoni, sprawiał przez moment wrażenie zupełnie bezmyślnego.

- Dojrzewa we mnie wielka potrzeba ekspresji - wyznał po chwili z przeproszającym uśmiechem. - Moja praca wymaga genialnych syntez, rozstrzygnięcia wielu dylematów. Kto, jak nie pan, lepiej to pojmie, panie Ireneuszu? Przecież ja pragnę zastąpić waszą dyktaturę młodości dyktaturą piękną, czy to nie jasne? Dużo czasu zajmują mi rozważania o pięknie, o jego powtórnych narodzinach, których być może kiedyś będę świadkiem.

Ponieważ upał za oknem robił się coraz bardziej nieznośny, doktor wydał komendę obniżenia temperatury w pomieszczeniu i wrócili do właściwej rozmowy.

- Trzeba wszystko ostatecznie załatwić, wszystko zakończyć tak, aby poczuł się pan w nic nieuwikłany, całkowicie spokojny i wyciszony - przekonywał. - Zatem jak pan zamierza uregulować sprawy przyszłości?

- Przyszłości?

- No... przyszłości i wieczności. Czy dokument jakiś pan sporządzał? Testament po prostu, rozumie pan, w biurze notarialnym?

- Po co? wzruszył ramionami.

- Najpierw może proszę zdecydować o majątku ruchomym. Za mieszkanie i tak otrzyma pan sumę kompensacyjną, mamy specjalny fundusz z europejskiej puli na te cele. Za meble i całe wyposażenie płacimy zryczałtowane stawki, wcale nie najgorsze. O, niech pan popatrzy.

Tubiełło, tym razem z miną skoncentrowanego, rzetelnego pracownika administracji, przewinął przed oczami Irka kilka kolumn cyfr. Wydostał też z podajnika w blacie biurka teksty dokumentów, które obydwaj zaraz zaczęli podpisywać.

- Pieniądze natychmiast prześlemy na pańskie konto. Musi pan tylko zostawić dyspozycję o przeznaczeniu masy spadkowej. Tak łatwiej. Może pan komuś zrobić przyjemność, jeśli pan zechce.

Irek wyrecytował nowozelandzki adres Oluchy.

- Proszę przelać na drugi dzień po...

- Teraz następna rzecz - po chwili niepewnej ciszy metalicznie zabrzmiał głos Tubiełły. - Niektórzy przykładają do niej wielką wagę, i słusznie, bo trzeba przykładać... Chodzi mi o pogrzeb.

Wypowiadając ten ostatni wyraz, zrobił pauzę i spojrzał na Irka przenikliwie, jakby chciał sprawdzić, jakie wywołał wrażenie. Przeźrocyste rysy pacjenta nie ułożyły się jednak w żaden grymas, nie oddały żadnego uczucia: ani płaczelivej trwogi, ani pogodzenia z losem maskowanego sztuczną powagą.

Ciągnął zatem dalej:

- Tu o wszystkim decyduje pan, a nie przerażona rodzina z jęzorami na wierzchu i kuzynkiem - mądralą na czele. Bardzo proszę wybierać, serwis mamy naprawdę wszechstronny, możliwy jest każdy obrządek, jakiego pan sobie zażyczy.

- Uniwersaliści, tak?

- No, tak... Mamy podpisaną umowę, choć niekoniecznie, wcale niekoniecznie oni... Ale gdy, przykładowo, siada pan na krześle, to ważne jest dla pana, co myślał ten, który je zrobił? W Boga pan przecież wierzy, nie w pośrednika.

- A pan doktor... W co wierzy?

- Ja? - obruszył się Tubiełło. - W siebie wierzę.

- Zastanowię się nad wszystkim, później powiem.

- Dobrze, dobrze... Dużo czasu przed nami, nie dzisiaj, to jutro, nie jutro, to za tydzień. Musi pan także rozważyć miejsce spoczynku. To ważne. Tutaj możliwości mamy naprawdę nieograniczone, działamy w międzynarodowej sieci - chce pan na Père - Lachaise, proszę bardzo, albo może na Rossie wileńskiej czy w West Palm Beach z widokiem na ocean? Nawet na Wyspie Wielkanocnej! Nie ma problemu. Można także u nas, w rodzinnym mieście, w Czerwonym bądź Błękitnym Kręgu Wieczności, z gwarancją zachowania inskrypcji nagrobnej przez trzysta lub pięćset lat. Można również zamówić rozpylenie prochów, np. nad Himalajami, Morzem Karaibskim

albo lodami Arktyki, co kilka lat organizujemy takie wyprawy, w zależności od tego, ilu chętnych się zbierze. Co za wspaniałe krajobrazy! Oczywiście rzecz, proponuję kremację, to bardzo wygodne, dysponujemy znakomitym piecem plazmowym. Kwadrans - i ciało staje się twardą, równą, piankową cegielką, odporną na temperaturę, niezniszczalną, znakomitą do przechowywania w każdych warunkach.

Irek nie liczył już podpisów, które składał bądź wprost na ekranie, bądź też na podsuwanych mu różnokolorowych wydrukach deklaracji, promes, zobowiązań.

- Mam wielką prośbę do pana doktora - zagadnął nieśmiało, oddając plik papierów.

- Słucham?

- Żeby przed przejściem na O-L zawiózł mnie pan do domu. Choć na godzinę. A jeśli można, na parę godzin...

W obwiedzionych srebrną kreską oczach Tubiełły zabłysł ognik zainteresowania. Kilka razy rzucił kulkę, odbił ją o ścianę wysoko, nad aparaturą, zręcznie chwytając raz jedną, raz drugą ręką.

- Hm... Nie powinienem, to narusza procedurę. Ale nie odmawia się, trudno odmówić...

Jutro po obchodzie. Proszę pamiętać.

Tego dnia Irek nie myślał już więcej o sobie. Nie myślał też i w nocy. Doktor Gudrun profilaktycznie wstrzyknęła mu wieczorem mniejszą dawkę DFR - B. Spał spokojnie, po raz pierwszy bez ataku bólu. Obawy, lęki, majaki przeszłości dały za wygraną wobec sytuacji określonej i jasnej. Czegóż się tu bać, skoro wszystko już wiadome?

Szczerze tylko współczuł Babilonowi.

Zastał go rano pod półprzezroczystym namiotem nasuniętym na łóżko tak, że wystająca z jednej strony głowa wyglądała jak zakrętka monsturalnej tuby pasty do zębów. Żebujka pochylał się nad nim i wsączał między rozchylone wargi pomarańczowy płyn ze szklanki z dzióbkiem. Obok buczała i terkotała aparatura na kółkach, niewiadomego

przeznaczenia. Dwa pęki kolorowych kabli ginęły pod namiotem.

- Zajebać się dam, kurczę mać! - wykrztusił Babilon głosem wściekłym i przerażonym. -

Znowu nie wyjdę, znowu nic się nie *zgadza*. Cały jestem poszpilkowany, pookręcany drutami. Tak mam leżeć bez ruchu, kurczę mać, dwadzieścia cztery godziny. Tubiełło powiedział, że nawet jak mi się zachce, mam robić pod siebie!

Akurat w drzwiach stanął doktor Tubiełło, otoczony wianuszkami pielęgniarek towarzyszących mu w obchodzie. Usłyszawszy swoje nazwisko, zrobił kilka kroków naprzód i z miną niby to zaskoczonego, niby to bezradnie rozkładając ramiona, ku konsternacji wszystkich donośnie i dźwięcznie zadeklamował:

*Nie mma Tubiełły, wyszedł i nie wrócił,*

*Nie mma Tubielty, w pianę się obrócił!*

Zaraz też przybrał dramatyczny wyraz twarzy i zastygł na środku sali, między łóżkiem Żebujki a niechodzącego ze słuchawkami na uszach.

Kiedy pielęgniarki ochłonęły, a chorzy przestali wymieniać się zdumionymi spojrzeniami, sięgnął do kieszeni i z tajemniczym, obiecującym nie wiadomo jaką niespodziankę uśmiechem, zaczął wszystkim rozdawać wizytówki.

- O żesz! Ale to mi schiza! - pisnęła jedna z dziewcząt, odczytując bladofioletowy kartonik.

- Naprawdę ci się udało? Długo musiałeś czekać?... I na dodatek jeszcze drugie imię! Jak to brzmi, jak brzmi! „Wszechwłoga”! Od lat marzę o czymś właśnie takim. Nie mam wprost słów... - z przejęciem wyrażała swój podziw inna, dojrzała już pani o wystrzyżonym w kształcie liścia klonu rudym języku, porastającym lewe ciemię całkowicie zdepilowanej i zabarwionej zielonkawo czaszki.

Irek podniósł do oczu swoją wizytówkę.

„Dr Sabin Wojbor Wszechwłoga – dolorog” - brzmiała jej treść.

Po skończonym obchodzie doktor ostatni wychodził w sali. Na progu cofnął się w pół kroku, odwrócił i z kamienną twarzą, jeśli już cokolwiek przypominającą, to chyba tylko maskę ofiarnicy z Aischylosowej tragedii, jeszcze raz wyrecytował:

*Nie mma Tubielty, wyszedł i nie wrócił,  
Nie mma Tubielty, w pianę się obrócił,  
I ty, człeczeńku, wyjdiesz i nie wrócisz,  
Z piany powstałeś, w pianę się obrócisz.*

Triumfująco powiódł wzrokiem po łózkach, zatrzymał go na Irku, którym zresztą wcale nie interesował się w czasie obchodu.

- Panie Ireneuszu, za maleńki kwadrans porywam pana! obwieścił.

- Co jest, kurczę mać? Jak to jest? - jęczał potem Babilon spod namiotu. - Ty wychodzisz? Na serio?

- Wychodzę na serio - potwierdzał Irek z przekonaniem. - Jeszcze, widać, ktoś zostawił mi trochę czasu, jeszcze nie to przyszło, co przyjdzie. A już myślałem...

I widzisz, i widzisz... Wypis mi już prawie wpuścili do danych, już łachy miałem na dole odbierać...

Żebujka, patrząc spod okna to na jednego, to na drugiego, zarechotał między kłąsnięciami gumy:



- No jo! Jeden jadł, drugi spadł. Nie miekaj, Babilon, po manele zawsze ktoś się zgłosi.

Wszechwłoga przyszedł nie po kwadransie, lecz po dobrej godzinie, zapisał w modemie Irka zezwolenie na wydanie ubrania i kazał najpierw zjechać do szatni, a później zejść do garażu.

Znowu trzeba było zanurzyć się we wnętrznościach Szpitala Nieustającej Pomocy, pokonywać jego przepastne labirynty, błąkać w płątaninie wind, w zawłościach komunikacyjnych ciągów, klatek schodowych, półpięter i poziomów, jak dzika tkanka obrastających skołowanego człowieka. Wszędzie dudniła muzyka, skrzypiały wózki, łomotały jakieś naczynia, setki ludzi wędrowały w różne strony.

Docierał do sektorów, z których miał jechać dalej; okazywało się, że nie zawsze aktualne są litery ich oznaczenia i odpowiedniej windy należy szukać zupełnie gdzie indziej, że niekiedy zmieniono także przeznaczenie poszczególnych poziomów i, co prawda, jakiś pasaż albo hali jest koloru żółtego, *ale de facto* znajduje się w obszarze na przykład brunatnym. Gdzieniedzie zamalowywano jedną barwę inną, nowa farba odpryskiwała, pozostawiając na murze liszajowatą narośl nieokreślonego koloru, i wtedy w ogóle nie było wiadomo, jaka to część szpitala. Gubił się zatem i odnajdywał, pytał o drogę poważnie kroczących lekarzy oraz okręconych szlafrokami pacjentów mijanych oddziałów, pałętających się beczynniami od ściany do ściany.

Zapomniał jednak o chorobie i zmęczeniu, podążył naprzód z różną miną, jakby rzeczywiście „na zawsze” wracał do świata. Pofolgował wyobraźni i zobaczył siebie jako rzeńskiego sześćdziesięciolatka, który po udanym zabiegu wychodzi ze szpitala; czekają go jasne dni wypoczynku, powrotu do sił, może deptak w Busku albo Polanicy, chłód domu zdrojowego, parkowe koncerty wśród klombów i srebrzystych iglaków. Wizja była tak prawdziwa, że ogarek serca zakołatał przez chwilę trzy razy szybciej.

Znalazł się przed szatnią, na środku pustego korytarza, zamkniętego z jednej strony sześcioma automatami do wydawania odzieży, o czym informowały tabliczki, przedstawiające pociesznego ludzika w piżamie, pochylonego nad walizką. Bezszykownie jednak wkładał końcówkę swojego modemu do każdego po kolei gniazdka. Wszystkie musiały być zepsute. Dopiero później zauważył obok zakratowane okienko z kartką: „Pukaj – czekaj”. Zapukał posłusznie, ale za nierówno uciętym kawałkiem dykty, zastawiającym kratę od drugiej strony, nie było żadnej reakcji.

Dziwne głosy usłyszał natomiast zza drzwi umieszczonych naprzeciw. Ozdabiał je napis: „Pralnia. Wejście zapasowe”, i rysunek człowieczka w piżamie, przyglądającego się balii otoczonej obłokiem mydlin. Zaciekawiony, zajrzał do środka.

Teraz już rozróżniał śpiewaną melodię i powtarzane słowa. To ksiądz Edwin sprawował

swoją ofiarę.

W kącie, za rzędami maszyn do prania, na paletach, chroniących przed zamoczeniem nóg, klęczało kilka kobiet. Ksiądz wznosił akurat kielich przed ołtarzem urządzonym na stole do sortowania bielizny; stały tam dwie zapalone świece, a pomiędzy nimi poczerniały ze starości obrazek w blaszanej ramce. Modlitwie towarzyszyło buczenie zdezelowanych agregatów i wisząca w powietrzu para, przesycona detergentami.

- Niech sze zmiłuje nad nami wszystkimi Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty! - usłyszał z daleka stłumioną prośbę.

Zamknął drzwi cichutko, nie chcąc rozpraszać niczyjej uwagi.

Szatniarz, który przydreptał w końcu, żując jeszcze spóźnione śniadanie, wskazał mu windę prowadzącą do podziemnego garażu.

Wszechwłoga już tam czekał i zaraz wsiedli do czerwonego bertone doktora.

Irek nie lubił jeździć autami najnowszych generacji, czuł się w nich jak w kaftanie bezpieczeństwa. Fotel miękko, lecz zdecydowanie unieruchomił jego kręgosłup i lędźwie, a na głowie zamknął się hełm z intercomem.

- Niech pan patrzy, to drogi samochód, ale z osobowością - odezwał się Wszechwłoga. - Procesory reagują wyłącznie na dźwięki wydawane przez mój aparat głosowy, nikt inny go nie poprowadzi. O, proszę!

Gwizdnął krótko i gwałtownie, jak sędzia piłki siatkowej.

Silnik natychmiast dał znać o sobie ledwo wyczuwalnym drżeniem.

Cmoknął lewą stroną wyszminkowanych błękitnie ust- zapaliły się lewe kierunkowskazy, cmoknął prawą- prawe. Na podwójne pociągnięcie nosem włączały się wycieraczki szyb, urządzenie rzadko już spotykane, temperatura wewnątrz regulowana była kaszlem, światła, ustawienie foteli, pokładowy terminal, zapach panujący wewnątrzswistami, strzykaniem przez zęby, pomrukami o różnej kadencji, tonacji i natężeniu. Zrobienie „pyk” językiem o górne dziąsło - to był klakson, dwa razy „pyk” - otwieranie dachu, trzy razy „pyk” - napęd na tylną oś. Wszystko to Wszechwłoga z powagą demonstrował potulnie słuchającemu Irkowi.

- Znakomicie obliczone, nie może być ani jednej nutki więcej, ani jednego fałszywego tonu. Włosi są bezkonkurencyjni! Uwielbiam Włochów, to brzoskwiniowy puszek na torcie ludzkości, a my... zakalec, co trzeszczy w zębach. Na początku miałem pewne kłopoty, każdy sygnał musiałem wielokrotnie ćwiczyć.

Wóz bezszelestnie ruszył do góry, ku bramie wyjazdowej, klucząc w półmroku między zaparkowanymi pojazdami, pokonując kolejne kondygnacje, o których informowały wielkie rzymskie cyfry.

- Zna pan moje przywiązanie do tradycji, panie Ireneuszu. Nie wyobraża pan sobie, że do

zatrzymywania mógłbym użyć innego dźwięku. Prrrrr! - wrzasnął tak przeraźliwie, że gdyby nie fotel, Irek wyleciałby w powietrze ze strachu.

Bertone zarył w miejscu, szorując przednim *zderzakiem o* pochyły beton.

Wyjechali na światło dzienne. Burgundzka czerwień samochodu zaczęła blednąć, przechodząc w kolor starego złota, aby kolejno nabrać barwy zielonego groszku.

- Tylko trójfazowy lakier- zauważył Wszechwłoga. - Prawdę mówiąc, nie bardzo przypadają mi do gustu te ekstrawagancje. Jeżeli wóz zmienia kolor osiem razy na godzinę, to już przesada.

- A... nazwisko? ośmielił się Irek.

- Ach... Dziwi pana? Tak jak samowar w moim gabinecie? To jest znowu problem odmiennych punktów widzenia na sprawę wolności. Wy walczyliście z konwenansem, z formą, chcieliście ją modyfikować, przykrawać do własnych potrzeb, naginać, rozszerzać, zmieniać - jeśli nie koktajlami Mołotowa, to chociaż kpina albo prowokowaniem. Stąd anarchizm, rewolucje seksualne, techno i *Liebesparaden. Musie ist der Schlüssel, ja?* Stąd Marcuse, Lyotard, wszyscy ci postrzeleni utopiści. Żyliście w głupiej psychozie form, to była wasza sól w oku i szaleństwo, dawaliście się jeszcze na dodatek podpuszczać temu staremu hucpiarzowi Gombrowiczowi. My potrafimy zużyte formy po prostu odstawić do rupieciarni i w ich miejsce tworzymy nowe. Nikt z niczym nie musi walczyć, każdy robi to bez nerwów, według upodobania, na swój własny użytek.

Bertone skręcił w aleję Armii Krajowej, nabierając nieco szybkości, wydłużył się i przywarł do asfaltu, ale rzeka stłoczonych aut nie sprzyjała normalnej jeździe. Posuwali się skokami, raz przyspieszając, raz zwalniając. Gdy przejechali pod wiaduktem zlikwidowanej linii kolejowej, Irek przypatrywał się nowej dzielnicy, zbudowanej na łąkach za koszarami szkoły oficerskiej.

Nie lubił nowych osiedli. Teraz, po szpitalnej monotonii, trudno było mu się przyzwyczać do samego widoku pełnych gorączkowego ruchu ulic. Nawet zasłonił na chwilę oczy, żeby uniknąć kręćka w głowie. Cały ten obraz widziany przez okno samochodu drgał, podnosił się i opadał, migał kolorami. Elewacje niewysokich domów zmieniały barwę co kilka minut, we wnętrzu narożnego sklepu, mimo upału i jaskrawego słońca, przewalały się kaskady tęczyowych świateł. Sztuczne krzewy przy placyku z nieczynną fontanną również nie mogły postać sobie spokojnie - nieustannie odtwarzały procesy życiowe roślin. Na nagich gałęziach pojawiały się pączki, potem w oszalałym tempie coraz większe zielone liście, potem kwiaty, wreszcie barwy jesieni, czerwie

nie, brązy, potem wędnięcie, znów gołe wiechcie i znów wszystko od początku. Cztery pory roku w dziesięć minut.

Irek bał się takich miejsc, z doświadczenia wiedział, że bardzo łatwo można było tu zabłądzić. Przedtem, kiedy jeszcze urządzał sobie długie spacery, często już po paru minutach nie poznawał przecznicy, w którą skręcił, nie umiał odnaleźć przystanku autobusowego, sklepu, z którego właśnie wyszedł i tylko zdążył się odwrócić. Ściany, dachy, framugi, nawet najmodniejsze

ubrania przechodniów wciąż zmieniały zabarwienie, jedne wolniej, drugie szybciej, układając niepowtarzalne kompozycje, tworząc z tego, co prawdziwe i dosłowne, oraz tego, co ulotne, nieuchwytne, trwające ułamki sekund, jakąś niepojętą całość, wartość wyższą, której nigdy nie zrozumie zbłąkany pielgrzym minionego czasu.

Za skrzyżowaniem z Warszawską wjechali w Obrońców Tobruku. Po obu stronach szerokiej ulicy ciągnęły się opustoszałe kwartały wół zrujnowanych bloków, w głębokiej ciszy i w beznadziejnym uporze trwających jeszcze pod naprawdę pustynnym słońcem i rozprażonym niebem. Obowiązywał zakaz zatrzymywania, dawne drogi dojazdowe zagrodzone były żelaznymi słupkami. Całe osiedle obwiedzione parkanem z białoczerwonych policyjnych taśm, porozrywanych gdzieniegdzie i zwisających smętnie. Billboardy ustawione co kilkaset metrów pokazywały ruchomy obraz spadającej lawiny betonowych złomów ze sterczącym, powykręcany zbrojeniem oraz ostrzegawczy napis: „Betonowa śmierć! Wstęp wzbroniony!”

Niektóre budynki były jeszcze całe, pod dachem, choć z niebezpiecznie wybrzuszonymi ścianami, pochylone i zapadnięte w środkowej części. Z innych domów powypadały pojedyncze płyty i leżały naokoło, obrośnięte trawą; te wyglądały z daleka jak rozprute plastry miodu. Tu i tam bloki zamieniły się w zupełne rumowiska, jakby po uderzeniach bomb. Dachy i stropy osiadły na sobie, niekiedy tylko strzelała w górę samotna szczytowa ściana z resztkami rozpaczliwie uczepionych na drutach betonowych elementów. Pawilon handlowy „Samba”, stojący kiedyś najbliżej głównej ulicy, zawalił się w taki sposób, że pozostał po nim niemal regularny czworobok równo ułożonych płyt, przypominający z daleka opuszczony, zarośnięty perzem magazyn materiałów budowlanych. Nigdzie nie było też okien, czasem tylko wystawały na zewnątrz zgniłe kawałki ram, przez puste dziury prześwitywało szare od upału niebo. Park szkieletów.

Łopuchy, gąszcze chwastów były wszędzie. Wciskały się w szczeliny popękane go asfaltu, atakowały szaloną zielonością puste podjazdy dla samochodów, bezludne podwórza, gdzie grały w słońcu dywany rozbitego szkła, buszowały po rozwalonych śmietnikach i hałdach betonowego gruzu.

Martwota tego miejsca miała jednak charakter pozorny. Irek wiele razy czytał o grupkach zbuntowanej młodzieży, o bezdomnych, czyli tzw. *outsach* ciągnących tutaj po zmroku i kontynuujących przyjemności dnia w piwnicach. Jeśli dobrze się przyjrzeć, można było dostrzec ścieżki wydeptane między ruinami, kolorowe szmaty w kilku oknach, kupy śmieci, opakowań po jedzeniu, nawet dziecięcy wózek przy porośniętych ostami schodach. Gdy kiedyś przejeżdżał tędy nocą albo ciemnym, zimowym popołudniem, widywał mdłe światelka migocące w różnych częściach tego czarnego kretowiska.

Pokonali jeszcze kilka skrzyżowań, z trudem minęli zapchane zjazdy do hipermarketów i wydostali się na trochę

swobodniejszą ulicę, która kiedyś była wylotową arterią, a teraz prowadziła tylko w stronę relokowanych, peryferyjnych dzielnic.

Bertone wtoczył się wreszcie na znajomy parking i zatrzymał przy trzepaku. Wszechwłoga wypuścił Irka, zapowiedział, że wróci po niego wieczorem.

Ustawione w pięciokąt bloki na pierwszy rzut oka wyglądały zupełnie zwyczajnie, jak przed chorobą, przed szpitalem. Zdziwiła go jednak cisza, szczególnie bezruch, zdający się przylegać do wypalonych słońcem trawników, oblepiać ściany o barwie żużlu.

Wszystkie okna naokoło były pozamykane, pozbawione firanek i żaluzji, straszły połyskliwą czernią szyb. Jak sześćdziesiąt lat temu, gdy puste lokale czekały na zasiedlenie przez szczęśliwców, którzy dostali przydział.

Nikt nie biegał po piaszczystym podwórku, o mury nie dudniły głucho uderzenia piłki, nie odbijał się wrzask dzieciaków i zgrzytanie przedpotopowej huśtawki. Przed śmietnikiem wyrosła potężna góra papierów, szmat, połamanych mebli, nad chodnikowymi płytami drgały fale gorącego powietrza.

Idąc do swojej klatki, spotkał Natalkę Dobkowską. Wyprowadzała psa, jak gdyby nigdy nic. Znał ją od pół wieku, pamiętał jako dziewczynkę, bawiącą się z jego córką w sklep przy starej budce telefonicznej, długonogą licealistkę, wiecznie spóźnioną na autobus, poważną osobę z wózkim na sobotnich spacerach w towarzystwie męża, który potem wyjechał do RPA i przeprowadzał rozwód za pośrednictwem Internetu.

- O, już pan jest? - ucieszyła się. - Mówili, że to takie poważne, a tu kilka dni i zdrowy!

- Martwo wskazał na opustoszałe domy.

- Wynoszą się wcześniej. Im wcześniej, tym łatwiej wykołować jakieś porządniejsze miejsce. Jacewicz załapał się podobno na domek w cieniu, Komoniewscy, ci młodzi, spod jedenastki, byli tu wczoraj i mówili, że mają aż dwa kontenery. Matłokowa poszła do brata pod Toruń, a Rafalscy wyjechali do Niemiec.

- A ty?

- Pojutrze wnuk mnie przewozi. Pan też Kaplityny dostał?

- Też, też... Ale przecież cały miesiąc do tego sierpnia. Przesadzacie chyba.

- Niektórzy jeszcze mieszkają, widziałam parę okien oświetlonych, chociaż nocami w całej dzielnicy ciemno i cicho jak pod wodą. Strach. Nie zapalają już latarń. Koziejko mówił, że niedługo prąd i gaz będą wyłączać. Tam dalej, na Hanowskiego, koło poczty, podobno wszystko już odcięte. To dobrze, że pan też do Kaplityn, ktoś znajomy będzie blisko, bo córka jest w Brąswaldzie, w V Rejonie, z Nagórek tam przenosili. Spotkamy się, będę przychodziła do pana pogadać.

- Na pewno tak.

Powoli wspinał się na czwarte piętro. Idąc, często przystawał przy uchylonych okienkach i

dyszał ze zmęczenia. Dziwne echo towarzyszyło jego ciężkim krokom, nigdy przedtem nie słyszał tu takiego. Dźwięki inaczej rozchodzą się tam, gdzie nie ma ludzi. Obejmują władzę nad przestrzenią, mnożą się, groźnie dudnią w uszach.

Mijając kolejne drzwi, czuł, że za lakierowaną powierzchnią kryją się tylko terytoria pustki, surowe wnętrza prostopadłościaków, odarte z dekoracji koryta rzeki czasu, betonowe ramy ludzkich losów.

Z ciekawości nacisnął klamkę pod piątką, u Guzdańców. Było otwarte, jak zresztą pewnie wszędzie. Zabrali wszystko, nawet panele podłogowe i kafelki z łazienki, nawet muszlę, krany, zamki, parapety, nie mówiąc o kuchence i wyrwanym ze ściany klimatyzatorze. Głupia nadzieja zawsze każe wygnańcom unosić ze sobą rekwizyty zwykłego życia.

Własne mieszkanie przywitało go żarem. Wiekowa lodówka wyła na najwyższych obrotach, zmieszany z kurzem słoneczny blask raził oczy, świeczka, tkwiąca od niepamiętnych lat w glinianym lichtarzu, zgięła się wpół jak zwichnięta łądyga. Otworzył okna, zaciągnął zasłony, wylał do ubikacji spleśniałą herbatę. Wersalka była rozbebeszona, kołdra na podłodze, obok rozsypane lekarstwa. Pozbierał to wszystko, poukładał i opadł na krzesło spocony, dygocący od wysiłku. Ogarnął go jednak spokój, poczucie ładu, spełnienia, jakie się ma po powrocie z podróży. Wyobraził sobie, że właśnie przyjechał z daleka, a dom, jak kiedyś, otwiera ramiona, aby go nakarmić, dać mu strugi wody dla odprężenia utrudzonego ciała, chłód świeżej pościeli i dobry sen.

Domy starych ludzi są zgliszczami ich minionych światów. Trwają tam na posterunku resztki otoczenia: zużyte przedmioty, brzydkie meble, sfilcowane ubrania, do niczego już nieprzydatne drobiazgi.

U Irka też nic się nie zmieniło od końca ubiegłego wieku, oprócz kilku urządzeń niezbędnych do normalnego bytowania. Rozklejone, zwichrowane regały i szafy stały wciąż na tych samych miejscach, miał wrażenie, że nie dadzą się oderwać od muru, w który wrosły ze starości. Kanapa i dywan straciły barwę i desenie, trudno było je odróżnić od podłogi, kiedyś błyszczącej, teraz podobnej do wypłowiałe

go ręcznika. Książki, najczęściej marne wydania z lat osiemdziesiątych, zlewały się w pożółkłą masę z kurzu i papieru, wypełniającą rozeschnięte półki anonimową treścią, bo nie można już było odcyfrować większości tytułów na grzbietach. Cztery tomy encyklopedii napęczniały i uległy odkształceniu do tego stopnia, że żadnego z nich na pewno nie udałoby się wyciągnąć z szeregu.

Taki sam pozostał również pokój Oluchy, nie z sentymentu, ale z braku potrzeby zmian. Od czasu, kiedy po maturze wyjechała na studia do Łodzi, poznała Kevina, swojego pierwszego męża, i zamieszkała na antypodach, służył mu najpierw jako miejsce do popołudniowych drzemek, a później jako samotna sypialnia. W szafie segmentu „Junior”, kiedyś z jasnego drewna, dziś

wyglądem i konsystencją przypominającego zbutwiały korek, nadal wisiały krótkie czarne sukienki sprzed pół wieku, piętrzyły się sterty zapomnianych bluzek, zwinięte kłęby legginsów z lycry. Szuflady wypełniały stare zeszyty, pocztówki, skamieniałe szminki, niepiszące długopisy. Nie zaglądał tam, miał wstręt do szperania w cudzej prywatności. Tylko raz przypadkowo znalazł napoczętą paczkę suchych jak pieprz, pozbawionych zapachu papierosów, schowaną w jednej z par tych niezgrabnych, modnych wtedy butów na platformach, o które tak wyklócała się z matką. Co tydzień czyścił także z kurzu zepsutą od dawna miniwieżę, pudełka z nieużywanymi już nigdzie płytami kompaktowymi, pluszowego psa i przychepione do obroży plastikowe serce.

Przypomniawszy sobie o Olce.

W dużym pokoju rozsiadł się przed terminalem, ale po chwili przerwał wprowadzanie adresu i wybiegł do łazienki.

Wolałby, tak jak bohater opowiadania Wojaczka, nie ujrzeć w lustrze nikogo. To, co zobaczył, przypominało gotowanego kurczaka.

Ciężko westchnął nad sobą.

Na głowie resztki kłaków jak strzępy siwej wełny, zdeformowane rysy, których układ dyktowało zwiotczenie mięśni, a nie obraz duszy. Błada skóra, pełna fałd i plam, wyglądająca, jakby zaraz miała odejść od ciała. Chude, wykrzywione ręce, naprawdę podobne do ptasich łap, tors o muskulaturze wypróżnionego worka.

Zaczął się gorączkowo myć, golić, czesać, nacierać kremami i wodą kolońską. Wyrzubał czystą koszulę, włożył krótkie spodnie. Dopiero wówczas ponownie połączył się z Auckland.

Przez ekran przebiegły znaki stref, mignęło złociste logo operatora półkuli południowej, następnie zielone Australii i Oceanii, sinoczarne Nowej Zelandii.

- Ach, tatuś, nareszcie! Tyle razy wchodziłam, a ty zawsze byłeś niedostępny. Widzisz, jaka tu u nas ulewa? Jesień.

Olucha przetrzała zaspane oczy i uchyliła się, aby odsłonić okno. O mokre szyby tłukły smagane wiatrem gałęzie, których cienie migotały w poświacie ogrodowej latarni.

- Już teraz w porządku, można się łączyć. Tylko, wiesz, wyjeżdżam odpocząć trochę, do sanatorium, na Litwę, więc nie szukaj mojego modemu. Ja będę wchodził do ciebie stamtąd.

- Tutaj też wszystko dobrze. Naprawdę, nie martw się o mnie. Miałam tylko kłopoty z tym kościołem, mówiłam ci. Skracali spotkania, taniec był monotony, nie rozwijał, nie otwierał wyższych kręgów świadomości. W ogóle robili wrą

żenie, że uciekają od transcendencji. „Po co mi to?” - powiedziałam i kiedy podnieśli wpisowe, dałam sobie siana. Ale ostatnio odkryłam coś, w czym od razu się odnalazłam, jestem naprawdę bardzo szczęśliwa. Nosi nazwę Stowarzyszenie Energii Ducha Świętego. Posłuchaj: Duch Święty to energetyczna postać Najwyższego, źródło Boskiej mocy - wywodziła głosem

przejojonym prawdziwą fascynacją. - Tchnąć Ducha Świętego zawsze oznaczało: uaktywnić, popchnąć ku życiu. Bez niego nie byłby możliwy akt stworzenia, on nadaje siłę rozwojowi biologicznemu, ruchowi planet, dzięki niemu płynie czas. Nam wszystkim, ludziom, powinno zależeć, aby ten potencjał pozostał nienaruszony, bo kiedy zaniknie, zginie i Ziemia, i zwierzęta, i rośliny, i my. Niestety, fakty z ostatnich stu - dwustu lat wyraźnie wskazują, że zaczyna się wyczerpywać. Kataklizmy, wojny, wielkie epidemie - kiedyś AIDS, ebola, teraz choroby psychiczne... Cała struktura świata ulega powolnemu rozregulowaniu. Oczywiście, nie wszystko stracone, można przeciwdziałać zagładzie, na przykład reprodukować energię Ducha Świętego na własne potrzeby, po to, żeby jak najmniej czerpać z głównego źródła i pozostawić ją Najwyższemu na inne cele. My, w naszej wspólnocie, robimy to, jeżdżąc na rowerach. Tak, nie śmiej się! Kręcąc pedałami. One działają podobnie jak buddyjskie modlitewne młynki. Trzeba tylko, rzecz oczywista, mieć odpowiednie przygotowanie duchowe, przeczytać książkę naszego Nieocenionego Ojca Raula z Montego Bay, poznać siebie, osiąść zdolność wchodzenia w drugą sferę wewnętrzną. Sześć razy w tygodniu godzinna jazda rano i wieczorem, rytmiczne modlitwy ułożone przez Nieocenionego Ojca. Jakie to wspaniałe! Pomyśl sobie, że każdego dnia na całej planecie ponad szesnaście tysięcy naszych braci i sióstr pedałuje, by uratować ludzkość!

- To świetnie, córuś. Jeździj sobie, pedałuj, odpoczywaj. To samo zdrowie przecież.

- Bardzo mi teraz dobrze, nie masz się o co martwić. Jass na początku kręcił nosem. Trzeba było sprowadzić z Jamajki specjalny rower, uświęcony dłonią Nieocenionego Ojca. Ostatni raz jeździłam pięćdziesiąt lat temu, musiał trochę ze mną poćwiczyć na podwórku. Zupełnie tak samo, jak ty mnie kiedyś uczyłeś, z kijem od szczotki wetkniętym za siodełko, pamiętasz?

- Darłaś się wniebogłosy, gdy puszczałem ten kij. Chcesz zobaczyć to miejsce?

Wyjął z terminalu sensor obrazu, który po staremu nazywał kamerą, i wystawił za okno.

- Poznają, poznają... Nic się nie zmieniło. Tylko czemu takie puchy? Kiedyś tyle dzieciaków skakało po tej uliczce, samochód zawsze ktoś naprawiał...

- Wiesz... Teraz samochody trzyma się gdzie indziej. Ludzie wyjechali albo siedzą w domu, bo praży straszliwie, trzydzieści cztery stopnie.

- No właśnie, zazdroścę. Cały jesteś zalany słońcem. Wyglądasz, jakbyś świecił.

Wyszczuplałeś - bardzo dobrze. Nareszcie pewnie zmądrzałeś i jesz tylko to, czego twój organizm naprawdę potrzebuje.

Mówiła także o Lou i Bernardzie, o wnukach i o lewych rękach Jassa, który niedawno spalił instalację w garderobie, a wczoraj wylał na podjazd całe wiadro utwardzalnej farby.

Nie potrafił już się skupić, udawał tylko, że słucha - marszczył brwi, kiwał głową. Patrzył na siwe włosy swojej córki, których nie wiadomo dlaczego nie malowała, na zmarszczki i lekko przygarbione plecy. Od Tubiełły - Wszechwłogi nabrał widocznie skłonności do metafor, bo



pomyślał, że kaprysem przeznaczenia oboje brną już przez tę samą pustynię; on na końcu drogi, u wiadomego kresu, ona na początku, nie wiedząc jeszcze, że wchodzi w rozpalony piach. Chciał więc powiedzieć coś mądrego, a jeśli nie, to chociaż czulego, nawet pretensjonalnego, żeby zapamiętała. Jednak wszystkie słowa wyschły, zmatowiały, ukryły się i pozostawiły go w zupełnej bezradności.

Olucha sama zakończyła rozmowę: - Patrzę na ocean i tak jak prosiłeś, myślę o tobie. Codziennie zresztą jeździmy rowerami po plaży. Zastanawiałam się, co dla mnie znaczy „ocean”? To taki wyświechtany symbol. Zauważyłam wielką pewność siebie fal bijących o brzeg. Nie ma się czego bać, jeżeli jedna goni drugą z taką determinacją i trwa to przez całą wieczność.

Ekran zgasł, taryfikator wydrukował należność. Nie zwracając uwagi na cyfry, ziewnął i ruszył w stronę wersalki.

Nic nie przerywało nadzwyczajnej ciszy, jak wata szklana wypychającej ogołoczone piętra. Żaden głos nie docierał też zza otwartych okien, może tylko z oddali ledwo słyszalny szum miasta.

Czuł senność, rozkosznie przymierzał się do własnego kształtu, odcisniętego w materacu. Mrużył oczy, bo sprzęty, wyblakłe tapety i podłogę pokrywały płyty gorącego światła.

Nagle dostrzegł silny blask ze szpary między dwiema klepkami parkietu, blisko, tuż przy ławie, gdzie stała doniczka ze sztucznym hiacyntem. Przekręcił się na bok, żeby sięgnąć ręką, podważył paznokciem z jednej, z drugiej strony.

Wyciągnął paproch kurzu, kawałek nitki i mały perłowy guzik.

„Jak to możliwe? Tyle pastowań, szorowania, sprzątanias!” O śmierci Mirki wolałby nie pamiętać. Z tym niczego się nie porówna. Było to dawno, jakby w innym życiu. Miał wtedy pięćdziesiąt dziewięć lat, przyjaciół, zdrowie i poczucie siły. Wieczorami toczyły się telefoniczne burze mózgow: łapanie znajomości, wyszukiwanie lepszych lekarzy, kłótnie co do lekarstw i zabiegów. Minivanem Roberta Chodania wozili ją także do znachora, daleko, do Dobryni koło Horodła. Agniecha sprowadziła nawet jakieś zioła o łamiącej język nazwie z salezjańskiego centrum misyjnego pod Buenos Aires. Potem, gdy nadchodził koniec, wszyscy, Guga, Gośka, Waldek Biały i Czarny, Ewa - Konewa biegali na zmianę do złowrogiego ponemieckiego szpitala w lesie za miastem, żeby nie była sama.

Rzadko przywoływał obraz Mirki. Rozpamiętywanie przeszłości kojarzyło mu się z bezużyteczną, niegodną realisty egzaltacją. Ile to przecież lat! Ściany na pewno nie pamiętały już jej obecności, drzwi, przez które przechodziła, zapomniały obrysu bioder, parciejające dywany - dotyku stóp.

Poznali się w akademiku, w kuchni, gdzie stawiał wodę na herbatę i odgrzewał konserwy. Pociętnie tupiąc, wbiegała po swój czajnik, a właściwie blaszany dzbanek do gotowania kawy

zbożówki, z czerwoną pokrywką na zawiasku i wywiniętym dziobkiem, taki jakiego można było kupić tylko w GSach. Była duża, czarnowłosa, o wielkich, cygańskich oczach i zanadto rumianych policzkach, w gruncie rzeczy nieładna. Studiowała geografię, pochodziła z Izbicy Kujawskiej. Traktował ją jak znajomą, zwyczajnie, bez pomieszanej z onieśmieniem ekscytacji czy podwyższonej gotowości hormonów. Ich pociągi przyjeżdżały z przeciwnych stron, ale często, po świętach lub przerwach semestralnych, spotykali się na dworcu i wracali razem taksówką, za którą zawsze skrupulatnie płaciła swoją połowę. Mówiła mało, niewyraźnie, właściwie bąkała tylko pod nosem szybkie, urywane zdania.

Miał wtedy dziewczynę z tej samej co i on grupy na trzecim roku prawa. Przemieszkiwał trochę w swoim pokoju, trochę u Iwony w domu studenckim obok, przy Mickiewicza, dokąd przedostawał się po rynnie bądź na czworakach pod okienkiem portierki. Mirkę jednak widywał prawie codziennie. Pożyczali sobie cukier i papierosy, czasem jedno lub drugie jakąś stówę w godzinie potrzeby. Często wpadał też do niej z braku czegoś innego do roboty. Rozmowa była wyłącznie jego monologiem, kwitowanym tylko skinieniami głowy i kilkoma pojedynczymi wyrazami.

Poza godzinami zajęć w ogóle nie wychodziła z akademika. Podczas gdy współlokatorki śmigały po imprezach albo przepadały na długie tygodnie z powodu nowej *love story*, ona siedziała zawsze u siebie. Można ją było spotkać najwyżej w stołówce albo na drodze do Instytutu, podniszczonego pałacyku przy bocznej, zawsze pustej uliczce Fredry.

Zastanawiał się, co robi całymi dniami. Nigdy, przychodząc niespodziewanie, nie zauważył atrybutów kujoństwa - otwartych książek, kartek i notatników wypełnionych przejrzystym, okrągłym pismem. Nigdy nie grało radio, nie było też porzucanych ciuchów, szurniętych byle gdzie cieni do powiek, szminek i pędzelków od makijażu, niedopitej szklanki, nadgryzionej bułki. Pokój lśnił, pachniał mydłem, pastą do podłogi i tylko jedyny ślad - zagłębienie w kocu, wysiedziane miejsce na łóżku najbliżej drzwi, zaświadczało, że w ogóle mieszka tam jakaś żywa istota.

Po szóstym semestrze dwukrotnie oblał egzaminy z prawa zobowiązaniowego i spadkowego, stracił akademik, musiał powtarzać rok. Ojciec wpadł w szał, tupał, ryczał, wyzywał od pasożytów, żądał, aby przeniósł się do szkoły pedagogicznej w rodzinnym mieście.

- Jeśli nie możesz być kimś, to bądź, cholera, byle kim! Abyś tylko był! - wykrzykiwał wściekle, aż chłopcy kopiący piłkę na podwórku zadzierali głowy.

Irek postanowił wówczas w ogóle zrezygnować ze studiów i został konwojentem w wagonie pocztowym.

Na początku był szczęśliwy. Wyobrażał sobie, że oto Janusz, Afro, Radiowóz i inni wysiadają teraz na zajęciach, przysypiając, słuchają suchej gadaniny wykładów albo jak osaczeni

krążą po dusznych korytarzykach wydziałowego gmachu, zwanego „Harmonijką” z powodu modernistycznej architektury z lat trzydziestych, a on tu pędzi przez Polskę, przez lasy październikowe, złote i nie musi pisać prac zaliczeniowych, nie zna, co strach przed kolokwium z postępowania cywilnego, oraz ma dokładnie gdzieś prostackie złośliwości docenta Pacuły. Rozdziela za to listy, układa sterty paczek, chwytając hausty cierpkiego powietrza, wyrzuca przesyłki prosto w wilgotny mrok zapadłych stacyjek, gdzie pociąg stoi najwyżej minutę. Dziś może być we Wrocławiu, jutro w Szczecinie i na dodatek płacą mu za to jakieś tam pieniądze, a wolność tętni stukotem szyn i wyciem wiatru na żelaznych mostach!

Pomiędzy nim a Iwoną zaczęło się jednak coś psuć. Jeszcze w czasie wakacji uciekli stopem nad morze, na dzikie wydmy za Pod dębem. Jeszcze wczesną jesienią był u niej w Toruniu i po krótkiej, rozbijającej tkliwej nocy wyjechał z radosnym obrazem świata, poczuciem sensu i pewności

każdego kroku. Pisał powściągliwe listy, skrzętnie ukrywając tęsknotę. Ale ona odpowiadała na nie coraz rzadziej, tłumaczyła się pracą magisterską, promotorem - wariatem, terminami oddawania rozdziałów. Kiedy wieczorami dzwonił z dalekich stacji, z cuchnących lizolem noclegowni służbowych bądź zapchanych ludźmi publicznych rozmównic - nigdy jej nie było albo nie mogła akurat podejść. Wysłał kartkę, że przyjedzie w piątek w połowie grudnia, podał godzinę. Już z alejki, ukośnie przecinającej park od placu Rapackiego, widział przez siąpiący, mokry śnieg, że w oknie pokoju dwieście dwa się nie świeci. Drzwi zastał zamknięte. Krążył naokoło akademika i wracał co pół godziny, stając oko w oko z ciemną szybą, zza której majaczył naklejony od środka znajomy plakat *Lotu nad kukulczym gniazdem*. Odruchowo pukał, wsłuchiwał się w milczenie za szklaną taflą pokrytą wypukłym wzorkiem i odchodził. Wreszcie, za trzecim czy czwartym razem zdecydował, że więcej tam nie przyjdzie. Choć wielokrotnie jeszcze przyszło mu bywać w okolicy, Iwony już nigdy nie spotkał.

Nie miał wtedy ochoty na wizytę u niedawnych kumpli i pół zimowej nocy, do najbliższego pociągu o trzeciej nad ranem, przesiedział u Mirki. Drobnymi łyżkami popijali smolistą herbatę „Chinar” i wermut, który przywiózł dla Iwony, palili na przemian jej caro i jego extra mocne. Z dołu, z klubu „Nawojka” dudniły basy Electric Light Orchestra. Powiedziała mu ni stąd, ni zowąd, że zawsze bardzo go lubiła, bo jest poważny, porządnie ostrzyżony i ma normalne, zwężane spodnie, a także, w odróżnieniu od swoich kolegów, nie wrzeszczy po pijanemu na schodach, nie demoluje umywalni ani nie uruchamia gaśnic pianowych.

Odtąd przyjeżdżał już tylko do niej. Zostawał na noc, jeśli okoliczności sprzyjały, to znaczy żadna ze współmieszkanek nie nocowała akurat w pokoju. Seks z Mirką był zwięzły i zdawkowy, tak jak jej sposób mówienia. Krótkie spięcie ciała, parę nieporęcznych ruchów na wąskim, skrzypiącym materacu. Jej twarz początkowo nabrzmiewała przerażeniem, nawet odrazą, które po

kilku miesiącach związku przeszły w obojętność, jaka towarzyszy każdej pospolitej życiowej czynności.

Prawdziwa rozkosz nadchodziła dopiero później, gdy zdołali już wypłatać się z własnych nóg i rąk, gdy obsychał pot i można było spokojnie przywrzeć do siebie w szorstkim ciepłe pościeli, przesiąkniętej wonią pralni chemicznej.

Potrafili przez dwa dni nie wychodzić z łóżka. Przytuleni, wręcz roztopiający się w gorącej gładkości nagich ciał, wędrowali przez słodkie sny - półdrzemki, budząc się co jakiś czas i opowiadając szeptem do ucha niestworzone historie.

Wtedy Mirka na krótko traciła swoją małowówność. Poznawał jej świat, cały jakby wyścielony futrem, okryty półmrokiem, zaludniony postaciami puchatymi i miękkimi, które chciała dostrzegać w każdym człowieku. Zwykle rzeczy miały tam dziwaczne nazwy, piosenki poprzekręcane słowa, imiona i nazwiska przestawione litery. Kapcie to były „tupki”, sweter „pinzaczek”, cukierki „kapaki”, szklanki „konfutele”, a on sam „Iraszek”. Denerwowało go to i jednocześnie powodowało niespodziewane przyływy czułości.

Daleko, za ścianami, wegetowała akademikowa codzienność. Głosy na korytarzu, trzaskanie drzwiami, chlapanie wodą we wspólnych umywalniach. Gardłowe barytony z ostrej imprezy piętro wyżej skandowały: *Szable w dłoń, lance w dłoń, bolszewika goń, goń, goń!*, ktoś inny usiłował to

zagłuszyć puszczanym w kółko *Livin' Next Door* to Alice zespołu Smokie. Zapewne też kartkowano gdzieś odbity na denaturacie nowy numer „Zapisu”, z tranzystorowego radia „Jowita” chrząkał „Głos Ameryki”, długowłosi brodacze, flegmatycznie strząsający popiół do puszek po konserwie turystycznej, dyskutowali o ostatnim pogromie Latającego Uniwersytetu, zatrzymaniu Barańczaka w Poznaniu i kolejnym pobiciu Michnika przez esbecję.

Oni natomiast przeciągali się błogo, ziewali, mruczeli do siebie i zasypiali na kilkanaście minut. Nie miał pojęcia, skąd brała się w nim tak wielka potrzeba snu, nie wyobrażał sobie, że potrafi przespać większą część doby. Kiedyś, pomiędzy jednym snem i drugim, powiedziała mu o chłopaku ze Szkoły Wojsk Pancernych w Poznaniu, którego już czwarty list wyrzuciła do zsypu.

Co parę godzin jedno bądź drugie wstawało, żeby zrobić herbaty albo zalać w żółtych kubkach prawdziwą, brazylijską kawę z pewexu. Kiedy czuli głód, w dzień, w środku nocy czy nad ranem, Mirka wyciągała zza okna torbę ze słoikami i szła odgrzewać domowe żeberka, schabowe, kawałki kurczaka. Jedli w łóżku, czasem popijali kwaśnym egri burgundi, palili papierosy i znowu drzemali, upajając się dotykiem, łagodnym ocieraniem skóry, lgnięciem aksamitu do aksamitu.

Kiedyś przyjechał wczesną wiosną, pod koniec marca. Niebo było czarne, walił śnieg z deszczem. Następnego dnia jednak obudziło ich natrętne słońce i gorąco. Wyskoczył spod kołdry, podbiegł do okna. Uchylił firankę, jaskrawe promienie zatańczyły na szafie, na wieszaku z ręcznikami, na brudnych szklankach. W rynnach szumiało, kamienice po drugiej stronie ulicy

iskrzyły się całym bogactwem pokręconych ozdób z początku wieku, w dole dzieciaki biegały bez czapek, mokre chodniki wyglądały jak złociste lustro. Zawołał do Mirki, że nareszcie wiosna, że ciepło, że natychmiast muszą na długi spacer, na bazie do lasu, bo ptaki śpiewają i żyć się chce jak nigdy.

- Zasłoń mi zaraz to gównno - usłyszał z łóżka.

Potem szybko zaczęła biec naprzód taśma dorosłego życia. Ślub, magisterka Mirki, stan wojenny, szary śnieg i szare twarze, kolejki, kartki, mieszkanie w bloku, które ojciec, mobilizując całe swoje zawodowe i partyjne układy, wychodził im i wymęczył u kolegów z PRONu. On sam porzucił wagon pocztowy, skończył kurs dla księgowych, obrabiał ćwiartki etatów w Związku Hodowców Owiec oraz innych tego rodzaju instytucjach. Kiedy upadł komunizm, nie uczestniczył w rozdaniu kart, nie załapał się na prywatną firmę, biznes czy chociaż posadkę w administracji. Pracował tak jak przedtem, upajał się nowym, pochłaniał gazety, podziwiał bogactwo hipermarketów, spłacał raty za japoński telewizor, odtwarzacz CD i amplituner, za pierwszy samochód. Wysłuchiwał zrzędzenia ojca, truchtającego co rano do kiosku po najnowszy numer „Trybuny”, do ostatnich swych chwil wieszczącego rychłe nadejście najgorszej odmiany faszyzmu z prałatem Jankowskim jako fuhrerem i wypatrującego symptomów klęski głodu oraz kolonizowania kraju przez Jankesów.

Tymczasem Mirka żyła coraz bardziej niechętnie i lękliwie. Sama dla siebie była zaczarowanym kręgiem, w którym przestawały obowiązywać prawa grawitacji. Pogłębiało się to wraz z dorostaniem i coraz większą samodzielnością Oluchy. Nie lubiła światła, unikała rozmów. Kiedy znajomi gdzieś ich zapraszali, polskim zwyczajem przymuszali do przyjścia, dzwonili dla przypomnienia, dreptała zbiedzona po mieszkaniu, aby w końcu wykrztusić, żeby szedł bez niej, żeby coś wymyślił, że następnym razem na pewno... Po wyjeździe Olki czas spędzała przed telewizorem, najczęściej zgaszonym, albo w kuchni. Przemykała się tam bezszelestnie, błyskając szklami okularów, i znikwała na całe godziny. Mieszkali pod jednym dachem, ale obok siebie, mijali się, nic nie mówiąc. Gdy zagadywał ją przy obiedzie, pytał o zdanie, chciał o czymś opowiadać albo miał wątpliwości i rozterki do rozstrzygnięcia, słyszał w odpowiedzi jedynie łagodne: „Jedz, jedz...” Gotowała wspaniale, wyniosła to z domu, gdzie dziedzina ta odgrywała decydującą rolę w kształtowaniu rodzinnych uczuć. Swojego teścia pamiętał wyłącznie za gigantycznym, przedwojennym stołem, zachęcającego dobrodusznie: „Nakładaj sobie, Iruś, nakładaj sobie...”

Po śmierci Mirki w przeraźliwie ponurym szpitalu, w lesie, na skraju miasta świat nabrał ostrych krawędzi. Mieszkanie wyogromniało, stało się nieprzyjazne i chłodne, jakby ktoś wypuścił krew z tapet, mebli, dywanów, odbierając całą zaciszość i ciepło. Nie wiedział, co robić, ale głęboko gardził sentymentami. Nie dzwonił domofonem na dole, w nadziei, że usłyszy znajomy szcęk elektrycznego zamka, nie błądził po mieście, łudząc się, że może spotkają gdzieś w

autobusie, wypatrzy w tłumie na dworcu albo przy stoisku z owocami zatłoczonego supermarketu. Postanowił wreszcie wywieźć jej wszystkie rzeczy. Jak w amoku opróżnił szafy, pakował do czarnych worków suknie, majtki i staniki, piżamy, płaszcze, nawet ulubiony niebieski szlafrok, w którym od niepamiętnych lat paradowała wieczorami. W letniej kuchni na działce Waldka Białego spalił fotografie, kasety

z jej ruchomym wizerunkiem, dyplomy, świadectwa pracy, pożółkłe listy od rodziców. Potłukł jej ulubioną filiżankę, wyniósł na śmietnik koc, pościel, wypełnioną starymi butami walizkę, z którą kiedyś przyjechała do niego z Izbicy na całe życie.

Odtąd należała już tylko do jego wnętrza i pamięci o niej nie profanowały przedmioty.

Słoneczna patyna na półkach z książkami Oluchy zrobiła się czerwonożłota. Nie myślał już o niczym, znów poczuł kielkujący w okolicach kości ogonowej zarodek bólu, przez chwilę zatęsknił do doktor Gudrun i do ampułki z DFR - B. Pozazdrościł tym starym i chorym, którzy dostąpili łaski wymazania całej zawartości zwojów mózgowych. „Być bez przeszłości i bez przyszłości, być bez cierpienia, zdać się na wiatr, tylko na wiatr...” - marzył szeptem.

Martwą ciszę przerwał sygnał domofonu, natarczywie powtarzany kilka razy, zanim zdołał wstać i dobrnąć do drzwi.

- Czy pan tam jeszcze jest, panie Ireneuszu? To ja, Wszechwłoga! - zawołało ze staroświeckiej słuchawki z kabelkiem.

Zastanawiał się, co zabrać z mieszkania na pamiątkę. Nie zabrał niczego.

Oddział O-L usytuowano w zamkniętym sektorze Szpitala Nieustającej Pomocy. Był to obszerny, położony na uboczu pawilon, otoczony z trzech stron sosnowym lasem. Z głównym kompleksem budynków łączył go system nadziemnych korytarzy i wind.

Wszechwłoga szedł pierwszy, podrzucając swoją niebieską kulkę, której nie wyzbył się wraz z poprzednim nazwiskiem, Irek podążał za nim na wózku, popychanym przez barczystego pielęgniarza o srebrnych włosach, szarych cieniach pod oczami i sztywnej, haczykowato wywiniętej bródce. Przed chwilą, mimo nalegań, nie pozwolił, żeby odebrano mu ubranie i obleczono w pokraczną, sięgającą połowy łydek, zapinaną na plecach koszulę. Najpierw jechali dwoma windami - żółtą w dół, czerwoną do góry, potem, najwidoczniej już poza terenem właściwego szpitala, przemierzali długie, puste pasaży, także oznaczone różnymi kolorami. Nikogo nie spotkali po drodze, posadzki błyszczące jak świeżo wylany lód tłumiły echo kroków i szum opon wózka. Kilka razy przechodzili przez podwójne drzwi, właściwie rodzaj oszklonych klutek zamkniętych z obu stron i opatrzonych jednakowym napisem „Śluza sanitarna”. Wszechwłoga otwierał je za pomocą modemu osobistego, mylił przy tym kody, zapominał, długo przeszukiwał

pamięć, kulka wypadła mu z ręki, chwycił ją wtedy desperacko, o mało się przy tym nie wywracając. Trwało to długo. Trzeba było jeszcze przebyć hali wielki jak sala gimnastyczna i drugi, mniejszy, zastawiony zagajnikami sztucznych rododendronów, palm, paproci. Stamtąd dopiero wchodziło się prosto na O-L. Przy wejściu Irek nie zauważył żadnej tabliczki, tylko znajomy rysunek uśmiechniętego człowieczka w pizamie, tym razem wznoszącego oczy ku niebu.

Wewnątrz zalegała głęboka cisza. Może ze względu na wieczorną porę albo panujące tu zwyczaje nie emitowano terapeutycznej muzyki, nie drażniły też nosa szpitalne odory.

Rozglądał się, podniecony, ale nie dostrzegł niczego ciekawego, poza tym, że oddział wyglądał na o wiele bar

dziej zadbany niż inne. Korytarz, zakończony wielkim oknem i galeryjką ze skórzanymi fotelami, kilkoro zamkniętych drzwi po obu stronach, wylot klatki schodowej - to wszystko. Miejscami wzorzysta wykładzina zamiast bezdusznej posadzki, reprodukcje na ścianach, futryny z imitacji ciemnego drewna nadawały nawet posmaku szczególnej elegancji, przypominającej skrzyżowanie wystroju hotelowej części ośrodka kurs O-L konferencyjnego i sali recepcyjnej pałacu ślubów z końca minionego stulecia.

- Jest bardzo dobrze, już pan widzi, że jest bardzo dobrze - uspokajał na wszelki wypadek Wszechwłoga. - Niechby pan zobaczył Psychiatryczny Zakład Opieki Socjalnej na Zielonej Górze albo ten drugi pod Kieźlinami. W dzień trzymają ich w wielkich salach, wyłożonych sztucznym kauczukiem, można sobie popatrzeć z góry, poobserwować reakcje. Wygląda to jak kolonia wściekłych mrówek. Ileż oni mają energii mimo tych siedemdziesiątek na karku! Wszyscy - kobiety, faceci - bez przerwy biegają, kopią się po tyłkach, podstawiają sobie nogi, piszczą, gdczą, kłapią szczękami. Niektórzy pędzą na oślep, przewracają innych, ryczą jak stare samochody bez tłumików i kręcą rękami, udają, że niby kierownicą. Potem z całym impetem tłuką o ścianę, i jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, aż zwalają się zamroczeni. Żadne leki nie skutkują, tradycyjną naukę psychiatrii można sobie, jak to mówią, o kant sempiterny potłuc. Niestety, są niepoczytalni i tu, gdzie my teraz jesteśmy, nigdy nie trafią! Co parę godzin puszcza im techno, podobno dla kompensacji, profesor Ostermeier tak wymyślił. Wtedy wyją, tupią albo skaczą, jakby chcieli się oderwać od ziemi. Żeby pan zobaczył te pomarszczone golenie w locie! Efekt jest jednak odwrotny. Pobudzenie wzrasta do tego stopnia, że zaczynają spółkować, na podłodze, po kątach, gdzie się da. I niech pan sobie wyobrazi, większość nie ma z tym żadnych fizjologicznych problemów! A może niech pan sobie lepiej nie wyobraża, ten widok nie należy do najsmakowitszych.

- Boli mnie - zajęczał Irek dla szpanu. Wszechwłoga obiecał, że zaraz przyjedzie doktor Gudrun i również tu, na Over Leadingu, będzie mu regularnie aplikować lekarstwo, jak długo sobie tego *zazyczy*. Pozwolił też wstać z wózka. Razem weszli do pokoju rejestracji.

Potężnej, studwudziestokilogramowej siostrze o nieproporcjonalnie małej głowie, z gołą

czaszką cieniowaną na różowo, musiał znowu odpowiadać na pytania o wiek, płeć, przebyte choroby, życiorys. Procesor zapisywał jego słowa, a ona porównywała dane z tymi, które niedawno podawał do dokumentacji medycznej.

- Terminalny? - upewniała się półgłosem, zerkając pytająco na lekarza.

Wszechwłoga potwierdził skrzywieniem ust. - Jesteś przyjęty. Teraz powinieneś oddać modem - zażądała na koniec.

Irek cofnął się zaskoczony.

- Przecież to... niezgodne z prawem.

- Zależy z jakim. Z naszym zgodne, to wymóg. Chcąc nie chcąc, położył modem na biurku i szybko

cofnął rękę. Zaraz też delikatnie wepchnięto go do przebieralni z szafami w ścianach, gdzie musiał zdjąć ubranie, włożyć cytrynowożółtą piżamę, a na nią czerwony szlafrok.

- No, umundurowany! - orzekła siostra. - Teraz wygląda jak człowiek, jak wszyscy nasi.

Następnie zaprowadziła go do jednego z pomieszczeń po prawej stronie korytarza i cicho zamknęła za nim drzwi z napisem „Sypialnia nr 9”. Pokoje na Over - Leadingu nie przypominały szpitalnych sal. Miały nieco przyciemnione szyby, lustrzane od zewnątrz, jak nakazywała budowlana moda sprzed kilku dziesiątek lat, ale w każdym wisiały także zasłony malinowej barwy i prawdziwe firanki. Wszystkie były dwuosobowe, łóżka drewniane, szerokie, stały daleko od siebie, oddzielone dywanem, szafkami nocnymi, niskim stolikiem. Dotknął ściany- pokrywała ją tapeta o drobnym wzorku, na honorowym miejscu wisiało *Babie lato* Chełmońskiego. Klimatyzacja działała bezgłośnie, chłodne, dobre powietrze przesyczał delikatny zapach lasu, może nawet nie sztuczny, może czerpany z okolicy.

Tymczasem z białego kokonu kołdry zwiniętego na łóżku bliżej okna wysunęła się łysa głowa, płaska i podłużna jak wielka śliwka.

Głowa łypnęła podejrzliwie wilgotnym spojrzeniem i zapytała:

- Też?

- Też potwierdził.

Właściciel głowy, mały, wysuszony człowieczek, podobny do kilku patyków związanych w pęk, wygrzebał się z pościeli, pojękując, usiadł i wyciągnął rękę:

- Konieczny jestem.

Obrzucał przy tym badawczym wzrokiem równie mizerną aparycję Irka, penetrował brzuch, odmierzał klatkę piersiową, nieomal wdzierał się pod pancerz czaszki. Po dłuższej chwili porozumiewawczo skinął brodą i znowu spytał:

- Co?

- Wiadomo - Irek przygryzł usta. - A tobie?



- Żółtaczkę jąder podstawy mózgu i methemoglobinemia - wyrecytował Konieczny.

Zaraz także zeskoczył z łóżka, kocim krokiem, na palcach podbiegł do drzwi i ostrożnie wyjrzał przez szparę.

- Barszczucha cię przyprowadziła? - odwrócił się do Irka. - Chodź tu, se zobacz wszystkie aniołki stróże. Cała trójca w komplecie: Majami, Barszczucha, Środa Popielcowa!

Naprzeciw ulokowano dyżurkę pielęgniarek. Wchodziły akurat do środka, głośno rozmawiając na korytarzu. Siostra od rejestracji, zwana Barszczucha, śmiejąca się piskliwie, rubaszna i niezdarna w ruchach, Majami, filigranowa, beatlesowska blondynka z buzią jak poziomka i Środa Popielcowa, której obły korpus o nieczytelnej geometrii oraz ściągnięta, zgryziona twarz wyglądały jak zrobione z jednej bryły soli.

Irek nie zdążył ani dobrze się rozejrzeć, ani choć przez moment odpocząć pod świeżym i miękkim kocem, bo prawie natychmiast włączył się niewidoczny głośnik i wezwano go do psychologa. Konieczny kiwnął tylko, że to normalne.

W hallu spotkał dziwne indywiduum, mające na sobie nie przepisową piżamę, ale podwinięte spodnie od dresów. Pożółkły jak zabytkowy dokument, wychudzony do granic możliwości osobnik, którego ciało od razu skojarzyło się Irkowi ze szczerbatym grzebieniem, usiłował biegać w tę i z powrotem, wysoko unosząc kolana, co kilka kroków przystawał, robił przysiady, skłony i wymachy ramion. Przymierzył się także do wykonania gwiazdy na rękach, ale zrezygnował. Kiedy zauważył, że wzbudza zainteresowanie,

spojrzał na kibica z wyższością, wytarł rękami niewidoczny pot i sprężystymi krokami odszedł do jednego z pokoi.

Psycholog nazywała się Kinga Wiłun. Przyjmowała w gabinecie urządzonym również na sposób nieoficjalny i domowy, choć nastrój psuł zamontowany w kącie szpitalny terminal, taki sam jak u Wszechwłogi. Miała orzechowe oczy i długi koński ogon. Włosy świeciły barwami widma słonecznego - czerwień przechodziła w pomarańczowy, ten z kolei w żółć, żółć w zielen, błękit, fiolet. Irek nie słuchał, co do niego mówiła, ale siedząc naprzeciw, obserwował przepływające fale kolorów. Fiolet z prosto przyciętej grzywki przesunął się do tyłu, na środek głowy, ustępując miejsca nad czołem błękitowi, potem fioletowo świecił węzeł grubej wstążki, splatającej włosy, widoczny, gdy jej właścicielka nachylała się nad ekranem z danymi, wreszcie fioletowa strefa zjeżdżała na sam koniec ogona, a grzywka była już pomarańczowa, potem żółta, niebieska i tak w kółko.

- Boi się pan? - zaatakowała od razu.

- Sam nie wiem... Wszystko mi jedno - usiłował odpowiadać bez emocji, zgodnie z tym, co naprawdę myślał.

- Nie musi się pan bać.

- Ale mnie naprawdę wszystko jedno.

- Czemu pan wybrał O-L? Czy mógłby pan uzasadnić krótko, jednym, no, dwoma zdaniem bez zastanowienia?

- Chciałem być pewny, co ze mną będzie, i przez to lepiej się poczuć.

Psycholog poruszyła się na krześle, orzechowe oczy błysnęły zainteresowaniem.

- Jeszcze nikt mi tak nie odpowiadał. Wszyscy mówią o tym, że się już znudzili życiem, rzadziej o cierpieniu, o sytuacji bez wyjścia. Jakie to ciekawe! Jesteś odosobnionym przypadkiem, żaden z autorytetów mojej dziedziny nie analizuje takiej motywacji - w podnieceniu zapomniała o oficjalnej formie „pan”. - Czy domyślasz się, co to za dziedzina? Spróbowałbyś ją nazwać?

Irek bezradnie poruszył zeschniętym językiem, nieomalże chroboczącym w ustach.

- Psychologia... śmierci?

Zaśmiała się z nutą zawodu i zgorszenia i rozpoczęła wykład. Pomyślał, że mimo podeszłego wieku i ostatecznej sytuacji w życiu na każdym kroku ugniatano go i formowano. Nie dość, że przeciągany był przez kolejne tryby i wałki jednego z urzędów inżynierii nowego społeczeństwa, to jeszcze instruowano go z zapalem i uczono, czemu ten tryb służy, skąd się wziął i po co.

- Nie. Zajmuję się solweologią, psychologią rozstrzygnięć - zaczęła tonem, który już dobrze znał. - Jesteś jednak organicznym wytworem ubiegłego stulecia. Podchodziliście do śmierci w sposób bezwstydnym, zafałszowanym i obłudnym! Cała wielka kultura minionych epok, *Dialogi* Platona, Pismo Święte, średniowieczne opowieści o rycerzach, Szekspir, baśnie ludowe uczą, że śmierć jest najzwyczajszym elementem rzeczywistości, prostym czynnikiem logicznym - zakończeniem czegoś, co rozpoczęte, zwieńczeniem jakiejś całości. Wy byliście na to ślepi i głusi. Mówiliście o niej półgębkiem, wypychaliście ze swojego otoczenia, unieważnialiście ją, wmawialiście sobie, że nie istnieje, że jest tylko miłość i młodość, i odlot, i szczęście, które czeka na każdego. Nie wierzyliście w nią i jednocześnie baliście się jej! Czy to nie symptom zbiorowego obłędu? Z martwych ludzkich ciał, zwyczajnych odpadów naturalnego cyklu przyrody, zrobiliście zabawki do straszenia, kręciliście filmy grozy, żeby się oszukiwać, że nie dotknie was ona w prawdziwym życiu. Kiedy mimo wszystko dotykała, uprawialiście naiwną mitologizację. Znosiliście ją w sztafażu żałoby i łez, jakby była wielką tragedią przytrafiającą się nagle, nieoczekiwanie, po raz pierwszy, jakby oznaczała koniec czasu, koniec życia, które jest przecież procesem zbiorowym, a ona dotyczy tylko jednostek, nigdy zbiorowości. Więc boisz się śmierci?

- Chyba jednak tak...odpowiedział cicho, zalekniony, mimo że psycholog mówiła cały czas profesjonalnie ułożonym głosem, nie zdradzającym żadnych emocji.

- Widzisz! Bo wy, ty i twoi rówieśnicy, a nawet ludzie młodszy o dziesięć, dwadzieścia lat, nie potrafiliście przyłożyć do niej kategorii filozoficznych. O ileż byliście głębsi na przykład od

średniowiecza! Trudno... Boisz się bólu?

- Jak każdy...

- Nie masz czego. Fizjologicznie *over - Leading* jest całkowicie opracowany, to już przecież ponad dwadzieścia lat doświadczeń. Może boisz się nieznanego?

- Właśnie...

- Bzdura. Zrozum, przecież to powrót do poprzedniego stanu. Co było z tobą przed brzuchem matki, przed poczęciem? Przecież już kiedyś nie żyłeś! Dlaczego ci wszyscy przerażeni śmiercią nie uświadomią sobie tego prostego faktu? Nieżyjący dzielą się na tych, którzy już nie żyją, i tych, którzy jeszcze nie żyli. Nie znajduję specjalnej różnicy. Pewnie boisz się zapomnienia?

Nie odpowiedział, patrzył kątem oka na ekran i swoją kartę z fotografią sprzed lat.

- Pamięć, własny obraz w oczach innych całkowicie nie będą cię już dotyczyły. Czy przykładowo teraz, w tej

chwili, żałujesz, że nikt nie rozmawia o tobie na ulicy jakiegoś dalekiego, egzotycznego miasta, pod inną szerokością geograficzną? Najbliższe ci miejsca staną się tak samo obojętne i odległe. Śmierć to, ogólnie rzecz ujmując, łatwa przeszkoda do pokonania, trzeba tylko trochę nad nią pogłównkować, tak jak nad każdym problemem, z którym się człowiek styka.

Wrócił do sypialni, ślaniając się i przytrzymując ściany. Konieczny spożywał kolację. Leżał na wznak, sięgał ręką do stolika, po omacku odrywał kawałki bułki, maczał je w kubku mleka i przenosił do ust, otwartych jak pyszczek ryby wyrzuconej na piasek.

Irek przysiadł koło niego na krawędzi łóżka.

- Pytałem różnych tam, przedtem, w szpitalu... Nikt mi nie powiedział albo nie chciał. Ty powinieneś... Pokaż mi, gdzie tak naprawdę jest ten piękny pokój?

Konieczny mlasnął i starł z twarzy niewidoczne okruchy.

- To takie ważne, gdzie? - A nieważne?

- Idź do Barszczuchy, ma dyżur, ona ci pokaże. Podpiszesz tylko i zaraz cię zaprowadzi - zachichotał piskliwie, jakby ktoś szorował styropianem o szkło.

- Jeśli o nim mówią, to same niestworzone głupoty. Nie chcę, żeby był dla mnie aż do tego dnia, wiesz którego, straszną bajką.

Konieczny pogrzebał w uchu.

- No, dobra. Czwarte drzwi po prawej, jak wyjrzysz na korytarz. Z numerem dwadzieścia jeden, bez żadnych napisów.

- Powiedz, ty pewnie będziesz wiedział... Taki jeden, przedtem z nim leżałem, mówił mi... To prawda, że jakieś wirtualne projekcje, tropiki, plaże, panienki? Ty pewnie będziesz wiedział... Jak to się, no... odbywa.

- A ja skąd? On może już był, ja nie - znowu zarechotał nieprzyjemnie, lśniąco białością

sztuczne zęby zajaśniały między sinymi wargami. Natychmiast jednak spoważniał:

- Chyba normalnie, odpowiadasz na pytania, uruchamiasz sam poszczególne etapy, w pewnym momencie jest *exit* i tyle, jak w grze komputerowej. Ale nie pytaj, nic nie wiem. Nie interesuj się, nie myśl. Ja sobie powiedziałem, że będę o tym myślał, dopiero gdy się zdecyduję. Możesz to w każdej chwili zrobić, proszę bardzo, mają obowiązek w ciągu piętnastu minut, nawet w środku nocy, przenieść cię do pięknego pokoju, jeśli tylko będziesz przytomny, zażadasz tego wyraźnie i potwierdzisz. Nic nie wiem... - Niepewnie przełknął ślinę i dodał ciszej: - Tylko raz podglądałem, jak przeprowadzali taką Piasecką spod dwójki, o trzeciej rano, do świtu nie wytrzymała. Pobudziła wszystkich, bo kaszlała i wymiotowała z wózka, jak ją wieźli. Widziałem, że przy wejściu jest tam przedsionek cały wyłożony kafelkami, a dalej drzwi oszklone na matowo.

Wieczorem u Irkowego wezłowią zadźwięczały korale i zapłonęły kolorowo znajome warkoczyki doktor Gudrun. DFR - B tym razem osiadał we wszystkich zakątkach ciała nadzwyczaj płynnie i miękko, fala ciepłej słodyczy pewnie wypełniała wiadome już sobie koryta i rozlewiska. Od strony zeschniętego żołądka podniósł się co prawda gejzer mdłości, ale zaraz opadł w połowie drogi do przetyku, przynosząc nieoczekiwaną błogość i odprężenie.

- Zdobyłem się, no i jestem tutaj, ale wciąż tak mi trudno dojść do zupełnego przekonania - wyznał ośmielony. - Niech pani powie mi choć jedno słowo, tyle nadziei mi pani dała, może nawet w całym życiu nikt mnie tak nie uszczęśliwił...

- Och, nie jestem pewna, czy jakiegokolwiek słowo coś tutaj rozwiąże. Jestem dologiem, moje kompetencje kończą się na bólu.

- Dzięki pani czuję się czasem całkiem zdrowy, chce mi się żyć, myśleć normalnie i wtedy już wcale nie mam ochoty... wcale się nie skłaniam... nie wiem, czy mi wolno. A wręcz przeciwnie, jakiś straszny żal mnie zaczyna gnębić, patrzę w lustro, spluwam z obrzydzeniem, ale jednak ten żal ciągle jest, uwiera, gryzie. Żeby się w pełni, całym sercem zdecydować na przeprowadzenie, trzeba wpierw zabić to, czego najbardziej się w życiu wstydzimy, miłość do samego siebie. Widzi pani - ja chyba nie potrafię.

- Jestem dologiem, nie uważam jednak, żeby tego rodzaju dylematy miały na ciebie najkorzystniejszy wpływ. Nie są zresztą prawdziwe. Cały czas przecież postępujesz w imię miłości... własnej. Z drugiej strony jednak... - tu cień uśmiechu przemknął przez równo ułożone wargi, niestrudzenie formułujące okrągłe zdania: - Z drugiej strony to interesujące, że ludzie w twoim wieku mogą mieć jeszcze takie kłopoty z samymi sobą.

Mgła opadała na szyby jak świecąca kasza manna. Było już prawie widno, przez firankę ciężką od nikotynowego kwasu prześwitywały domy z drugiej strony ulicy, odstępujące ciemności

rozdrapywał neon nieczynnej kawiarni

„Kaprys”, malinowa pręga pod jedynym jasnym oknem, ramą rozkrzyżowaną na tle przestrzeni wypełnionej elektrycznym światłem koloru uryny.

Ojciec siedział przy stole, rozłożył przyborek do golenia; patrząc w lustro, pokrywał twarz rozrobionym mydłem.

- Zimno tutaj, Iruś, jak w psiarni, chociaż piec dobrze napalony. Sprawdź, dotknij, jeszcze całkiem gorący. Nic, cholera, nie dbają o te hotele. Wilgotno, wiatr buszuje. Tylko takie szczęście, cholera, miałem, że mi nikogo na noc nie dołożyli, bo czteroosobowy pokój, zobacz, cztery łóżka stoją.

Mówił półgębkiem, przenosił mydło na pędzlu z blaszanej miseczki uważnie i ostrożnie, żeby nie zachlapać podkoszulka. Odłożył pędzel, pogrzebał w chrzęszczącej pergaminowo paczce, włożył papierosa do szklanej lufki zapapraną brunatnym osadem i zapalił. Trzymał potem cygarniczkę między palcami lewej ręki, a prawą zdejmował zarost za pomocą maszynki na żyłki, marszcząc przy tym brwi, robiąc miny i od czasu do czasu potężnie zaciągając się dymem. Kiedy skończył, wyjął płaską buteleczkę ze spirytusem salicylowym, porządnie natarł policzki, kark i czoło i tak odświeżony, przeciągnął się, nie wstając z krzesła.

- Herbaty sobie, Iruś, zrobimy, póki co. Zimno jak w psiarni, ciemno jeszcze, a tu już, cholera, trzeba do roboty.

Ulica w dole, za oknem powoli ożywała. Neon zgasł, choć jeszcze ćmiła się koślawa latarnia na rogu, jakby uporczywie broniąc praw odchodzącej nocy. Pierwsze niewyraźne ludzkie sylwetki zamajaczyły na chodniku, przejechał żuk rozwożący chleb, z innej strony przewiół się wyładowany skrzynkami ciężarowy furgon, zaprzężony w łysego, idącego skosem konia.

Ojciec zmaliał raptownie, wyglądał jak główka kapusty, leżąca na stole między zeszytami, rejestrami, bloczkami urzędowych druków i poduszkami do pieczętek, które nie wiadomo skąd nagle się tam znalazły. Jego głos nabrał tonu piskliwej, zawodzącej skargi:

- Kiedy to się, cholera, nareszcie skończy?! Zaraz na kontrolę, cały dzień użerania, potem szesnasta trzydzieści jeden pociąg do Gołdapi, tam jutro to samo i osiemnasta dwanaście do Ełku, stamtąd do Wydmin, do Pizsa, do Sępopola i jeszcze, cholera, do Węgorzewa, Korsz, Bartoszyc, Górowa. Śmierzę, cholera, karbidem z dworcowych wychodków i parowozowym kopciem, wszyscy konduktorzy mnie znają, nawet nie chcą ani biletu, ani legitymacji, traktują jak wyposażenie wagonu, jak gaśnicę czy półkę na walizki... Ile ta tułaczka, cholera, jeszcze potrwa?! Przysypiam w pociągu, budzę się i oblewam potem, bo wiem, że znowu nie jadę do domu, że będę po nocy szukał hotelu w jakimś zaplутym miasteczku, jadł mielonego z zimnymi kartoflami, sztywnego jak zelówka, wymawiał się od wódki obcym gościom, spał z teczką pod kołdrą, żeby mi, cholera, hotelowi współtowarzysze nie ukradli rozliczeń delegacji i pieczętki służbowej. Jak ja bym

chciał już być w domu, poleżeć, koncertu życzeń wysłuchać, *Świętego*, cholera, obejrzeć albo *Kobrę*, wiedzieć, że jutro nie trzeba znowu na stację, w te pędy, żeby na pociąg zdążyć...

Zamilkł, podniósł się, chwycił kubek z niebieskim szlaczkiem i napisem „Społem”, wyszedł na korytarz po wodę, później wyciągnął z teczki grzałkę, rozwinął i zanurzył w kubku.

- Mógłbyś już, tatuś, pomyśleć o zmianie roboty. Masz rację, rzeczywiście musisz do domu, to naprawdę po

nad siły, nawet kogoś wiele młodszego - Irkowi wydało się, że jego słowa dudnią echem w wąskim pokoju, odbijają się o obtłuczone stiuki pod sufitem i prostacko pomalowaną na olejno boazerię - świadectwa lepszych, przedwojennych czasów.

Ojciec zachnął się z wrażenia, wstrzymał rękę sięgającą po nowego sporta, zsunął okulary na nos. Natychmiast też spotęźniał, wyogromniał do takich rozmiarów, że jego ciało zaczęło swoją masą zajmować całą przestrzeń, budząc respekt i przytłaczając.

- Coś ty powiedział, Iruś? Robotę rzucić? Jaki ty jednak, cholera, głupi jesteś, wy wszyscy jacy głupi jesteście! - krzyczał, aż huczało pod wysokim sufitem. - Czyli kierować sobą doraźnie, według własnego widzimisie? Tak byście, cholera, chcieli? A wyższy cel? Są sprawy ważniejsze niż zmęczenie, brak wygód.

- Jaki wyższy cel? Jakie sprawy? - Irek wybuchł śmiechem. - Jak tak mówisz, to wybac, ale kiszki stają dęba. Co to ten wyższy cel? Powinność patriotyczna, nakaz partyjny czy tylko pieniądze na następną ratę za tapczan i odkurzacz?

- Kpisz, kpisz... Będiesz, cholera, żałował, że kpisz. Nie forsa, nie żaden tam nakaz, tylko sens życia. Sens życia, zrozumiałeś? Nie można żyć od przypadku do przypadku, jak, cholera, zwierzątko, wybuchać głupią radością, gdy nic się nie dzieje i nic nie grozi, albo uciekać do nory, gdy się dostanie po nosie. Trzeba coś realizować, wypełniać, rozpoczynać i kończyć, konkretne sprawy pozostawiać za sobą i także same konkrety mieć przed sobą. Męcę się, cholera, tęsknię, narzekam, ale tyle mam satysfakcji, wypełniam zadania, współtworzę całość jakiegoś większego zamierzenia. O, popatrz sobie!

Wyjął z teczki złożony papier i rozpostarł go przed oczami Irka. Widniały tam tabelki gęsto wypełnione maszynowym pismem, fioletowe pieczętki podłużne i okrągłe oraz zamaszyste podpisy. Niestety, Irek nie mógł odcyfrować ani jednego zdania, wyrazy rozpadały się, litery rozmazywały i ulatywały gdzieś w przestrzeń.

- Co to znowu jest? - zapytał zniecierpliwiony.

- „Plan działań kontrolnych na miesiąc listopad” - ojciec w skupieniu przeczytał nagłówek dokumentu. - Rozpisana na daty, miejsca, polecenia zasada mojego szczęścia, schemat, który mi, cholera, pozwala być człowiekiem, jasno patrzeć na świat i odczuwać do człowieczeństwa ogromny

szacunek.

Woda zaczęła bulgotać. Usiedli obydwaj przy herbacie zaparzonej w grubych szklankach. Ojciec na powrót zmałał, wyjął z szuflady pokrojony chleb i wolno smarował kuchennym nożem, odwiniętym z wytłuszczonego papieru.

- Wczoraj dostałem pasztetową w Bisztynku, jedz, Iruś, spróbuj, smaczna, jeszcze świeża, za oknem trzymałem, a w nocy było zimno.

Irek nie poczuł jednak żadnego smaku, tylko kleista masa zalepiła mu usta.

Tymczasem na ulicy rozpoczął się już nowy dzień. Po bruku kłapały kopyta, dzwoniły żelazne koła wozów, przejeżdżały hałaśliwe motocykle i smrodzące spalinami samochody ciężarowe. Słysząc było tupot kroków, mimo zamkniętego okna docierała na piętro mieszanina głosów damskich i męskich.

- Nigdy się nie dogadamy, tatuś. Nie chciałbym, żeby moim życiem rządził jakiś papier, plan, na bieżąco podejmowane czyjeś decyzje i zalecenia, choćby najmądrzejsze. Już nie z tej gliny jestem. Ty myślisz zupełnie inaczej, nie zrozumiesz. Twoje „być sobą” i moje „być sobą” to dwa różne „być”.

*Zachodni wiatr  
spienione goni fale...*

- nie wiadomo skąd, zza ściany, z góry albo z dołu, dobiegła melodia i strzępy słów szlagieru.

Ojciec nie odpowiadał, kręcił się po pokoju, zbierał do aktówki wszystkie *rzeczy*, czasem podchodził do stołu i parząc język, pociągał szybkie łyki herbaty, włożył wreszcie płaszcz, sapiąc; spojrzął na Irka, rozejrzał się po pokoju.

- Muszę już. Kiedy to się, cholera, skończy, kiedy skończy?... Żyję w pociągach i hotelowych pokojach, jutro Gołdap, pojutrze Ełk, potem Wydminy, Sępopol, Węgorzewo, Korsze... Czyja w ogóle wrócę z tej cholernejszej podróży, czy nie roztopię się gdzieś po drodze, nie wchłonie mnie materac hotelowego łóżka albo ściana wagonu, do której się, cholera, przytulam, gdy chcę spać... Tak bym wrócił już do domu, wyciągnął się przed telewizorem, cholera, totolotka wypełnił spokojnie, dobrej herbaty się napił. A tu trzeba jechać i jechać, i jechać. Końca, cholera, nie ma... Posiedź tutaj sobie, Iruś, popij jeszcze, jak chcesz, albo się zdrzemnij trochę, tu nikt nie przyjdzie, nikt nie przeszkodzi. Zejdź potem, jak otworzą restaurację, zamów ogórkową i pyzy z kapustą, całkiem niezłe, wczoraj jadłem, nawet mi się, cholera, nie odbijało.

Machnął swoim zwyczajem ręką na pożegnanie i wyszedł, przyciskając do piersi aktówkę. Ortalionowy płaszcz z paskiem, swobodnym półkolem zwisającym poniżej pleców, zniknął za

zamkniętymi drzwiami.

Można było odnieść wrażenie, że czerwona bryła wschodzącego słońca nie opuszcza pacjentów Szpitala Nieustającej Pomocy na żadnym oddziale i piętrze, w najmniejszym zakamarku ukrytym między spiętrzonymi ścianami kompleksu szpitalnych gmachów. Teraz również wypełniała sobą okienny prostokąt i mimo zapory ochronnych szyb Irek obudził się cały skąpany w purpurze. Płomienie rozlewały się na meble, tapety, ogarniały niepozorny kształt śpiącego współtowarzysza, sprawiały, że ramy *Babiego lata* Chełmońskiego wyglądały jak otwarte drzwiczki pieca. Powietrze było lekkie, świeże, przepojone poranną wilgocią i zapachem sosen. Nie czuł żadnych dolegliwości, tylko delikatne mrowienie łokci i kolan, przeciągał się, szukając nogami tych płatów pościeli, które nie przylegały w czasie snu do ciała i wobec tego pozostawały przyjemnie chłodne. Po długich chwilach takiej rozkoszy wstał bez trudu i żadnego bólu. Gdyby okna dawały się otwierać, pewnie oparłby się na parapecie, *aby jutrzeńki blask duszkiem pić*, jak w starej piosence. Mógł jednak tylko popatrzeć przez szybę na wyrudziały od słońca, rozległy jak boisko trawnik, zakończony bardzo wysokim, półprzezroczystym parkanem, znad którego wyrastały wierzchołki leśnych drzew.

Z korytarza dobiegły odgłosy intensywnego wysiłku fizycznego, sapanie, ciężkie westchnienia i szuranie po posadzce. Irek wyjrzał przez szparę.

Ten sam co wczoraj gość, podobny do zużytego grzebienia, wykonywał poranną gimnastykę. Naga klatka piersiowa, wyglądająca jak szkielet zawinięty w pergamin, gięła się na wszystkie strony, długie ręce machały w nierównym rytmie, stopy w za dużych, rozdeptanych tenisówkach przedreptywały, zmieniały konfigurację, migały w podskokach. Zrobił pad do przodu i jęcząc, z nieprawdopodobnym wysiłkiem zaczął wyciskać pompki.

Obok przedefilowała Środa Popielcowa, obrzucając wyczynowca lodowatym spojrzeniem.

- To Starościak! - zawołał z łóżka Konieczny, który obudził się akurat, i pokazał kółko na czole.

Irek wyjrzał jeszcze raz.

- No co tak się gapisz? - parsknął ćwiczący, wycierając kark i ramiona. - Nie ma siłowni, to muszę na korytarzu. Dziwne? Wszyscy tylko się dziwią. Wleźli tu na własne życzenie i nie rozumieją oczywistych *rzeczy*. Nowoczesne społeczeństwo to działania mniejszych i większych zbiorowości. W przedszkolu grupowano nas do rozwoju, w szkole do nauki, w wojsku do obrony, w związkach zawodowych do desperacji, a teraz - do śmierci! Normalne. Dlaczego mam zrywać ze swoim trybem życia? To jest zwykły porządek społeczny i tyle, nie ma co stroić głupich min!

Po śniadaniu nastąpił obchód, który tu wyraźnie miał charakter mniej formalistyczny niż na



innych oddziałach. Wszechwłoga przyszedł samotnie, tym razem miał makijaż przyciemniający twarz i oczy o kolorze zmienionym na wodnistozielony. Rozpoczął od milczącego odbijania swojej niebieskiej piłeczki nad łóżkiem Koniecznego i łapania jej z wielką zręcznością.

- Pomaga mi to w skupieniu, zdarza mi się bywać bardzo rozkojarzonym - wyjaśnił głośno.

Pochylił się potem nad Koniecznym i szeptał do niego coś, czego Irek nie słyszał; uśmiechali się przy tym obydwaj.

Irkowi kazał położyć się na brzuchu, badał go dwoma małymi czytnikami przesuwanymi w przeciwne strony po pośladkach i plecach.

- Niestety - komunikował - wszystko posuwa się naprzód. Widzę rozbarwienia tkanki kostnej z otoczką, być może zwapniała. To trochę tak, jakby korniki albo inne złośliwe stworzenia drażyły całą konstrukcję, na której pan się utrzymuje, panie Ireneuszu. Darujmy sobie szczegóły, zrobię wydruki, wyjaśnię dokładnie, jeżeli tylko sobie pan zażyczy. Teraz jelitko. Tu też stan pełnego rozkwitu. Proszę wybaczyć dygresję, ale jakże i tego rodzaju zjawiska świadczą o paradoksach wszechrzeczy. To, co dla jednego jest przejawem bujności natury, dla innego... - tu Wszechwłoga ugryzł się w język - może być czymś całkowicie przeciwnym. No proszę, spektakl trwa na naszych oczach: polipy tracą szypuły bądź od razu przechodzą w *adenomatosus malignus*. Kiedy przełączymy na podgląd mikroskopowy, na pewno zobaczymy nadmiernie stłoczone i rozmnożone komórki... O, o... Jasne, że tak. A nie mówiłem? Hiperchromazja jąder, jak na dłoni. Może jeszcze płuca... O, o... Tu jest tak, jak było. Ujścia oskrzeli jeszcze jako tako drożne. Bardzo podwyższone poziomy enzymów, wyświetlacz pulsuje mi na czerwono - szczególnie aminotransferaza asparaginianowa oraz dehydrogenaza kwasu mlekowego.

Doktor schował czytnik i zasiadł w fotelu.

- Im dłużej jestem lekarzem, tym trudniej pogodzić mi się ze specyfiką tego zawodu. Mam naturę filozofa i poety, każdy pacjent, każdy przypadek kliniczny powoduje

u mnie konstatacje i refleksje całkowicie wykraczające poza zakres medycyny. Proszę darować ten ton, panie Ireneuszu, ale wielkie sprawy wymagają wielkich słów - zamilkł, skierował wzrok na sufit i trwał długą chwilę nieruchomo, jak skamieniały. - Otóż czasem myślę, że choroba nowotworowa, rak po prostu, nie pieścimy się eufemizmami, jest poetycką metaforą i filozoficzną syntezą, kluczem do rozumienia duchowych katastrof ludzkości. Rak nie zżera, nie poraża, nie zatruwa, on tylko rośnie, zawsze ponad miarę, zawsze bez rozsądku i granic, nieprzewidywalnie, z wściekłą, spontaniczną żywiołowością. Zatyka kiszki, rozsadza kości i narządy, zarasta pęcherzyki płucne, rozgniata mózgi. Bezradność lekarzy polegała na nieumiejętności powstrzymania tego wzrostu. Nie dotyczy ona wprawdzie nas, ale dla pańskiej generacji jest, niestety, wciąż taka sama, i to też znamienne. Czy zauważył pan, że rak pojawił się dopiero wówczas, kiedy ludzie zaczęli odrzucać wszelkie respektowane przez wieki konwencje, gdy ideą przewodnią stał się bunt, życie

na przekór wszelkim zasadom i niepisanyemu prawom?

Irkowi jak zwykle nie chciało się rozmawiać z Wszechwłoga, teraz jednak musiał zaprotestować:

- Bzdura przecież. Nie umiano go tylko rozpoznać, a ludzie umierali tak samo wtedy, jak i potem.

- Jak ja lubię z panem polemizować, panie Ireneuszu. Jest pan moją piękną przygodą intelektualną. Oczywiście ma pan rację, choć w ogóle jej pan nie ma. Nawet jeśli w średniowieczu, w epoce podbojów kolonialnych czy w osiemnastym wieku istotnie umierano na raka, to nikt o tym nie wiedział. Dla tamtych ludzi był to zgon z powodu bólów głowy albo brzucha, duszności, przejedzenia albo tak zwanego wzburzenia krwi. Nikt nie widział w tym wyroku,

raczej dopust Boży, chory nie żył w świadomości lęgnącej się w nim śmierci, którą co najwyżej można tylko trochę odwlec; on i jego medyk mogli mieć do końca nadzieję.

Wszechwłoga wstał i od tej chwili swoim zwyczajem przemawiał już jak z mównicy, modulując głos, odbijając piłeczkę i gestykulując szerokimi ruchami ramion:

- W każdym razie rak i jego nieposkromiona siła rozrostu jest dla mnie metaforą życia w niezgodzie na świat. Tyle dobrego zmarnowaliście w tym waszym stuleciu, które historycy już zaczynają nazywać „wiekiem przeklętym”, właśnie przez kult bezmyślnej żywiołowości, przez nienawiść do wszelkich ograniczeń, do jakiegokolwiek kontroli. Chcieliście wielkiego rozwoju nauki, hołubiliście odkrycia fizyków, myśl Einsteina - wyrosła wam zabójcza broń, która podzieliła planetę. Pragnęliście równości i sprawiedliwości - pączkowały tak dynamicznie, że skończyły się obozami śmierci, nędzą całych narodów i państwem Pol Pota, a wolność i tolerancja - kompletnym bałaganem etycznym i nieustającymi triumfami kłamstwa. Marzyliście o cywilizacji elektronicznej - wykreowała alternatywny świat, koszmar wirtualnego złudzenia, od którego każdy zwiewał do choćby najprymitywniejszych przejawów natury i który my musieliśmy poddać racjonalnej przebudowie. Nawet żalosa próba ujęcia tego całego śmietniska w jakieś tam kategorie rozumowe, ogólne przyniosła wam postmodernizm i dekonstruktywizm, czyli autodestrukcję kultury. Nie mówię już, w jakim kierunku przerosły was swoboda seksualna, ekologia, genetyka, bo to każdy wie. Szczególnie genetyka. Jako dziecko oglądałem reportaże z obław na zwyrodniałe klonoidy, które uciekły z ośrodka koło Kopenhagi, nigdy nie zapomnę, palili je laserami jak małpy zarażone wścieklizną.

Wtedy dopiero było! „Ojej, ojej, co myśmy najlepszego zrobili, myśmy nie przewidzieli! Kod genetyczny jednak chyba nie powinien być polem do eksperymentów!” - łapał się za głowę jakiś mądry profesor. Wszystko, czego dotknęliście, jak zrakowaciała tkanka rozrastało się ponad wasze wyobrażenia, obracało przeciwko wam, a wy staliście przerażeni, z wybałuszonymi gałami; niech przytoczę słowa poety, daruje pan, panie Ireneuszu, tę dygresję: niczym *niedołężne niewiasty*

*Jeruzalemu.* Potrafilicie tylko opuszczać ręce, tępo przypatrywać się swojemu dziełu i lamentować. Wiek przeklęty! Sama myśl napawa mnie zgrozą!

Irek podniósł się na łóżku, ukradkiem wytarł nos.

- Nie rozumiem, dlaczego pan doktor ciągle mi wytyka coś, czego prawie nie pamiętam. Wychodzi na to, że akurat ja jestem winien zniszczeniu środowiska, wojnom, demagogii polityków, zniewoleniu człowieka przez rzeczywistość multimedialną. Niedługo pan powie, że to ja unieważniłem Dekalog, zalegalizowałem narkotyki, klonowałem ludzi, bezwolnie poddałem się dyktatowi międzynarodowych korporacji, wprowadziłem do Karty Praw Zjednoczonej Europy poprawkę, że dobro i zło stanowią wyraz indywidualnych odczuć obywatela. Ja jestem tylko Ireneusz Słupecki, księgowy, mieszkałem w bloku, który ma być rozebrany, bo grozi zawaleniem, chodziłem do pracy, na emeryturze, póki nie zachorowałem, urządzałem spacerów i oglądałem filmy. Świat toczył się gdzieś z boku i toczyłby się tak samo, gdybym w ogóle nie istniał.

- Nie nastawiałem się dzisiaj na mówienie przykrych rzeczy. - Wszechwłoga nerwowo poprawił pięknie ułożoną fryzurę. - Ale tak właśnie jest, jak pan powiedział. Mam pretensje do Ireneusza Słupeckiego i do Norberta Koniecznego

- spojrzal na sąsiednie posłanie, gdzie Konieczny wyglądał spod kołdry ze skołowaną miną.  
- Mam pretensje do tysięcy Ireneuszów Słupeckich i Norbertów Koniecznych, do milionów Ireneuszów Słupeckich i Norbertów Koniecznych, mieszkających w blokach, które nareszcie znikną z powierzchni Ziemi, chodzących do pracy, zażywających spokoju na emeryturze, właśnie o to, że stali na uboczu, myśleli, rozumowali, postrzegali sens życia tylko tak, jak im było najwygodniej, że wszystko, co na tym świecie miało jakąkolwiek wartość, oceniali tylko poprzez swoje widzimisię, pozwalali na przekraczający wszelkie wyobrażenia rozrost rakowych komórek. Później my musieliśmy całymi dziesięcioleciaми przywracać normalność, poświęcać życie na sprzątanie po was, również na zabiegi... o chirurgicznym charakterze.

Po tej riposcie ucichł, zamyślił się, nagle skoczył na równe nogi i odbił kilka razy piłeczkę tak raptownie, że widać było tylko niebieską smugę między dywanem a jego dłonią.

- Ale tak w ogóle przyjemnie, prawda? - zwrócił się do Irka innym tonem, z łagodnym uśmiechem. - Mnie też aż nie chce się stąd wychodzić na ten skwar albo do szpitala. Macie tu kilka opcji klimatyzacji, wiedzieliście? - podszedł do włącznika. - Powietrze leśne, górskie, morskie, po deszczu...

- Wiemy, tylko nie zawsze działa - zauważył Konieczny.

- Działa, działa. Ważne, że się dobrze czujecie. Przecież o to chodzi, żebyście byli zadowoleni z usługi. Odpoczywajcie, a przede wszystkim cieszcie się, że macie całkowitą władzę nad losem i pewną przyszłość.

- Boże ty mój Jak ten człowiek smęci - westchnął Konieczny po wyjściu Wszechwłogi. -

Wychodzić mu się stąd

nie chce! Dobrze! Mieszka niedaleko nas, na jagielku, w tym strzeżonym osiedlu pod lasem. Ma dom z tego materiału, no... zapomniałem, w każdym razie wygląda, jakby był zbudowany z błękitnych tafli lodowych, obok oranżeria, basen, kawał łąki. Ganiają się tylko z żoną na koniach... Tyle razy z nim rozmawiałem i nic nie mogłem zrozumieć.

- Ja, niestety, rozumiem - odparł Irek i zamiast wyjść na przechadzkę po korytarzu, jak sobie wcześniej zaplanował, otulił się szczelnie kołdrą.

Zaraz po obiedzie do sypialni bezszelestnie wsunął się Starościak.

- Co wy tak w tych wyrach gnijecie? - zasyczał z ogromnie tajemniczą miną. - Wiecie, jakie jajca? Cmona przywieźli!

- Kogo? - pytał półprzytomnie Konieczny. - Cmona, palancie! Cmona nie pamiętasz?

- Cmona? Tego Cmona? To on jeszcze żyje? - Irek ocknął się również.

- Co się głupio pytasz? A jakiegoś innego znasz? Jasne, że na razie żyje.

- Cmon tutaj, u nas? Skąd? Z jakiej racji?

- Nie gadaj, tylko chodźcie zobaczyć. Chodźcie szybko pod dwójkę.

Przywiezienie Cmona na Oddział O-L nie było widocznie aż taką tajemnicą, bo pod drzwiami sypialni oznaczonej numerem 2 tłoczyło się już kilka babin w cytrynowych piżamach i czerwonych szlafrokach. Niektórych Irek przedtem w ogóle nie widział, inne, ukradkiem zaglądając do sal, oceniał jako niewstające z łóżek.

Pamiętał Cmona doskonale, w domu leżało gdzieś jeszcze parę czarnych płyt, Olucha jako nastolatka nie chciała ich już słuchać, śmiała się. Cmon. To była znakomitość, jedna z największych rockowych gwiazd lat osiemdziesiątych, tej samej miary co Kora, Ciechowski, Hołdys czy Janerka. Zespół nazywał się Klapperstorch, kojarzył mu się z późną młodością, należał do ostatniej fali w muzyce, którą jeszcze rozumiał, przeżywał, odnosił do siebie. Pamiętał siermiężne videoclipy, oglądane w czarnobiałym telewizorze, scenerię murów, gołych żarówek, żelaznych bram i ciemnych korytarzy, samego Cmona, krępego, o brzydkich, cynicznych rysach, z wielką gitarą pośrodku opustoszałej hali. Musieli być odważni, odrzucili modny, posthippiesowski luz, ubrali się w garnitury i cienkie krawaty na gumkach, grali tak jak pierwsze angielskie kapele z początku lat sześćdziesiątych. Gitarowe brzmienie, chórki, melodyjne organowe solówki. Organista stanowił też najbardziej widowiskowy element Klapperstorcha, Mirka mówiła, że wygląda, jakby go wyciągnięto z rosołu. Zawsze zlepione włosy, spocone czoło; marynarka przypominała skorupę starego tłuszczu, która zaschła na ciele i żeby ją zdjąć, trzeba użyć skrobaczki. W odróżnieniu od kolegów, szalejąc palcami po klawiaturze, stroił idiotyczne miny, jednocześnie pokracznie tańczył,

wyrzucał na boki chude nogi w przykrótkich spodniach, kuczał i nagle wyskakiwał do góry, włożył na instrument, usiłował grać piętami - ściągał przedtem buty i odsłaniał dziurawe skarpety. Cmon natomiast śpiewał poważne, mocne, aluzyjne teksty, w przeciwieństwie do samej muzyki bardzo współczesne. Irek uwielbiał wywiady Cmona, jakieś okruchy jeszcze pałętały mu się po głowie:

„Dlaczego gracie muzykę sprzed ćwierćwiecza? Przecież to tchnie starzyzną” - pytał Cmona w telewizji Romek Rogowiecki.

„Odrabiamy zaległości, bo w Polsce nie było wtedy takiej muzyki”.

„Oj, czy się nie mylisz? Była”.

„Serio? A kto?”

„Czerwone Gitary na przykład”.

„Naprawdę? Przepraszam, nie słyszałem o takim zespole”.

Cmon długo brylował na szczytach popularności, wraz ze swoim zespołem odchodził i powracał, gasł i znów na krótko wzbudzał entuzjazm. Potem powroty stawały się coraz rzadsze, ograniczone do różnych benefisów, okolicznościowych imprez weteranów rocka, wreszcie bodajże w drugiej dekadzie nowego stulecia znikł na zawsze, przed całkowitym zapomnieniem chroniły go tylko płytowe składanki rockowej klasyki i skierowane do starszych odbiorców medialne koncerty życzeń.

Starościak bezceremonialnie rozepchnął tarasujący drzwi dwójki tłumek i wciągnął obydwu za sobą. Irek zatrzymał się speszony. Cmona ułożono na zwykłym szpitalnym łóżku, nie takim, jak wszystkie inne w Oddziale O-L. Leżał nieprzytomny, obwieszony lianami kroplówek, podłączony do ściennego kolektora przewodami odprowadzającymi moc. Maleńka szara twarz, otoczona fałdami poduszki, była tylko odległym wspomnieniem wizerunków zapamiętanych z telewizji, przypominała zgniecioną kartkę papieru. Prześcieradło ukrywało pod sobą nieforemny kształt o dziecięcych rozmiarach.

- Takiego czadu dawał, a teraz patrzcie... - smutno pokiwał głową Konieczny.

- Phi, phi, roztkliwił się będzie! - Starościak prychnął przez zęby zirytowany. - Jakby to jemu pierwszemu się przydarzyło! Każdy idzie w to tango: czy kardynał, czy szklarz, czy milioner, czy wszarz. Taka prawda. Ale jaki numer im odwalił! Słyszałem, jak Barszczucha mówiła Środzie, że padł, kiedy Wszechwłoga już go tutaj przytarabanił. Ściągnęli całą dokumentację, wprowadzili do swoich zasobów, wszystko podpisał, rozliczyli go, tylko modemu nie zabrali, bo zgubił, a on nagle: fajt! Rozumiecie? Przeprowadzić go teraz nie mogą, bo musi to zrobić samodzielnie, wyrzucić gdzie indziej też nie, bo europejski przepis mówi, że oddziały O-L opuszcza się tylko na wyraźne własne żądanie. Będą go tu trzymać i trzymać, chyba że matka natura sama się zlituje.

W tej chwili do sali energicznie wkroczyła Majami. Jej anielska buzia była czerwona ze złości.

- Dość tego, proszę wyjść! Natychmiast! - krzyknęła ostro. - Widowisko sobie znaleźliście? To nie cyrk, tylko ciężko chory człowiek, nie ma co się gapić!

Gdy całe towarzystwo ze Starościakiem na czele w pośpiechu i posłusznym milczeniu rozchodziło się po sypialniach, Majami chwyciła Irka za rękaw.

- Ty zaczekaj.

Zostali sami przy łóżku Cmona. Uniosła bezwładną głowę i poprawiła poduszkę, sprawdziła kroplówki, odczytała jakieś dane z ekranu przytwierdzonego do poręczy i zmieniła temperaturę oraz wilgotność powietrza w pomieszczeniu. Dotknęła także wyschniętej dłoni jakimś małym przyrządem, który wydał sygnał w postaci świergotu ptaka, a następnie wyświetlił kolumnę cyfr.

- Nie jest wcale najgorzej - powiedziała ni to do Irka, ni do siebie. - Jeszcze może trochę wydobrzeć, chociaż chodzić na pewno nie będzie... Aha - spojrzała swoimi wielkimi oczami. - To wbrew przepisom, ale chciałam ci powiedzieć, że ktoś dwa razy wchodził na twój modem, jakaś kobieta z Nowej Zelandii.

- Zgadza się. Córka.

- Nikogo więcej nie masz? - Właściwie nie.

- Tak... Dałam dyspozycję, że czasowo jesteś poza zasięgiem, ale jeżeli wejdzie jeszcze raz, na przykład na moim dyżurze w nocy, to mogę cię zawołać. W ogóle, jakbyś chciał z nią porozmawiać - zniżyła głos do szeptu - to nie jest to niemożliwe. Powiedz mi tylko, wtedy znajdę odpowiedni moment.

- Nie, nie! - zaczął bronić się raptownie, ku zdumieniu Majami. - Sprawa zamknięta, skończona, zaklejona koperta, której nie ma co rozrywać! Jak wejdzie, powiedz jej, że skierowaliśmy mnie na intensywne leczenie sanatoryjne, na Litwę, do Druskiennik, że sam się odezwę za tydzień, dwa.

- Jak chcesz.

- Wiesz...Ja już naprawdę niedługo. Już noszę to słowo prawie że pod gardłem. Niewiele trzeba... Dopiero jak... Rozumiesz. Wtedy zawiadom. Wejdz w notatnik na moim modemie, znajdziesz adres, nazywa się Ola Pastry - Mariani. Ja naprawdę niedługo...

Następnej nocy nie mógł zasnąć. Organizm przyzwyczał się już do DFR - B i nie stawiał tak gwałtownego jak przedtem oporu. Jednak zamiast mdłości, ślinotoku i bólów

kręgosłupa odczuwał tym razem dokuczliwe podniecenie. Konieczny spał sumiennym snem zdrowego człowieka, a jemu trudno było wytrzymać pod kołdrą. Wstał w końcu i wyszedł na pusty korytarz. Spacerował boso, dywany tłumiły kroki, przenikał go miły chłód, kiedy dla przyjemności schodził na posadzkę. Z ciekawości zajrzał po cichu do dwójki, bo w dzień drzwi były zamknięte.

Majami ciągle siedziała przy Cmonie. Blask lampki lśnił na rudych włosach, nie pokrytych wielofazową farbą. Trzymała kubek, od którego promieniował kawowy aromat, czytała sobie coś z podręcznej przeglądarki, ustawionej na szafce przy chorym. Chude ręce Cmona wyginały się i prostowały, Irkowi wydawało się z daleka, że zwilża językiem wargi, a nawet że otworzył oczy i spojrzał w jego stronę. Odszedł na palcach i dalej krążył w głębi hallu. Cały oddział spał, cisza była głęboka, ale zniemacka przerwał ją odległy głos Wszechwłogi. Irek ruszył do szklanego przepierzenia w drugim końcu korytarza, wychylił się i widział stąd wewnątrz pokoju przyjęć.

Na kozetce póležała tam skrzyta postać starca. Podpierał się łokciem, jedną nogę zawiązał pod siebie, druga, w ciężkim, grubym bucie pozostała na podłodze. Miał na sobie „cywilne” łachy, ze spodni wystawała brudna koszula. Trząśł się cały, krople potu spływały po szyi i szarzielonych policzkach, chyba niedosłyszał, bo Wszechwłoga musiał do, niego krzyknąć, a aparat, który mu wciśnięto do ucha, widocznie nie działał. Pacjent początkowo starał się treściwie; i służbiście odpowiadać na pytania, tak żeby siedząca za biurkiem Środa Popielcowa mogła wszystko od razu wprowadzać do danych.

- Imię pańskie?! - wrzeszczał Wszechwłoga.
- Kazimierz! - po dłuższym zastanowieniu padała równie gromka odpowiedź.
- Nazwisko?!
- Krakowski!
- Wiek?!
- Dziewięćdziesiąt siedem!
- Pięknie! Wykształcenie?!
- Średnie!
- Ostatnio wykonywany zawód?!
- Kierownik kolektury!

Wszechwłoga z zafrasowaną miną odbił kilka razy niebieską kulkę od blatu biurka i pochylił się do Środy.

- Co robić? - szeptał, ale Irek słyszał wszystko wyraźnie. - Nie wolno w tak natychmiastowym trybie, pogwałcilibyśmy procedurę. Zresztą, nie ma jednoznacznego rozpoznania ani badań, żadnych zapisów dochodzenia do decyzji, może to odruch, może na złość chce komuś zrobić? Gdzie pan mieszka, panie Krakowski? - zapytał już głośno.

- Kontener 234 E, na V Rejonie!
- Rodzinę pan ma?!
- Już żadnej!
- Badania są - Środa Popielcowa puknęła w ekran. - Sprzed miesiąca, ale mogą być. A rozpoznanie... Też jest, nikomu bym nie życzyła, zobacz. Może potraktuj my jako przypadek nagły.

Wszechwłoga jednak nie mógł się zdecydować. Chodził w tę i z powrotem, odbijał kulkę, zaglądając w lustro wiszące nad umywalką, poprawiał niewidoczne wady makijażu.

- A więc potworne cierpienie nie do wytrzymania? - indagował dalej Krakowskiego.

- Już pięćdziesiąt razy panu mówiłem! Zaraz zacznę kłąć, wrzeszczeć, rozwalę tu wszystko!

Po co bym innego

przychodził! Nie dam rady, zaraz nie dam rady! - dyszał pacjent i zaciskał pięści.

- Wezwę specjalistę, może wyłączy ból? - nie dawał za wygraną doktor.

- Dlaczego ty się nade mną znęcasz? Dlaczego się, kurwa mać, znęcasz?! Jaki specjalista?

Myślisz, że nie chodziłem do specjalistów? Widziałeś, tak mnie tu nieśli, jak leżę, ustać nie mogę, bo mnie w środku rozrywa. Będę wył! Zaraz będę wył!

- A więc ostatecznie doszedł pan do wniosku, że to byłoby najlepsze rozwiązanie? Teraz, od razu, w środku nocy?

Krakowski wtulił się w skórzany podglówek i ryknął płaczem.

- Jest determinacja, zapisz - rzucił Wszechwłoga do Środy, a potem znowu do Krakowskiego:

- Czy potwierdza pan decyzję? Odpowiedział mu jeszcze głośniejszy spazm. - No więc dobrze.

Środa Popielcowa wstała i wyszła, Irek uskokczył w najciemniejszy kąt. Widział, jak podchodzi do drzwi oznaczonych numerem 21, wkłada kartę do zamka, otwiera. Zapaliła wewnątrz białe, jaskrawe lampy, ale był za daleko, żeby zobaczyć cokolwiek więcej.

Tymczasem Wszechwłoga podsunął Krakowskiemu fotel na kółkach. Ten odepchnął go wściekle, rycząc:

- Tak nie, nie wysiedzę, boli!

Gdy pielęgniarka wróciła, uczepił się jej masywnego karku, drugą ręką złapał za szyję Wszechwłogi. Oboje objęli go mocno w pasie i z wysiłkiem powlekli do pięknego pokoju. Bezwładne nogi w ciężkich buciskach zaczepiały o chodniki i ścigały je w harmonijki, czubki butów ślizgały się po posadzce, wydając pisk, od którego drętwiały szczęki.

Wszechwłoga opuścił piękny pokój już po chwili, kierując się szybkim krokiem do wyjścia, Środa dopiero po kwadransie, sprawdzając, czy drzwi są dobrze zamknięte. Znow zapadła niczym niezmacona cisza. Irek wsunął fotel za donice ze sztucznymi roślinami i postanowił czekać.

Dosłowność oglądanych przed chwilą scen przeszła wszelkie oczekiwania - do tego stopnia, że nie robiły już żadnego wrażenia. A więc wszystko rozgrywa się w sposób tak przerażająco prosty, jakby chodziło o załatwienie normalnej sprawy. Przecież sam Wszechwłoga nazwał to „usługą”. Może więc rzeczywiście nie należy mitologizować, nie należy się bać, tylko przyjąć ten moment jako rzecz najzwyczajniejszą pod słońcem, być szczęśliwym, że obejdzie się bez cierpień,



bez zaskoczenia?

Po upływie niecałej godziny usłyszał dochodzący zza drzwi pięknego pokoju wyraźny jęk. Najpierw było to ciche buczenie, podobne do odgłosów dawnych urządzeń elektrycznych, potem coś w rodzaju kwilenia noworodka, wreszcie jęk narastał, potworniał w uszach niehumanym bełkotem, przechodził w rozpaczliwy krzyk, wzbierający i opadający falami. Chciał się zerwać i uciec do łóżka, ale musiał pozostać w swojej kryjówce, bo już nadbiegała Środa. Ze zdenerwowania nie mogła trafić kartą w szczelinę. Kiedy wreszcie weszła, usłyszał z wnętrza gwałtowny, głuchy łoskot i krzyk urwał się nagle, jak ucięty nożem.

Przerażony pobiegł do sypialni, ale choć trząsał się ze strachu, dalej patrzył przez szparę. Nie musiał długo czekać. Ujrzał w drzwiach grzbiet Środy, wyciągającej na korytarz szpitalny wózek z podłużnym, wrzecionowatym workiem żółtego koloru. Obróciła go, potknęła się o chodnik i klekocząc kółkami popchała w kierunku klatki schodowej: i wind. Tuż obok przemknęła jej ponura twarz, zaklęła nawet j pod nosem: - Cholera, znowu ten pieprzony liftserwis szlag trafił!

Rano opowiedział o wszystkim Koniecznemu. Ten i wściekł się tylko.

- Mówiłem: nie włącz, gdzie nie trzeba, nie interesuj j się. Chyba, że chcesz dostać fioła. Myśl o sobie, nikt nie będzie razem z tobą przeżywał tego, co cię czeka, to twoja mała, prywatna Golgota! - zrzedził pomiędzy jednym a drugim łykiem mleka, którego codziennie wypijał chyba z pół wiadra.

Irek nie chciał dłużej słuchać, wyszedł i zajrzał do] dwójki. To, co widział wczoraj, nie było złudzeniem. Cmon rzeczywiście powrócił do świadomości. Miał otwarte oczy,] rozglądał się uważnie, sam przetarł sobie twarz kosmetyczną chusteczką i z przyjemnością wdychał mocny zapach wody kolońskiej.

- Co? - odruchowo zapytał Irek od progu. Ten prosty zaimek wypowiedziany na Oddziale O-L niósł ze sobą o wiele więcej treści niż w zwykłym języku: poczucie wspólnoty, nieudawaną troskę, braterskie zrozumienie poparte podobnym doświadczeniem losu.

Odpowiedziało mu obojętne „hm” i głośne przełknięcie śliny, a zaraz potem jasne stwierdzenie:

- Ale w gównu wdepnąłem.

- Coś nie tak? Jakąś przekrętkę zrobili? Nie chciałeś j tu przyjść?

- Nie to... Wyszło nie tak, jak sobie ułożyłem.

Cmon zaczął opowiadać. Miał chyba ogromną potrzebę mówienia, Irek zauważył, że wręcz spragniony jest słuchaczy i łapczywie wyżywa się w budowaniu każdego zdania. I choć to dawne dzieje, to nadal widać u niego było cechy typowe dla ludzi budzących zainteresowanie,

rozpieszczanych popularnością- mówił przede wszystkim o sobie, przywiązywał wielką wagę do własnych sądów, nie pozwalał Irkowi wchodzić w słowo i raczej nie zwracał uwagi na to, co on z kolei mógłby mieć do powiedzenia.

- Od trzynastu lat żyłem zupełnie samotnie - zwierzał się. - Kupiłem mieszkanie w oficynie starej kamienicy przy Warmińskiej i urządziłem sobie azyl. Nikomu nie dałem adresu, żonom, dzieciom, wnukom, prawnukom, zdobyłem pozwolenie na niejawnym modom, a nazwisko dzisiaj najłatwiej zmienić, zmieniałem zresztą co parę miesięcy, jak mi tylko do głowy przyszło. Na początku było wybornie. Nie wychodziłem, ściągałem filmy, odpoczywałem na tarasie za lustrzanymi szybami, zamawiałem najlepsze potrawy i wymyślne wina, komponowałem trochę, nawet sprzedałem kilka numerów. Potem zaczęły się napady tęsknoty, poczucia całkowitego bezsensu. Pewnego dnia uświadomiłem sobie, że nie miałbym już z kim rozmawiać, wszyscy koledzy, współpracownicy, dalsi znajomi już tego... - pokazał wymowny znak na gardle. - Sam też byłem umarły dla rodziny, z którą zerwałem perfidnie i bezceremonialnie. To straszne, błąkać się tak między czterema ścianami i mieć świadomość, że nikogo, absolutnie nikogo na tym wielkim, przygniatającym świecie nie zna się osobiście. Kiedyś śpiewałem taką piosenkę, *Cyryl*, może pamiętasz, bo to był hicior, a na dodatek afera, bo niektóre gazety odsądzały mnie od czci i wiary za nihilizm. Taki refren:

*Giń młodo, giń,  
bo jak nie,  
to zginiesz,  
zginiesz we mgle!*

- zaśpiewał, stukając do taktu łyżeczką od herbaty o poręcz łóżka. - Nucilem tak sobie pod nosem i wiedziałem, że miałem rację, chociaż pisałem to jako gówniarz. Potem zaczęły się dolegliwości, bóle głowy, wymioty, z trudem wstawałem. Leżałem w domu dniem i nocą, pielęgniarki przychodziły i znikaly jak fantomy, okno, w które się wgapiałem, czerniało, bladło, jaśniało i znowu przechodziło w czerń, a ja znieść nie mogłem monotonii upływu czasu i własnej bezwoli. Znalazłem kontakt z Wszechwłogą i zgłosiłem się tutaj. Czulem się trochę lepiej, zamknąłem mieszkanie, wezwałem taksówkę, przyjechałem do szpitala. Zrobiłem to z pustki, z nudów, ze strachu i z niecierpliwości. I nagle, już po wszystkich formalnościach - słabo, ciemno przed oczami, wylew. Jak na złość. No i jestem przykuty do łóżka. Przedtem, przyznam się, myślałem, że może tylko trochę pozartuję z kostuchą, Wszechwłogą zapewniał, że w każdej chwili mogę zrezygnować. Ale teraz... - smętnie spojrzął po sobie.

Cmon lubił towarzystwo, zainteresowanie swoją osobą przyjmował jako rodzaj należnego

hołdu, składanego po latach nieobecności wśród fanów. Atmosfera Oddziału O-L bardzo mu odpowiadała, bo tu, w przeciwieństwie do normalnego świata, pamiętano o nim, chwalono i podziwiano. Irek, Konieczny i Starościak często wieczorami odwiedzali dwójkę, czyniąc to dla satysfakcji bliskiego obcowania z kimś, kogo wielkość należała także do ich życia, a także po trosze ze snobizmu. Majami, nie odstępująca pacjenta na krok, podnosiła wtedy oparcie łóżka, a Cmon opowiadał.

Najczęściej słuchali w milczeniu, szukając w opowieściach Cmona własnego cienia. Kto by przepuścił taką okazję zapomnienia o miejscu i okolicznościach?

## Opowieść Cmona

- Urodziłem się w Giżycku. Najpiękniejsze miejsce na Ziemi. Ktoś, kto się nie urodził na Mazurach, tak naprawdę nigdy się nie urodził. Wszystkim zawsze tak gadałem. Gdyby mi przyszło żyć jeszcze raz, za diabła bym stamtąd nie wyjeżdżał. Każdy przy zdrowych zmysłach walnie się teraz w czoło, ale to był najfatalniejszy błąd mojego życia. Umarłbym szczęśliwy. Lepiej wcześniej umierać szczęśliwym niż długo żyć byle jak i odnosić pyrrusowe zwycięstwa.

Ojciec był kapitanem, później majorem, zawiadywał piekarnią wojskową oraz magazynem mąki i kartofli. Matka spokojnie spijała kawki w jakimś biurze, Wydziale Inwestycji czy podobnym cholerstwie. Dni płynęły powoli, zawsze takie same, jak równo odrąbane kawały ciągnącego się ciasta. Kto by wtedy pomyślał, że w ogóle mogą mieć jakikolwiek smak? Nieważne, czy rok sześćdziesiąty pierwszy, czy sześćdziesiąty siódmy. *Taki jakiś nie taki ten byt* - śpiewał pan Przybora. Nic się nie działo, a jeśli nawet się działo, to gazety, radio i jedyny kanał telewizyjny robiły wszystko, aby nikt o tym nie wiedział. Ludzie tak naprawdę polubili tę nudę, udomowili, uznali za swoją, choć po kątach szydzili z chuderlawego przywódcy w okularach, które wyglądały jak doklejone brwi, wyśmiewali jego tasiemcowe przemówienia, wielogodzinne wystękiwanie całych kolumn danych o produkcji saletry, gumiaków i surówki żelaza.

Cmon podniósł głowę, zatkał nos i wymamlał dyszkantem:

- Czterdzieści trzy koma jeden, siedemdziesiąt dziewięć koma dwadzieścia sześć, sześćdziesiąt dwa koma siedemnaście! - Opadł zaraz na poduszkę, dyszał zmęczony, ale mówił dalej: - Miałem też młodszego brata. Został sędzią. Zginął dwanaście lat temu w katastrofie budowlanej. Pojechał do Gorzowa Wielkopolskiego, do chorego szwagra i płyta sprasowała ich obu na tekturę. Jedyny gwałtowny przypadek naszych dziejów rodzinnych. Rzekomo zawiódł program symulacyjny, zagrożenia błędnie zweryfikowano - takie otrzymałem urzędowe orzeczenie.

Starym powodziło się nieźle. Musieli być, jak na tamte czasy, dosyć zaradni i dobrze żyć z

innymi. Pierwszy obraz, jaki pamiętam, to klitka w hotelu garnizonowym. Bordowy tapczan, zajmujący połowę powierzchni, pod oknem staroświecka maszyna do szycia „Singer”, dalej łóżeczko brata i moja kozetka. Ja przy maszynie, przy jej bocznym blacie bawię się samochodem, strażą pożarną na specjalne, wyjące koło zamachowe, nagle matka wbiega z krzykiem, łapie w ostatniej chwili Wiesia, który przełazi przez barierkę i właśnie leciał głową w dół, prosto do żelaznego, poniemieckiego nocnika. Potem ojciec dostał duże, porządne mieszkanie - drugie piętro, balkon, woń schnącego tynku piaskowej barwy, sam środek miasta, choć trochę dalej od głównej ulicy, Warszawskiej. Kupili nowe meble w solidnym odcieniu „ciemny orzech” - okrągły stół, królujący na środku największego pokoju, trzydrzwiową szafę, potężną jak bastion, ciężki, oszklony kredens z wystawą kryształowych kielichów, karafek i pater. W naszym, moim i brata, pokoju po prostu aż zionęło nowoczesnością. Pamiętam pstrokate

zasłony, rozkładane biurko do odrabiania lekcji, jasną biblioteczkę na ukośnych nóżkach i z rozsuwanymi drzwiczkami, dalej dziwaczny, trójkątny stolik na takich samych nóżkach, czarno lakierowanych. Gdy przyszły lata siedemdziesiąte, wyrzucili to wszystko i zastąpili szykownymi meblóściankami na wysoki połysk, załatwionymi dzięki niewidocznym, acz mocnym niciom wzajemnych zobowiązań między matką, kierowniczką sklepu i dyrektorem Wydziału Handlu i Usług. Tuż przy radzieckim kolorowym telewizorze „Elektron”, o którym mówiono, że z powodu masy potrzebna do niego podmurówka, zaraz pod makiętą czołgu T55 z lufą wymierzoną na zachód ojciec dumnie ustawił obok siebie *Luny w Bieszczadach* Jana Gerharda i *Ulissesa* Joyce’a. Sens świata widział w logice i w porządku, więc zasada kolejności alfabetycznej była dla niego najświętszym prawem.

Zawsze też mieliśmy samochód, początkowo jedyny na podwórku, pieczołowicie przechowywany w garażu z falistej blachy, samotnie sterczącym obok trzepaka. Majaczą mi dwie, jedna po drugiej, używane syreny - nietoperze z drzwiami otwieranymi od przodu, kompletne truposze, pod którymi stary nieustannie leżał albo bluzgał i sprowadzał mechaników z koszar, a każdy wyjazd nieodmiennie kończył się ściąganiem na sznurku przez wojskowego ZISa. Później auta były coraz lepsze - nowa syrena 103, nowa skoda 1000 MB i wreszcie - za czasów Gierka - obiekt zawiści całej okolicy, duży fiat w najmodniejszym, zapierającym dech odcieniu „bahama yellow”, z pokrowcami - imitacją tygrysięj skóry; fantastyczny odrzut z eksportu do Francji, zdobywany uporczywie przez okrągły rok dzięki poruszeniu sprężyn sięgających rzekomo aż Głównego Zarządu Politycznego Ludowego Wojska Polskiego, o czym zresztą wtedy nawet nie wiedziałem. Dziwiło mnie tylko, że stary nagle zaczął jeździć na ryby z jakimiś czerstwymi facetami z Warszawy, chociaż nigdy dotąd ryb nie łapał, i parę razy przyszedł mocno nawalony, co mu się też raczej nie zdarzało. Ganialiśmy tym cudem na wczasy - pustymi szosami do Szklarskiej Poręby, Dziwnowa, Kołobrzegu, także do naszego letniego domku nad Kisajnem koło zatoki Tracz,

który ojciec postawił tak zwanym gospodarczym sposobem, czyli w ramach zajęć żołnierzy z jednostki.

Wszyscy znali Giżycko latem. Pociąg pędził łukiem po brzegu Niegocina, na prawo zamglony błękit i żagle, na lewo zmęczona upałem zieleń. Z wiaduktu nad kanałem widać przystań, białe, stłoczone maszty jachtów, cały gąszcz. Zawsze kiedy wracałem, najpierw od wuja z Olsztyna, potem z Bydgoszczy, ze studiów, chwyciło mnie za gardło pełne podniecenia oczekiwanie, jakbym przyjeżdżał pierwszy raz, jakby zaraz miało się wydarzyć nie wiadomo co. Wreszcie stacja, gdzie jezioro prawie że podchodzi pod tory. Z wagonów wygrzebują się postacie obciążone plecakami, worami namiotów; drewniaki stukają, dźwięczy potrącone pudło gitary. Prostują kości, leniwie powłóczą nogami wśród peronów samotne pary, grupki, stadka; długowłosi faceci w kurtkach khaki, dziewczyny w blue. Znikali gdzieś zwyczajni ludzie - może zapadali w sen letni? Tłum na przystani, w porcie, tłum na ulicach: wakacyjni hippiesi, podstarzali żeglarze, dyskotekowe kurewki i opalone studentki, szukające w bryzie znad jezior lekarstwa na egzystencjalne problemy, o których mówiły między sobą z poważnymi minami doświadczonych kobiet. Samochody z Katowic, Warszawy, Łodzi i zza granicy - wartburg! i trabanty ze znakiem DDR, także nieliczne, miękko sunące ople i fordys taunusy z budzącym respekt „D” w owalnym polu. Pan Kunciewicz, ostatni cymbalista PRLu, rozkładał swój autentyczny strunowy instrument. Ostatnie miejsce we Wschodniej Europie, gdzie za kilka złotych, za piwo, jeśli akurat dowieźli, albo talerz flaków ze smażalni naprzeciwko można było usłyszeć biegle wydzwonione młoteczkami *Bože, caria chrani*. Znaćcie mój *Park lodowy* z płyty *Heli or Me*? Nie znacie? Właśnie robię tam podobny numer, też na prawdziwych cymbałach, nie na żadnym pieprzonym elektrycznym samograj... Wieczorem tłok na molo, rejwach i brak miejsc w ponemieckim bunkrze przerobionym na knajpę „Grota”, gdzie pito sprowadzone cudem jakimś do Giżycka białe czeskie wino. Kiedy przed północą zsiłszy już do domu z moim przyjacielem Grzegorzem, który wiele lat później zaginął bez wieści w Paryżu, albo z moim drugim przyjacielem, Wojtkiem, który wiele lat później został dziennikarzem, a potem wyjechał, podobnie jak ja, otaczały nas przyciszone głosy, szelesty i tajemnicze pomarańczowe świetliki papierosów. Ktoś grał na gitarze *Lady in Black*, ktoś patrzył w gwiazdy, co wcale nie jest zajęciem ani durnym, ani pretensjonalnym, nawet gdy dawno już się nie ma siedemnastu lat. Szukano się, nawoływano, rozpalano ogniska, których płomień powtarzała ciemna woda. Byłem pełen zazdrości, rozczarowań, podrażnionej dumy. Byłem pełen nienawiści do samego siebie, przerażony oglądałem się w lustrze - mały, szeroki, z odstającym tyłkiem i trójkątną gębą, kostropatą od trądziku. Na mnie nikt nie czekał w mroku, nie ścisnął za rękę, nie pachniał i nie muskał włosami, nie chciał, żebym został dłużej. Im więcej ludzi widziałem na plaży, w dyskotekach, w letnich ogródkach i barach, im piękniejsze dziewczyny obojętnie spoglądały z żaglówek płynących pod zwodzonym mostem na ulicy Moniuszki, tym bardziej czułem się w moim

mieście śmieszny, samotny, poniżony. Ciężko przeżywałem młodość, była jednym węzłem niepokoju, niespełnienia i tęsknoty.

Jesienią Giżycko pustoszało. Jeszcze tylko studenckie imprezy żeglarskie we wrześniu - ostatnie podrygi lata, i już, już nadchodziło to, co nieuchronne. Wielkie kłody obwieszały pomieszczenia przystani i portu, handlarze zwijali stragany, zabijano gwoździami budki. Wiatr od Niegocina spłukiwał z powietrza smród smażonych ryb, zastępował go błotną wilgocią i zgnilizną opadłych liści. W mieście spotykałem tylko same znajome twarze. Znowu pojawiali się, przebudzeni z letniego snu, zwyczajni ludzie; zakatarzeni, z teczkami i siatkami, biegający po pustych sklepach, aby zaspokoić przyziemne potrzeby.

Codziennie rano wlokłem się półprzytomny do czerwonego gmachu liceum przy alei 1. Maja, po drodze, za pawilonem warzywniczym wypalałem philip morrissa z plastikowej paczki, dla szpanu kupowanej za bony w peweksie. Uczyłem się kiepsko, byłem tępy i roztrzepany, z matematyki, z fizy w ogóle niczego nie kapowałem. Nauczyciele stawiali mi tróje z minusem, żeby nie robić przykrości ojcu i polonistce. Polski to co innego. Znałem na pamięć Wojaczka, czytałem Iredyńskiego, Głowackiego, Pastuszka, pani w kiosku koło dworca zawsze trzymała dla mnie pod ladą „Nowy Wyraz”. Najlepsze były jednak przerwy. Albo paliliśmy papierosy w kiblu, albo gapiliśmy się na dziewczyny z innych klas, co o wiele bardziej wolałem robić. Spacerowały korytarzem po dwie, po trzy, rozmawiały lekko i cicho, nie zwracały na nas uwagi, a jeśli już, to patrzyły szklanym, niewidzącym wzrokiem. Można się było tylko domyślać intrygujących kształtów pod długimi spódnicami, bo, niestety, pierwsza fala mody mini zanikła długo przedtem, można było marzyć o dotyku włosów, gładkości skóry, upajać się z daleka samą ich obecnością, u napalonych kilkunastoletnich osobników powodującą drżenie ust, pocenie rąk i odruch jąkania. Dziewczyny w tym smutnym kraju były zawsze zjawami z innego świata. Ich ciuchów nie widziało się w przasných odzieżowych sklepach handlu detalicznego, zapachów nie kupiło się w żadnej państwowej perfumerii, ich zgrabne postacie przypominały wycinanki, które jakiś wariat wkleił nie do tego, co trzeba, albumu. Halina, Gośka, Ewa, Bogusia Pawłowska, już nie pamiętam... W ogóle nigdy chyba nie było tak pięknych kobiet, jak w latach siedemdziesiątych. Miękkich, urokliwie zamkniętych w sobie, otoczonych mgiełką niedopowiedzeń. Ich stroje podkreślały, a nie deformowały, makijaż odkrywał nieznanne, a nie nakładał maski. Kiedy dziesięć, dwadzieścia lat potem musiałem patrzeć na ordynarne, potatuowane babska, tyse szantrapy, kanciaste w ruchach i rzucające miechem jak wozak od węgla, miałem wrażenie rajy utraconego i potoków gnoju zalewających Matkę - Ziemię. A one wydawały się nam mądre i delikatne, i przy tym chłodne, nieprzystępne, świadome odwiecznych kobiecych tajemnic, mające zawsze w zapasie nieskończone pokłady lekceważenia i ironii dla zaślinionego palanta, pożądliwie przestępującego z nogi na nogę. Niczego jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy. Nie wiedzieliśmy, że istnieją kruche granice, na których

kończy się obojętność, a zaczyna szaleństwo, że trzeba być wybranem, szczęśliwcem i zdobywcą w jednej osobie. Zastanawialiśmy się, jak w ogóle jest możliwe to, co oglądaliśmy z uciskiem w kroku na zamazanych zdjęciach pornograficznych, kopiowanych amatorskim powiększalnikiem z wytłuszczonego duńskiego pisemka w piwnicy u Zbycha Dygasa.

Wszystkie tak szybko wyjeżdżały. Przychodziła matura, kończyło się krótkie lato, zakurzone pociągi uwoziły je ze stacji, gdzie jezioro prawie że podchodzi pod tory, do Gdańska, Warszawy, Poznania, czasem jeszcze dalej, zupełnie daleko. Niektóre bez kompleksów zdobywały świat za pomocą jakichś niebywałych, sobie tylko znanych czarodziejskich sztuczek, zupełnie niemieszczących się w głowie człowiekowi utopionemu w tamtej rzeczywistości. Pewnego razu, kiedy już sam załapałem się na swoje nieszczęsne studia, spotkałem tuż przed Bożym Narodzeniem Jagodę Czerpień, w szkole poważną olimpijkę z kilku przedmiotów, ciemnowłosą, dystygowaną, tonem głosu i brązowymi iskierkami spod zmrużonych powiek wprawiającą w zmieszanie nawet szurniętego Bambusa od bioli.

- Cześć, co u ciebie? Co robisz? - pytała z posągowym uśmiechem.

- Ja? Studiuję - podniosłem na potwierdzenie torbę wypchaną brudnymi koszulami, bo akurat przyjechałem do domu i siedłem z dworca.

- Gdzie?

- W Bydgoszczy. A ty? - W Stanfordzie.

Jesienią niebo nad Giżyckiem wyglądało jak zrobione z pakuł i waty szklanej, a słońce, jeśli czasem zaświeciło, nabierało koloru słomkowej herbaty. W ponure, wietrzne niedziele łąziliśmy z Grzegorzem i Wojtkiem po wyludnionych ulicach, gapiąc się na wystawy, ozdobione najczęściej malowanymi na żółto liśćmi ze styropianu, szukając znajomych, naiwnie wierząc, że coś się wydarzy. Jeśli tylko była

forsa, siadaliśmy w kącie kawiarni „Ekran” i ukradkiem, żeby nikt nie powiedział starym albo nie doniósł do szkoły, pociągaliśmy skręcający gębę bułgarski riesling, ewentualnie tegoż samego pochodzenia koniak „Slanczew Briag”. Nikt z nas nie pił piwa, zresztą, najczęściej go nie było, a jeżeli już, to smakowało kapustą i zgniłymi kartoflami. O żywcu i okocimiu tylko się słyszało legendy, jakie one wspaniałe, prawie jak heineken z pewexu, nie?

Nieposkromione pragnienie kobiecego towarzystwa pchało mnie w stronę koleżanek z klasy. Wieczorami przychodziłem do Anki, Bożeny, Jolki. Były nieładne i sympatyczne, uwielbiały długie rozmowy, znały się na dowcipach i dużo czytały. W ich ciepłych pokojach, pachnących świeżo upraną wełną, paliły się małe lampki albo zwieszały nastrojowe abazury, jedną ścianę zajmowały doniczki z begoniami i paprociami wetknięte w kwietniki z czarnego drutu, drugą zwykle biblioteczka, rzędy kolorowych grzbietów za szkłem. Kawa „Orient” parowała nad wrocławskich fajansów, zeszyt od matmy, pretekst wizyty, leżał nietknięty, a my siedzieliśmy do

późna i zawsze mieliśmy o czym gadać. O życiu i miłości, o Sylwii Plath i Borgesie, o nowym filmie z Dustinem Hoffmanem, o tym, co Maciek Gałązka opowiadał o RFN i co tam podobno można kupić w normalnym sklepie spożywczym. Czuliśmy już całą niedookreśloność epoki Gierka i nie wiedzieliśmy, jakie naprawdę jest to nasze życie; czy takie, jak mówiła „Wolna Europa”, czy takie, jakie nam się wydawało, że jest, kiedy latem wybiegaliśmy z domu prosto w objęcia słonecznego poranka, wskakiwaliśmy na rower albo pływaliśmy pod żaglem z łoskotem spienionej wody bijącej o burty. Warto było po tych rozmowach wracać nocą z drugiego końca miasta, gdzieś z Konopnickiej albo Jagiełły, przeskakując od jednej latarni do drugiej, z rękami w kieszeniach i postawionym kołnierzem, łapiącym wilgotny wiatr. Zauważyłem już wtedy, że największą radość sprawia mi oderwanie od świata i że tam właśnie znalazłem oazy, w których mogłem schronić się przed samym sobą. Później, kiedy tylko raz na rok przyjeżdżałem do Giżycka, ktoś opowiadał mi o tych dziewczynach. Jedna została aptekarką, druga nauczycielką, trzecia wyszła za mąż za Włocha. Widzieliśmy się nawet gdzieś, kiedyś, nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia.

Poza tym zajmowałem się lezeniem i słuchaniem muzyki. Ojciec kupił nam magnetofon ZK120, dorobiłem do niego kolumnę ze starego głośnika od radia, który oprawiłem w cztery deski, obciągnąłem kraciatą szmatą i ustawiłem na szafie. W ten sposób mogłem odsłuchiwać to, co w „Trójce” puszczała Kaczkowski i Mann, i co, ślęcząc przy odbiorniku „Fagot”, skrupulatnie nagrywałem, układając porządek dnia według czasu nadawania *Muzycznej poczty UKF*, *Mini - Maxu*, *Bielszego odcienia bluesa*. Mówię serio, zdechłbym bez hardrocka.

Wyobraźcie sobie, że wcześniej, jeszcze w podstawówce, muzyki nienawidziłem serdecznie, szczerze i ze wszystkich sił, jak najgorszego wroga. Moja wychowawczyni pod koniec pierwszej klasy powiedziała matce, że mam słuch lepszy niż inni, ładnie śpiewam, nie powinno się tego zmarnować. Matka, niewiele myśląc, zaraz we wrześniu zapisała mnie do szkoły muzycznej, stary przywiózł z Olsztyna skrzypce, a za parę dni żołnierze wtachali do mieszkania pianino, które przedtem stało w klubie garnizonowym. Od tej pory zaczęła się golgota. Codziennie po lekcjach musiałem biegać do starej willi o oknach wychodzących na tory kolejowe i na Niegocin. Tam były następne lekcje, czyli teoria i zajęcia z instrumentów, przerywane gwałtownym hałasem osobowych i pośpiesznych, mknących w stronę Ełku albo w przeciwną - w szeroki świat. Podczas gdy moi koledzy bawili się w wojsko na podwórku, strzelali z procy do słoików albo kapslami grali w *Wyścig Pokoju*, ja zapełniałem kolejne pięcioliniowe zeszyty, męczyłem się nad solfeżem, przegrywałem nudne jak żelatyna kawałki, które zadawał profesor. „Profesor” to był stary Hauptfeld z Wilna, w szkole tylko jego tak tytułowano. Gdy złapał na jakiejś omyłce, niepodciągniętej nutce, takcie nie dość dokładnie wyszlifowanym w domu, łąjał szpetnie nie tylko delikwenta, ale całą żeńską część jego rodziny, i walił smykami po uszach, aż świszczą. Trafiał bezbłędnie, mógłby świetnie grać w golfa. Po paru miesiącach zauważyłem, że najbardziej dręczył



właśnie mnie. Innym odpuszczał, machał ręką, w lepszym humorze nawet wcześniej zwalniał do domu. Ze mną siedział zawsze dłużej, niż trzeba, robił małpie miny, wściekał się i wrzeszczał, plując przy tym naokoło, bo nie miał zębów. Męki przeżywałem już na kilka godzin przed lekcją, trzęsły mi się ręce i zbierało na wymioty. Życzyłem mu nagłej śmierci, modliłem się o koniec świata albo żeby choć jeziora wystąpiły z brzegów i zalały ulice, żebym ciężko zachorował, żeby stało się cokolwiek, co by mi przeszkodziło tam iść. Później, kiedy trochę podrosłem i nieśmiało zagadywałem profesora o to czy o tamto, spostrzegłem, jak niesłychanie był zacofany. To już nie gabinet figur woskowych, nawet nie muzeum, to era proterozoiczna! Mówił: „Wszystko powiedziano do końca, wszystko napisano, dziś komponowanie to czysty absurd, trzeba tylko ćwiczyć i ćwiczyć, doskonalić, drążyć w głąb, wydobywać, jedynie tędy prowadzi właściwa droga artysty, a kto myśli inaczej, jest zwykłym kretynem i nieukiem”. Prawdziwa muzyka kończyła się dla niego gdzieś na Manierze i Brahmsie, już Ravela nazywał „bezczelnym złodziejem”, Gershwin „beztalenciem i klezmerem z cyrkowej budy”, Szymanowskiego „cwany dupkiem”, „góralczykiem ukraińskim” bądź „zasmarkanym folklorystą”. Hindemith, de Falla, Bartok w ogóle dla niego nie istnieli. Jeśli wymawiał słowo „jazz”, to tak, jakby za chwilę miał dostać ataku padaczki, a już nazwy The Rolling Stones, Pretty Things czy nasze pocziwe Tajfuny albo Czerwone Gitary nawet nie przeszłyby mu przez gardło. Musiał być rzeczywiście bardzo stary, zmarł pod koniec lat sześćdziesiątych, podobno miał za sobą wielką przeszłość artystyczną, przed wojną grał duety z Pawłem Kochańskim, rzekomo akompaniował Kiepurze, pisał muzykę do słuchowisk radiowych. Może umierał szczęśliwy, może w Giżycku znalazł to, czego ja nigdzie nie znalazłem? Nikt na dobrą sprawę nie wie, o czym myślał, nikt go naprawdę nie znał. Starsi pamiętali tylko, że zjawił się w mieście jeszcze przed końcem wojny, wysiadł z pierwszego transportu. Był zupełnie bez rodziny, zajmował niewielki pokój na strychu szkoły. Ludzie mówili, że została po nim tylko przedwojenna maszynka do kawy, skrzypce nieokreślonej marki, dwa ubrania i kilka wydawnictw nutowych. Uważałem Hauptfelda za przyczynę wszystkich swoich nieszczęść, ale póki żył, trzymał mnie w kupie, ścisnął do krwi jak hiszpański but. Buntować się naprawdę zacząłem dopiero, kiedy umarł.

Postanowiłem zatem przede wszystkim unicestwić narzędzie tortur - zniszczyć skrzypce. Gdy nikogo nie było w domu, porządnie trzasnąłem nimi o podłogę. Gryf, czyli podstrunnica, pękł, złamał się podstawek. Rycząc, opowie

działem potem matce, że ćwiczyłem przy otwartym oknie, położyłem skrzypce na chwilę na parapecie, bo zadzwonił listonosz, wiatr dmuchnął i zleciały z drugiego piętra. W niczym to jednak nie odmieniło mojej doli. Ojciec znalazł w Gdańsku zakład lutniczy, a ponieważ naprawa wlokła się i wlokła, pożyczyci mi ze szkoły inny, gorszy instrument. Wkrótce znowu spędzałem popołudnia, tępo ciągnąc po strunach pod okiem nowej nauczycielki, choć młodej, to brzydkiej i sfrustrowanej;

nie pamiętam już, jak się nazywała. Postawiłem wszystko na jedną kartę i chciałem zadziałać tak, żeby mnie wyrzucili. Przystałem chodzić do szkoły. Skumplowałem się z niejakim Żemkiem i niejakim Rybakiem, uczniami klasy specjalnej. Futerał ze skrzypcami chowaliśmy do nieużywanej kolejowej budki z zardzewiałej blachy, a sami paliliśmy rozkruszone klubowe w krzakach nad jeziorem, zaraz przy stacyjnych magazynach, albo lataliśmy po odstawionych na bocznicy pustych wagonach. W takim wagonie przeżyłem pewien rodzaj inicjacji seksualnej. Nakryliśmy konduktora z konduktorką. Grube udziska okraczone wokół pleców w mundurowej kurtce, zadarte łydki, pantofle zetknięte czubkami w powietrzu niczym gotycki łuk nad przyszczatym męskim tyłkiem, stękanie i charczenie, dwie konduktorskie czapki, dwie konduktorskie torby i flaszka po jabłecznym wermucie „Wigraszek” na siedzeniu obok. Staliśmy osłupiali w drzwiach przedziału, a potem ryknęliśmy śmiechem. Gonił nas czerwony, zasapany, wyzywając ordynarnie i zapinając w biegu spodnie. Moje kolejowe przygody przerwał patrol żołnierzy, który stary specjalnie posłał, kiedy nauczycielka zawiadomiła, że nie pojawiłem się w klasie od dziesięciu dni. Dostałem wtedy solidnie po pysku, matka płakała, musiałem przysięgać i dawać uroczyste słowo honoru. Niby się uspokoiło, ale za dwa tygodnie i tak wróciłem na bocznicy. Historia powtarzała się parę razy, bicie było coraz dotkliwsze, dopóki dobry los nie przyszedł mi z pomocą. Po prostu - z blaszanej budki zginęły skrzypce, ktoś przyfilował, zwinął je i znikł w sieni dali. Nie pamiętam, ile awantur, ile ciosów mnie to kosztowało, jak długo trwały rodzinne debaty; najważniejsze, że zdecydowali ostatecznie dać mi święty spokój z muzyką. Odetchnąłem, ale długo nie mogłem znieść niczego, co miało linię melodyczną, rytm i harmonię. Nawet w kościele, gdy zagrały organy, zamiast doznawać duchowego ukojenia, widziałem krzyżujące się nade mną klucze wiolinowe, brzuszki bemoli i chorągiewki ósemek. Spokojnie skończyłem siódmą klasę, ósmą, poszedłem do liceum. Nigdy więcej nie zaglądałem na bocznicy, unikałem nawet chodzenia w tamtą stronę.

W drugiej klasie liceum wybuchła purplemania. Wszyscy wrywali sobie z rąk pocztówki dźwiękowe z *Pijawką*, mdleli przy ekstatycznym krzyku Gillana. Mówili z wypiekami, że jeszcze nikt nigdy nie zagrał niczego tak obłędnego i mocnego (nie istniało słowo „odlotowy”!), czatowali przy radiu z magnetofonami, bo posiadanie prawdziwej, przywiezionej „stamtąd” płyty Deep Purple było wtedy cudem większym niż odkrycie życia w kosmosie. Trzeci Program powoli sączył nagrania - a to *Oko demona*, a to *Into the Fire*, *Child in Time*, *Highway Star*. Jakieś pismo, bodajże „ITD.”, wydrukowało zdjęcie grupy, wiadomość rozeszła się błyskawicznie, za piętnaście minut w żadnym kiosku nie było już ani jednego numeru. Na przerwach z nabożeństwem oglądano potem niewyraźne obrazki, przedstawiające pięciu długowłosych facetów w cylindrach, dyskutowano o dzikich gitarowych solówkach Blackmore’a, nawet o poszczególnych uderzeniach w bębny Paice’a. Nie dawałem się w to wciągać, uciekałem od tych ludzi, dźwięków, grania, wyrazów i określeń, które się z nimi wiązały. W dalszym ciągu nienawidziłem z pełnym przekonaniem. Ale i na mnie

przyszła pora. Kiedyś Wojtek, ten, co później został dziennikarzem i wyjechał, tak samo jak ja, zapominając widocznie o moim obrzydzeniu, puścił mi *Fools*, wiecie, z *Fireballa*. To było jak amok, jak kwas, jak torpeda. Wahałem się, broniłem, jednak nic dotąd w muzyce nie zrobiło na mnie takiego wrażenia, żadna inna kompozycja, żadna harmoniczna konstrukcja nie potrafiła wtargnąć do środka tak głęboko, rozplątać się wzdłuż kości, sprowadzić pełen sprzeczności stan, w którym roznamiętnienie graniczyło z pewnością siebie i poczuciem mocy. Najpierw lejące się, rozmodlone organy, a potem ten potężny gitarowy *riff* - nagły wystrzał przy uchu, zrywający na równe nogi, aż do bólu świdrujący szczęki, i głos Gillana, ostentacyjny, pełen wściekłości i patosu, jakby śpiewał ostatnią pieśń ostatniego człowieka. Wreszcie wiolonczela grająca we mgle, snująca melodię ponurą jak ciemne opary; po uniesieniu i szaleństwie wzbierała gdzieś w środku rzeka skrywanych przed ludźmi łez, wypelzał na twarz grymas tkliwości, żalu nad sobą. Słuchałem tego kawałka trzydzieści, czterdzieści lat później i śmiałem się w kułak, ale wtedy naprawdę tak myślałem i czułem.

Od tej pory wchodziłem w muzykę coraz głębiej, musiałem przeżywać ją bardzo intensywnie, nazwy grup, nazwiska instrumentalistów zapisywały się w pamięci same, bez mojego udziału. Rock zaczął zastępować mi ojca i matkę, dziewczynę i przyjaciela, religię i Pana Boga. Dostawałem bańki w szkole, Magda, Gośka i Grażyna z 111 B kolejno szydziły z moich zalotów, widziałem śledzące mnie widmo śmierci, nie dawały mi wytchnienia przecucia najokropniejszych klęsk, jakie tylko może wypowiedzieć wyobraźnia siedemnastolatka. Wystarczyło jednak zamknąć drzwi, przekręcić srebrną gałkę ZK120, który akurat dostałem, i już Ian Gillan, Gary Brooker, Justin Hayward, Greg Lake odwozili do krain, gdzie nie ma matmy i fizy, poszarzałych z beznadziejności poranków, tłumków przytupujących w śniegowym błocie pod sklepami mięsnymi i akademii ku czci Rewolucji Październikowej. Zauważyłem, że nie tylko ja kocham tę muzykę, ale ona kocha mnie również. Wszystkie moje wątpliwości zostały rozstrzygnięte, wszystkie pytania znajdowały odpowiedź, lęki uspokojenie. Zapelniałem coraz to nowe szpule taśm i miałem tylko jedno pragnienie: słuchać, słuchać i słuchać z zamkniętymi oczami. Mocne, soczyste brzmienia Deep Purple, Wishbone Ash, Budgie, Jethro Tuli, łoskot bębnow, skowyt gitar, tony klawiszy i fletów były jak miękkie maty, jak grube pokrowce chroniące mnie przed kaleczeniem się o pełne zadziórów krawędzie rzeczywistości. Byliśmy dziećmi dziwnej kultury, niewiele rozumiejącymi, a pewnymi siebie. Liczyły się tylko hardrockowe klimaty. Numery Beatlesów uważaliśmy wtedy za ugrzecznioną muzyczkę dla życiowych oportunistów, Stonesi cuchnęli nam komercją i starzyzną. Doorsów słuchałem ze zdartego longplaya u kumpla, Maćka Gałązki, zażenowany staroświeckim brzmieniem, podobnym do dancinowego ansamblu z hotelu „Wodnik”, którego popisy głuchym dudnieniem rozchodziły się w sobotnie noce po uśpionym mieście. Żyliśmy swoją muzyką na przekór światu, garnącemu się już do wielkich dyskotek, karaibskich rytmów, fryzur błyszczących

od brylantyny, do szaleńczej zabawy i objęć nadbiegającego tanecznym krokiem Johna Travolty.

Jednego razu ot, tak sobie otworzyłem pianino, którego ojciec, mimo mojej dawno zakończonej edukacji muzycznej, wcale nie miał zamiaru zwracać do koszar, i zacząłem wystukiwać jeden z utworów. Nie sprawiło mi to żadnych trudności, chociaż instrument nie stroił, no i przez ostatnie cztery lata ani razu przecież nie siedziałem za klawiaturą. Szło jak z płatka, akordy same układały się w rękach, tak że po chwili grałem już całego *Aqualunga*, a po kwadransie improwizowałem i dorabiałem rock'n'rollowe wstawki. Z łatwością, ze słuchu, przegrywałem sobie wszystkie uwielbiane numery. Mogłem je grać z zamkniętymi oczami, od przodu i od tyłu. Hauptfeld miał rację. Kompozycyjnie były do znudzenia proste, wydawało mi się, że nie wymagały żadnych umiejętności, może tylko trochę wprawy, charyzmę załatwiało im rajcujące brzmienie, ekspresja rytmu, na pewno osobowości muzyków, wokaliści. Kiedyś jeden kumpel, biwakowy gitarzysta o ksywie „Clapton”, usiłował pojechać *Everything's Coming Our Way* Santany. Znany hicior... Biedził się, stroił, kręcił kluczami. Wyszarpował, zdzierając paznokcie, trzy pierwsze takty, i kaszana, i z powrotem... Nigdy dotąd nie miałem gitary w ręku, naprawdę. Wziąłem od niego, ułożyłem palce, pokombinowałem przy strunach i po prostu zagrałem. W innej tonacji, wolniej, ale całość. Rozdziawił gębę:

„To ty umiesz klasycznie? Uczysz się i nic nie mówisz? Gdzie? U kogo?”

Wróciłem zatem jak syn marnotrawny, chociaż może nie do tych ojców, jakich życzyłby sobie stary Hauptfeld. Nie marzyłem jednak o karierze gwiazdy, nawet nie myślałem o występach przed ludźmi. Muzyka była moją osobistą sprawą, do której niechętnie dopuszczałem postronne osoby.

Nie bez oporów, ale wydebiłem od ojca pieniądze na gitarę, w domu znalazła się też czeska elektryczna jolana, figurująca na wyposażeniu żołnierskiego zespołu wokalnoinstrumentalnego Szariki. Przez jakiś czas w ogóle nie wychodziłem wieczorami, przestałem zaglądać nawet do Anki, Bożeny i Jolki, po szkole zamykałem drzwi od pokoju, grałem, ścigałem dźwięki, układałem je i rozrzucałem jak puzzle, w przerwach pakowałem w siebie potężne dawki muzyki z magnetofonu.

Zachciało mi się także pograć z innymi. Nie miałem za bardzo z kim, bo tylko jeden mój bliższy kolega coś niecoś pobzdąkiwał, ale zaczął i skończył na etapie *Gdybyś kochał, hej* Breakoutów. Byli w Giżycku starsi parę lat ode mnie domorośli rockmani w wytartych, wraglerowskich kurtkach i z piórami do połowy pleców, wszyscy jak Dave Gilmour w filmie *Pink Floyd Live at Pompei*, zgrabni, szczupli, zgarniający najbardziej zyleciaste dziewczyny, „many”, jak się czasem na takie mówiło po gitowsku. Jeździli ze swoimi zespołami z jednego wojewódzkiego przeglądu na drugi, uświetniali imprezy w domu kultury i festyny na pierwszego maja. Ktoś zaprowadził mnie do jakiejś świetlicy zakładowej, gdzie mieli próby. Zagrałem z zaschniętym gardłem dwa czy trzy kawałki. Zobaczyli, że nic sobie nie robię ze *Zmian* Hendrixa, że

dla jaj mogę zasuwać *Smoke on the Water* jazzowo, figuracyjnie i kwintami, popatrzyli na mój granatowy sweterek, na pospolite czarne półbuty, spodnie zaprasowane w kant, a następnie poradzili, żebym lepiej pomyślał o maturze, bo jeszcze opieprzę i będę miał kłopoty z załapaniem się na trepa do szkoły oficerskiej. Prawie się wtedy rozplakałem, przez parę tygodni nie mogłem rzucić tego upokorzenia. Nawet po miesiącu, po roku, widząc mnie w sklepie albo gdziekolwiek, jeden i drugi szeptali coś do ucha swoim odstrzelonym laskom i parskali razem głośnym rechotem. Rozumiesz - małe miasto. Musiałem chyba być dobry, więc nie mogli się pogodzić, że istnieję. Nie darowałem. Jakies dwadzieścia lat później występowałem latem w Giżycku, miałem dwa koncerty w amfiteatrze, zbudowanym na kształt żaglowca koło portu nad Niegocinem, i dwa razy przed całą publicznością wyśmiałem i zwyzywałem ich obu po nazwiskach. Czekałem, że może przyjdą skuć mi mordę. Na taką ewentualność kazałem ochronie nie wpuszczać ich, tylko dać do łapy po pięćdziesiąt złotych tytułem rekompensaty za obrazę. Nie przyszli.

Maturę rzeczywiście zdałem z wielkim trudem. Pamiętam upał, pot, ciemne garnitury i białe bluzki, zalane słońcem sale z rzędami stolików, potem kontrast: deszczowy, wietrzny poranek-rozdawanie świadectw. Przeszło kilka tygodni - i egzaminy wstępne. Toruń, akademik, całonocne balangi, dziki harmider kandydatów upojonych pierwszym alkoholem i pierwszą wolnością. Tutaj, na piętrowym łóżku, nareszcie udało mi się przespać z dziewczyną, małą, perkatą Beatką z Wąbrzeźna. Nie był to, oględnie rzecz ujmując, szczególny triumf mojej wytęsknionej męskości. Beatka, zobaczywszy rano mnie, krajobraz po imprezie, chrapiącego Wążona, zajmującego górne posłanie, czym prędzej zwinęła pod pachę ciuchy, uciekła w samych majtkach i nie pojawiła się więcej. Zdawaliśmy z Grzegorzem na polonistykę. Ja odpadłem zaraz po pisemnych, Grzegorz dostał się jako trzeci na liście.

Jesienią nadeszła w Giżycku pora pożegnań. Pod koniec września biegnącymi w stronę dworca ulicami, na których już szeleściły pierwsze zwiędłe liście, kolejno odprowadzałem moich przyjaciół. Anka i Bożena jechały do Gdańska, Jolka aż do Wrocławia, Grzegorz do Torunia, Wojtek do Warszawy. Peron pustoszał, dwa czerwone światełka rozmazywały się we mgle prędko zapadającego wieczoru. Odjeżdżali w szary tuman życia, do głupiego świata, przewracać jałową ziemię dorosłości. I nie wrócili już nigdy.

Tamtej zimy sypnęło obficie niż zwykle, mimo że nie była to jeszcze przesławna zima stulecia. Giżycko leżało pod śniegiem skulone jak chory pies, noce były bezksiężycowe, dni przygnębiające i mroczne, nawet w południe nie gasiło się światła. Ojciec, o dziwo, uchronił mnie od wojska, chociaż zaraz po przyjsciu zawiadomienia o oblaniu egzaminów wrzeszczał, że za jego sprawą znajdę się w Orzyszu, w karnej jednostce, najodpowiedniejszym miejscu dla takich oblojd, lujów i cabanów. Załatwił mi pracę w szpitalu, śmieszłą jedną ósmą etatu, parę godzin tygodniowo, w czasie których nosiłem worki z pościelą albo spałem na zapleczu kuchni. Nie miałem już

znajomych, z nikim się nie spotykałem, nie wychodziłem prawie z domu. Brat szastał się wściekle, kiedy w ciemne poranki on musiał iść do budy, a ja rozkosznie przewracałem się na drugi bok. Wstawałem późno, całe dni spędzałem na słuchaniu i graniu, wtedy także zacząłem pisać własne rzeczy. Mój stosunek do nich był więcej niż podejrzliwy. Przede wszystkim - przychodziły bardzo łatwo, za łatwo. Czytałem gdzieś o mękach twórczych artystów. Ja takich nie miałem. Wystarczyło nagle skojarzenie trzech, czterech dźwiękowi całość układała się według własnej logiki. Zapisywałem to, ogrywałem, wymyślałem instrumentację, wyobrażałem sobie, jak by zabrzmiało. Zrobiłem tamtej zimy ponad pięćdziesiąt numerów. Rozumiesz? Pięćdziesiąt numerów! Nie miałem ich komu pokazać, bałem się, że są nic niewarte. Sięgałem potem do nich całe życie, moje największe hity, na przykład *Cyryl*, *Nie zginę*, *Otwórz, to ja, noc*, właśnie wtedy powstały. Wieczorami, z pustą i parującą głową, po której jeszcze pałętały się bezładnie świeże motywy i frazy, urządziłem sobie dalekie spacer, najczęściej w okolice ulic Konopnickiej albo Jagiełły. Długo brnąłem przez ciche, głuche, zaśnieżone miasto, bez ludzi i samochodów, po to by spojrzeć w ciemne okna pokoi Jolki i Bożeny, a potem odejść, zniknąć w białych płatkach, wirujących pod nielicznymi latarniami, których nie wyłączono dla oszczędności.

Wysublimowany, wirtuozerski rock zaczął wyraźnie wkraczać w fazę zwyrodnienia. Rozdęte kompozycje Yes i Genesis, choć szczególnie zachwalali je ulubieni radiowi prezenterzy, nużyły mnie, irytowały tępym formalizmem, raziły uczuciową pustką. Nie umiałem także fascynować się modnym, perfekcyjnym jazzrockiem Mahavishnu Orchestra czy Herbie Hancocka. To w ogóle nie była już muzyka, to był laboratoryjny produkt, daleki od wszelkiej ludzkiej miary, oddychania, siły zadumy i nostalgii, chłodnych podmuchów zimy na policzkach. Posuwałem się zatem wstecz, słuchałem coraz starszych nagrań, szukałem tego, co niewymyślne, ale prawdziwe, choćby naiwne, dyletanckie czy nawet pretensjonalne. Zupełnie olewałem rzeczywistość, choć bolało mnie, że muszę w niej żyć. Im więcej słyszałem szeptanek o opozycji, podziemnych gazetkach, aresztowaniach SB i nielegalnych zgromadzeniach, im bardziej ironiczne felietony wygłaszał przez „Wolną Europę” Lucjan Perzanowski, którego słowa wyluskiwałem codziennie po jedenastej wieczorem z warkotu zagłuszarek, tym większych dokonywałem cudów w poszukiwaniu staroci, bo w tamtych czasach do tego trzeba było być faktycznie cudotwórcą. Kupowałem od ludzi zapomniane, zdarte składanki, przywiezione z Jugosławii, wówczas kraju-marzenia, zachwycającego powiewem Zachodu, przegrywałem single wydawane na Węgrzech, raz udało mi się pojechać do Warszawy wojskową wołgą, wysłaną po dowódcę jednostki, przylatującego z wczasów na Kubie, i cały dzień penetrowałem wzdłuż i wszerz bazar Różyckiego.

Szczególnie ruszały mnie przebrzmiałe brytyjskie kapele lat sześćdziesiątych, Herman's Hermits, The Hollies, The Troggs, dawna liverpoolska scena - Gerry and Pacemakers, Merseybeats, Searchers, dźwięczne, surowe gitary bez elektroniki, chórki, płaska, ale za to żywa perkusja,

nagrywana zwykłym mikrofonem przez przepierzenie z desek. W ogóle podniecało mnie w sztuce osiągnięcie prostych wzruszeń, do czego trzeba raczej czułości niż wyrafinowanego smaku. Dlatego słuchałem też starych kalifornijskich grup - HotTuna, Iron Butterfly, Steppenwolf. Aha, wiecie, że lider i Steppenwolf to nasz krajan? Nikt nie wie. John Kay, prawdziwe nazwisko Joachim Krauledat, urodzony w Tylży rok przed końcem wojny, w 1944, cudem uratowany. Już widzę tłum, uciekający przed Sowietami po lodzie przez Zalew Kuroński, zadymkę, trupy ludzi i koni w śniegu, matkę, ostatkiem sił dźwigającą owiniętego kocem niemowlaka; jak przystaje; i nasłuchuje, czy przyszedł gitarzysta od szaleńczych riffów w *Born To Be Wild* jeszcze oddycha. To przecież niesamowite: z Tylży do Los Angeles, z Prus Wschodnich do Kalifornii, do filmu *Easy Rider*; do hippiesowskich komun na obrzeżach pustyni Nevada. „Przyszedł na świat w Atlantydzie Północy, zamieszkał w Atlantydzie Miłości” powiedziałby jeden mój znajomy poeta.

Nigdy w życiu nie przeżyłem niczego niezwykłego, niewytłumaczalnego, ale o jednej rzeczy muszę wam opowiedzieć. Gdyby mnie kiedyś namówili na pamiętniki, koniecznie bym to opisał. Teraz za późno. Słuchając muzyki, przekładałem sobie brzmienia na kształty i kolory. Organy to były brązowe chmury, fortepian - gęste, białe krople, gitara - rozwlekłe smugi podobne do srebrnego dymu, bębny kojarzyły mi się z wielkimi szarymi plamami albo pękami iskier, gdy zagrały talerze. Wyobrażałem sobie też ludzi i krajobrazy. Kiedyś przyczepiły się do mnie na długo dwa już wtedy stare numery The Hollies, takie sobie pioseneczki z lat sześćdziesiątych - *Bus Stop* i *On a Carousel*. Leżałem przy zgaszonym świetle na swojej kozetce w Giżycku, puszczałem tę taśmę raz po razie i miałem przed oczami ciemny, mokry poranek w przemysłowej dzielnicy jakiegoś angielskiego miasta. Z domu o murach szerniałych od fabrycznych wyziewów i o trzech nadmiernie wysokich kominach, drażniących zachmurzone niebo, wychodziła dziewczyna epoki, podobna do Anity Pallenberg i Mariannę Faithfull, seksualnych bogiń młodego Jaggera. Najpierw z odrazą patrzyła w górę, potem wstrząsała jasnymi, prostymi włosami i otwierała parasol. Mijała mnie blisko, tak że nieomal czułem ruch powietrza, widziałem pojedyncze krople deszczu spływające po fałdach krótkiego, błyszczącego płaszcza, prawie słyszałem rytm, pośpiesznie wybijany obcasami lakierowanych butów, opinających zgrabne nogi aż do kolan. Jeszcze świeciły latarnie; przechodziła przez żelazny mostek nad kanałem, po drugiej stronie zbiegała ulicą do przystanku, zatrzymywała się koło skrzynki pocztowej, podobnej do czerwonej beczki. Po chwili nadjeżdżał autobus i znikala na jego tylnym pomoście. Później ten obraz pojawiał mi się nagle i nachalnie, kiedy tylko usłyszałem choć kilka taktów Holliesów, parę uderzeń w struny Nasha albo Hicksa. Rzadziej podpatrywałem ją przez okno. Wydawało mi się wtedy, że unoszę się i faluję na wysokości pierwszego piętra. Jej wieczory były krótkie, każdy taki sam. Wracala zmęczona, przynosiła sobie filiżankę herbaty z biskoptem i zastygała bez ruchu w wytartym zielonym fotelu. Przed snem krzątała się po wynajętym pokoiku, włączała żelazko albo od razu rozwieszała ubranie

na następny dzień. Chodziła wczesnie spać. Siedząc w łóżku, suszyła jeszcze włosy, czesała grzywkę, malowała paznokcie. Blask nocnej lampki wyglądał miłą, trochę pyzată buzię, plamę morelowego światła na tle nieładnej tapety w trójkąty, koła i romby. Zanim zasnęła, przerzucała od niechcienia kilka stron jakiegoś grubego, kolorowego magazynu. Czuję, że jest mi bliska, czasem podnosiła oczy znad reklamy balsamu do kąpieli „Najadę” lub najnowszej perłowej szminki Heleny Rubinstein - i patrzyła na mnie.

Z dziesięć lat później, w osiemdziesiątym szóstym, kiedy w kraju byłem już na absolutnym topie, podpisaliśmy kontrakt płytowy z angielską firmą Miracle. Warszawką aż zatrzęsło. Nie dość, że Zachód, to do tego jaki! Najprawdziwsza Anglia, porządne studio, realizatorzy - fachowcy, profesjonalna reklama, mocne wejście na rynek jako pierwszej grupy z sowieckiego bloku. Rockmeni dzwonili z gratulacjami, a za plecami opowiadali, że generał SB Jerzy Poręba to drugi mąż mojej ciotki, a Bakon, nasz basowy, obraca wnuczkę pewnego członka Biura Politycznego, tego samego, którego pan Dudko, sąsiad z Giżycka, nazywał „Smutnym Diabłem”. Ta ostatnia plotka akurat nie była do końca nieprawdziwa. Cztery popołudnia trwały negocjacje z dwoma wyluzowanymi Anglikami w barku hotelu „Victoria”, pół godziny wypełnianie pięknie drukowanych dokumentów, nieco dłużej czekanie na paszporty. Wreszcie wyjechaliśmy. Na miejscu okazało się, że cała sprawa cuchnie hucpą i siarą. Materiał mieliśmy zrobić nie w ciągu miesiąca, ale trzech tygodni, i nie w Londynie, ale w Manchesterze. Miracle nie był wcale, choć nam to wmawiano, jedną z tych modnych wtedy, małych, niezależnych wytwórni, jak 4AD, tylko prowincjonalną spółką, handlującą pocztówkami, długopisami i rozbieranymi kalendarzykami dla mocniej napalonych klientów. Ze studia, bardzo zresztą przeciętnego, ciągle musieliśmy wychodzić, bo obsługiwało też lokalną stację radiową. Szkoda gadać. Z całego skleconego w nerwach materiału wydali tylko singla, i to najwyżej jakieś trzysta sztuk. Rzecz jasna, zapłacili; po dwieście pięćdziesiąt funtów plus utrzymanie, jak przewidywał kontrakt. Później ktoś nam powiedział, że chodziło o wielki przekręt, o gruby szmal na propagowanie kultury Europy Wschodniej, który wydębili z funduszu EWG, a z nas zrobili sobie listek figowy. W każdym razie na nagrania do Manchesteru dojeżdżaliśmy codziennie autobusem z Congleton, miasteczka oddalonego o dwadzieścia kilometrów, gdzie nas umieścili w motelu, pewnie najtaniej, jak tylko było można. Autobus zjeżdżał z głównej szosy, wkręcał się w uliczki przedmiejskich dzielnic, zatrzymywał na niezliczonych przystankach.

I już za pierwszym razem zauważyłem to miejsce. Najpierw przemysłowy kanał z czarną, stojącą wodą i popękany ze starości betonowymi nabrzeżami, potem żelazny, kratownicowy most i wreszcie ten sam dom na zakręcie, brzydki, bez stylu, ale z trzema nieproporcjonalnie wysokimi kominami, nadającymi mu wygląd archaicznego parowca.

Zdębiałem. W uszach zabrzmiali mi The Hollies. Czasem, pierwszy raz chodząc po obcym



mieście, człowiek nagle, oniemiały i zdziwiony, uświadamia sobie, że kiedyś już patrzył w tę samą perspektywę ulicy, że dobrze znany mu jest jakiś mijany szczegół: cudaczny balkon, rzucająca się w oczy brama albo kształt wieży kościoła. *Déjà vu*. Ze mną było tak samo. Dwa razy na dzień wgapiłem się w kratownice mostu, w dom, jego trzy kominy oraz podnoszone, angielskie okna, lśniące bielą framug i ram; szczególnie to na piętrze, po prawej. Patrzyłem na nie rano i w drodze powrotnej, starałem się przeniknąć, zapamiętać każdy punkt tego obrazu; porównywałem. Czy tak materializowała się wyobraźnia szajbniętego młodzieńca, podniecona paroma gitarowymi akordami? Czy może muzyka zdolna jest przenosić treści, których nikt dotąd nie zauważył i dopiero ja je odkryłem? „Bzdury - uspokajalem się. - Świat, tkanka życia to tylko przypadki, zbiegi okoliczności i nic więcej. Czasem nie można ich łatwo, od razu wyjaśnić i wtedy zaraz przychodzi do głowy jakaś mistyka, niezwykłość”. Postanowiłem za wszelką cenę, choćby pod najgłupszym pretekstem dostać się do środka. Nie wiem, po co. Może chciałem się upewnić, że spraw niewytłumaczalnych i dziwnych po prostu nie ma? Chyba tak. Przy końcu pobytu, podczas kolejnej przymusowej przerwy w studiu, wyciągnąłem na piwo naszego tłumacza, syna Polaków z wojennej emigracji. Pub znajdował się niedaleko domu, po trzech kolejkach przyświrowałem trochę i wyszliśmy pooddychać świeżym powietrzem, akurat w tamtą stronę. Udawałem lekko naprutego, była wiosna, słońce przypiekało, wywijałem skórzaną kurtkę, opowiadałem kawały - pełny luz, rocker na odjeździe. Szczęście mi sprzyjało. W ogródku, tuż przy wejściu, jakiś dobrze posiwiały facet, taki Pan Musztarda w sraczkowatej kamizelce, skopywał kwietniki. Nie namyślając się, zaczepiłem go przez płot. O dziwo, wcale nie leciał dzwonić po policję, że naruszam jego prywatność. Wytarł czoło, oparł się na szpadlu, wyraźnie miał ochotę pogadać. Mój towarzysz, przerażony, odciągał mnie za rękaw, ale w końcu musiał tłumaczyć. Nawijałem, co ślina na język przyniosła, nawet głupi by nie uwierzył. Że jestem Czechem zamieszkałym na stałe w Urugwaju, że bliska przyjaciółka moich rodziców, właściwie prawie ciocia, obecnie obłożnie chora, bezdzietna wdowa, prosiła mnie, abym będąc w Anglii, zrobił jej przyjemność i sfotografował przy okazji różne miejsca związane z jej dzieciństwem i młodością, że na pewno dwadzieścia lat temu mieszkała w wynajętym pokoju przy tej ulicy, ale, pech chciał, zgubiłem na lotnisku notes z adresami i nie pamiętam, czy tu, pod numerem 12, czy dalej, pod 22. Nie wiem, co tłumacz zrobił, żeby przedstawić moje wywody w miarę sensownie, bo Angol, zamiast poszczuć mnie psem, cierpliwie słuchał i potakiwał głową ze zrozumieniem. Odpowiedział, że istotnie, najpierw jego starsza siostra, a potem on prowadzili tu kiedyś mały pensjonat, od wojny do końca lat sześćdziesiątych, kilka pokoi na górze. Potem brakowało chętnych, pokoje były wprawdzie tanie, ale niewielkie, bez wygod, nikt już nie chciał mieszkać w takich warunkach i w takiej dzielnicy. Raczej nie przypomni sobie konkretnej osoby, przez pensjonat przewinęło się wiele kobiet i mężczyzn, pojawiali się i odchodzili.

Wymyśliłem na poczekaniu jakieś głupie nazwisko, jakąś Mary Smith bodajże albo Elizabeth Brown. Oczywiście, nic mu nie mówiło. Nie miał też ksiąg, zabrała je siostra, likwidując interes.

Wtedy zacząłem opisywać moją zjawę od The Hollies. Dokładnie, klatka po klatce, tak jak wam przed chwilą,

jak na zwolnionym filmie. Z przerażeniem spostrzegłem, że marszczy brwi, że coś mu świta, że zaczyna kojarzyć.

„/ *think so* - powiedział spokojnym głosem, a pode mną aż nogi ugięły się w pałak. - Chyba pamiętam kogoś takiego, przynajmniej o podobnym wyglądzie, chociaż wszystkie białe dziewczyny tak wtedy wyglądały. Nazwiska, niestety, nie. Na pewno pracowała jako pomoc dentystyczna. Mieszkała dwa lata, może trochę mniej. Sześćdziesiąty siódmy? Ósmy? Nie wiem. Małomówna. Zamieniłem z nią wszystkiego z dziesięć słów. Porządna. Z domu do pracy, z pracy do domu, żadnych gości. Zresztą, to był pensjonat, nie burdel, to nie dzisiejsze czasy - splunął. - Pamiętam ją właściwie tylko dlatego, że wyprowadziła się nagle, bez wypowiedzenia, w środku tygodnia. Nie mówiła dokąd. Przyjechał po nią jakiś młody człowiek. A może to nie po nią? Nie wiem. Zabrała tylko ubrania, miała jeszcze wpaść po resztę rzeczy, jakieś drobiazgi. Nie przyszła, nigdy jej już nie widziałem. Ale te rzeczy leżą wciąż u mnie, proszę, może rozpoznasz i nareszcie zabierzesz, lepiej po tylu latach niż wcale”.

Ciarki przeszły mi po plecach, dość miałem tej komedii. Tłumacz spojrzał sztyletami, nie wzrokiem, a gospodarz otworzył furtkę i lekko popchnął mnie do środka. Nie wypadało się wycofywać. Po wąskich schodach weszliśmy na piętro. Od dawna nikt tam nie mieszkał. Pokoje były rzeczywiście bardzo małe, właściciele zmienili je w graciarnię. Zniszczone meble gniotły się, zwalone jedne na drugich, obok tonęły w kurzu bele starych chodników, znoszone buty, puste doniczki, talerze od różnych kompletów. Korytarz tarasowała otwarta wiekowa lodówka koloru zjeczkałego masła, ciasno wypchana starymi książkami i gazetami. Nigdzie nie widziałem tapety w trójkąty, koła i romby.

Rzeczy poskładano do dużego kartonowego pudła. Pozornie nie było w nim nic ciekawego. Motki wełny ze sprutych swetrów, blaszanka po czekoladkach, stosik spłowiałych czasopism, kłęby rajstop, wyszarzałych nylonowych bluzek, nie do rozplatania po dwudziestu latach. Ale wystarczyło, że odgarnąłem to badziewie z wierzchu i jak wam się wydaje, co znalazłem? No co? Odsloniłem wymiętą, rozdartą na grzbiecie, napuchłą od kurzu okładkę płyty The Hollies. Tak jest, w całej okazałości: The Hollies, *Would You Believe?*, 1966 rok.

Nie mówiłem nikomu. Uprosiłem też tłumacza. Porządny gościu, nie wspomniał nawet słówkiem. Anglikowi grzecznie obiecałem, że zabiorę pudło następnego dnia. Oczywiście, nigdy się nie zjawilem. Żałowałem tylko płyty. Być może kupiłbym gdzieś w Anglii jakieś nowsze

wydanie, ale chodziło przecież o ten zniszczony egzemplarz z pudła. To on był materialnym dowodem. Sam tytuł: *Would You Believe?*. Tak, tak, uwierzyłem. Przede wszystkim, że wyobraźnia jest jedyną drogą do prawdy. Nie powiem, żeby mi to wyszło na dobre.

Po tamtej ciężkiej zimie w Giżycku jeszcze raz startowałem na polonistykę. Znów Toruń, początek lipca, skwar, akademikowe balangi, tablica ogłoszeń w Collegium Maius i brak mojego nazwiska. Egzamin ponoć zdałem, ale mi punktów zabrakło. Ktoś poradził, żebym składał papiery do Bydgoszczy, miały tam być wolne miejsca na WSP, na pedagogice, a potem się zobaczy. Tak oto zostałem studentem. Ojciec nawet się ucieszył, mówił, że bardzo dobrze, bo mieści się tam siedziba okręgu wojskowego, zawsze to bezpieczniej, pewniej, a i taniej. Załatwił mi też zaraz pokój w bursie podoficerskiej i obiady w kasynie. Wyjeżdżałem z Giżycka pod

koniec września, wczesnym popołudniem słonecznego, zupełnie letniego dnia. Nie pamiętam, dlaczego nikt mnie nie odprowadzał, szedłem na stację sam, wlokąc torbę ciężką od wałówki i futerał z gitarą.

Bursa podoficerska mieściła się na terenie jednostki, w pruskim czerwonym budynku. Dali mi wysoki, nieprzytulny pokój z wąskim oknem, z którego widziałem warsztaty samochodowe i karne rzędy ciężarówek Star 266, wypełniające rozległy plac. Ojciec ugotował mnie na miękko, dostałem przepustkę, każde wyjście i powrót były odnotowywane w księdze przez dowódcę warty, każdą dłuższą nieobecność musiałem zgłaszać, raz miałem nawet wrażenie, że ktoś grzebał w moich rzeczach. Rano wskakiwałem do tramwaju, potem szybko przebiegałem przez centrum miasta - kretowisko oblażących z tynku, brudnych kamienic z powiewami zgnilizny od bram - i trwałem na niekończących się wykładach i ćwiczeniach. Nie mogło być niczego nudniejszego pod słońcem. Jedna pani docent z wyszukaną biegłością splatała tyrady zdań całkowicie niezrozumiałych bez słownika wyrazów obcych, inny pan przez dwa semestry odpowiadał na pytanie: „Kim jest człowiek?”, jeszcze inny rozstrzygał dylemat: „Czy pedagogika to nauka, czy też nie?” Nie mogłem wytrzymać, ręce mi drętwiały, stopy świerbiły, kość ogonowa bolała od siedzenia. Uspokoilem się dopiero wtedy, gdy te uczelniane tortury zacząłem traktować jako rodzaj ćwiczeń duchowych, wyrabiających opanowanie i cierpliwość. Przez pierwszych kilka miesięcy wieczory spędzałem samotnie, ludzie z roku - dziewczyny w drogich kozuchach i schludni faceci o starannie przystrzyżonych wąsikach - nie zwracali na mnie uwagi. W bursie też nic się nie działo, a raczej grube mury zatrzymywały to wszystko, co ukrywały

wnętrza pokoi. Od czasu do czasu mijałem na korytarzu smętnych osobników w zielonych podkoszulkach, z ręcznikami przewieszonymi przez ramię, kilka razy potrafiłem przypadkiem jakieś spłoszone kobitki, prędko wbiegające po schodach. Właściwie żyłem komfortowo, nikt mi nie przeszkadzał. Słuchałem radia, z nudów jadłem i ciągle robiłem sobie herbatę, trochę grałem, choć nie z takim jajem, jak jeszcze niedawno w Giżycku. Nie mogłem się skupić.

Któregoś dnia, czekając w Instytucie na zajęcia, zobaczyłem przy oknie szczególnego typu - chudy, w dwurzędowej marynarce, zwężanych spodniach, z cienkim krawatem, spadającymi na nos wąskimi, prostokątnymi okularami i przylizaną grzywką szczesaną na bok, jak u amantów z gablotki małomiasteczkowego fotografa. Nikt tak się wtedy nie ubierał, żaden student tak nie wyglądał.

„E, pa, ale kotły!” - zawołał, widząc, że na niego patrzę.

„Dzie?” - zapytałem, wierny konwencji.

„Ło!” - wskazał brodą okno.

Wyjrzałem. W dole kilka roześmianych pańnek obrzucało się śnieżkami.

Mimo że przedstawił się jako Andrzej Bójko, nazwałem go Kotłowym i tak już zostało. Kotłowy studiował wychowanie muzyczne, był klawiszowcem. Gadaliśmy dobrą godzinę, powiedział, żebym kiedyś wpadł do niego do Osowej Góry, to zaraz za miastem. Zadzwoiłem więc po paru dniach i pojechałem, potem jeździłem już, kiedy tylko się dało. Mieszkali w domu jednorodzinym na uboczu, ojciec Kotłowego był naukowcem z akademii rolniczej, docentem od łąkarstwa i myszoznawstwa, a także niezrealizowanym artystą, który dmuchał trochę w saksofon. Całymi nocami

graliśmy szaleńcze dzemy w piwnicy, wytapetowanej dźwiękochłonnymi wytłoczkami po jajkach, dołączał też brat, całkiem niezły bębniarz. Nad ranem odwozili mnie starą warszawą półzywego do koszar.

Wszedłem w inną czasoprzestrzeń. Ćwiczenia i wykłady przestały być ważne, bywałem na nich albo nie bywałem, liczyły się tylko te noce. Akceptowali mnie tam i doceniali, mogłem wyskoczyć ze wszystkim bez narażania się na śmieszność. Gdzieś za piwnicznymi murami, po drugiej stronie drucianego ogrodzenia przewalał się z boku na bok PRL, nasza ojczyzna - krzywizna, tocząc swój szarobury żywot od kolejki do kolejki, od plenum do plenum, od festiwalu do festiwalu, a my żarliwie przerabialiśmy własną wersję historii rock'n'rolla, tak jak się studiuje niezakłamaną historię ojczyzny albo żywoty świętych. Graliśmy po swojemu Chucka Berry'ego i Trubadurów, Jerry'ego Lee Lewisa i zapomniane numery zespołu Dzikusy, Holliesów oczywiście, hity Thin Lizzy, Dire Straits. Tam też po raz pierwszy z kaset przywiezionych z Berlina Zachodniego usłyszałem Sex Pistols, Angelic Upstarts i The Cure, których nie puszczało polskie radio.

Kotłowy kręcił się koło studenckiego klubu „Przybudówka” i zespołu Dreamer. To była wtedy najśłynniejsza kapela w Bydgoszczy. Rządził nią niejaki Marek Kunc, długimi blond piórami kropla w kroplę przypominający Roberta Planta z Led Zeppelin, wokalista i gitarzysta, idol licealistek, posiadacz świetnej podróbki gitary Gibson Les Paul i żółtego morrisa mini. Słynna postać, wzbudzał respekt, tchnęło od niego wielkim światem. Osobiście znał samego Niemena; kiedy na koncerty przyjechało SBB, widziano go, jak pił piwo ze Skrzekiem, podobno w jego

mieszkań przy Alejach

Powstańców nocowała kiedyś cała Budka Suflera. Odbywał też czasem tajemnicze wyprawy do Warszawy, o których opowiadał półsłówkami i z lekkim uśmiechem politowania. Dreamer musiał grać tak, jak Kunc chciał - przede wszystkim ballady z łzawymi, gitarowymi solówkami z repertuaru Wishbone Ash, Uriah Heep czy Moody Blues oraz obowiązkowo na każdym występie kompozycję Kunca, koszmarną suitę, zatytułowaną cholera wie czemu *Po dnie*, gdzie autor wyśpiewywał na tle klasycznych fragmentów Bacha i Mendelssohna wiersze Zygmunta Krasińskiego. Kotłowego zapraszano właśnie z powodu tego dzieła, bo Dreamer nie miał stałego keyboardzisty. Nie pasował do muzyków wyglądem, grzecznie siedział z boku i schodził z estrady, kiedy nie był potrzebny.

Raz zabrał mnie na próbę. Złapałem parę fajnych nut, spodobałem się Kuncowi i postanowił, że w kilku utworach zagram jako *backguitar*, czyli taki, co stoi w tle, przy piecach, nie wychyla się, pilnuje akordów i wzbogaca brzmienie. Ręce mi trochę latały, ale bardzo byłem dumny - z Dreamerem, pierwszy raz publicznie, przed ludźmi, w salach. Graliśmy wiele razy na ubawach w klubie i na świeżym powietrzu. Koncertowaliśmy. W Solcu Kujawskim, w Chełmży, w Nakle nad Notecią, raz nawet w Grudziądzu, jak zawodowa kapela, z afiszami i biletami.

Potem przyszedł 13 grudnia. Zasypiałem przy radiu u siebie w koszarach, zdziwiłem się, że niespodziewanie urwali program. Nagle bieganina, światła, bluzgi na potęgę, kręcenie rozrusznikami. Okazało się, że połowa samochodów nie odpaliła, że kuchnie polowe nie chcą grać, że nie ma klucza od magazynu z prowiantem, bo ktoś przez pomyłkę zabrał do domu. Zgubiono pustą cysternę po oleju napędowym, a kapitan Nazorek wywiózł swój pododdział do Lipowego Mostu gdzieś na bagnach w Białostockiem, zamiast do Lipna niedaleko Włocławka, bo kody się pochrzały. Stan wojenny przeżyłem jak chorobę. Czułem się już prawdziwym muzykiem, polityka mnie nie ruszała, byłem też realistą i wydawało mi się, że potęga Rosji jest wieczna, a siły partii nic nie złamie. Tylko tak jak nieuleczalnie chory obwinałem swój los, przeznaczenie i Pana Boga i zadreślałem się pytaniami: „Dlaczego akurat mnie to spotkało? Czemu jestem Polakiem, a nie Francuzem albo Szwajcarem czy chociaż Finem? Czemu muszę znosić te kłamstwa, tę durnotę, filozofię pały i pierdła, od której huczy w telewizji, w każdej gazecie? Dlaczego, mając dwadzieścia dwa lata, nie wiem, co to jest prawdziwy sklep spożywczy i jak człowiekowi z buszu wali mi serce na widok błyskotki - lśniącej puszki po piwie, kolorowego pisma, tekturowej okładki płyty; nie mogę jechać, gdzie chcę, kupić sobie, co mi się podoba?” Świat jakby dostał wysypki, jakby paliła go gorączka i wszystko, co brudne, zgniłe, szare wylazło na wierzch. Pod nogami chlupotał rozdeptany śnieg koloru popiołu, niebo zawlokły takie same chmury. Patrząc na ludzi stojących w kolejkach, nie widziałem pod futrzanymi czapami, beretami, chustkami, damskimi kapeluszami twarzy, tylko zmarznięte buraki o różnym odcieniu siności,

kłęby pary wydobywające się z ust niosły odór przetrawionej cebuli. Nocami śniło mi się, że spaceruję po Champs Elysees, płynę na wyspę Mań, jadę autobusem z Nowego Jorku do San Francisco. Myślałem: „Spieprzać stąd. Szybko spieprzać, za wszelką cenę. Zarabiać choćby? myciem trupów w domach pogrzebowych w Wiedniu, jak taki jeden Tazio z polonistyki. Tylko jak? Nie mam nikogo, kto by mnie zaprosił. Do tego jeszcze brat na pierwszym roku prawa, matka - działaczka PRONu w Giżycku, ojciec tuż, tuż ma dostać podpułkownika. Bałbym się o nich, sumienie by mnie zeżarło, że coś im się stało przeze mnie”.

Tymczasem ojciec był jedyną znaną mi osobą zadowoloną z aktualnego stanu rzeczy w Polsce:

„Generał zrobił porządek, rozpedził warcholów, za dwa tygodnie, góra miesiąc zaopatrzy sklepy i będzie się żyło jak dawniej. Zobaczysz!" - wykrzykiwał radosnym, odmłodzonym głosem w słuchawkę telefonu wojskowej linii.

Wszystkie uczelnie zamknęli, w akademikach kwaterowało ZOMO, Dreamer miał zakaz występów. Krążyłem między Giżyckiem i Bydgoszczą. Łącząc z psem po pustych, zaśnieżonych brzegach Niegocina, tęskniłem za piwnicą Kotłowego. Z kolei w piwnicy, gdzie spotykał się na dzemach już cały zespół, oprócz Kunca, dostawałem ataków beznadziei. Po paru miesiącach otworzyli klub, pozwolili grać, wręcz przymuszali do koncertów. Ktoś na wysokim szczeblu zdecydował, że rock będzie wentylem bezpieczeństwa dla rozwścieczonej młodzieży, dzięki któremu cały ten kocioł może tak od razu nie trzaśnie w kawałki. Poniekąd słusznie - ludziom bez ojczyzny trzeba było stworzyć jakiś surogat, żeby przynajmniej im się wydawało, że mają się z czym utożsamiać. Kapel zaczęło być wszędzie pełno - w radiu, w telewizji, nawet na kinowych ekranach.

Wtedy właśnie Kunc, z trudem tłumiąc triumfalny ton, obwieścił nam, że odchodzi. Bydgoszcz nie jest dla niego najlepszym miejscem, mieszkanie już komuś wynajął, wyjeżdża do Warszawy, nagrał dwa własne numery dla Rozgłośni Harcerskiej, o czym zresztą nikomu z zespołu wcześniej nie powiedział. Numery niedługo będą latały po antenie, a on nareszcie skończy z chałturą, założy grupę profesjonalnych muzyków i będzie realizował wielkie plany. Zostawił nas zatem na lodzie, bez swojego Gibsona Les Paul i nie ma co ukrywać, zawsze jakiegoś tam zmysłu kierowniczego. Jego obydwie nagrania rzeczywiście po różnych antenach trochę polatały, ale na tym się skończyło.

Nie wiedzieliśmy, co dalej. Inni z Dreamera, Bakon, Skóra, Bródek, chcieli już sobie odpuścić granie. My z Kotłowym byliśmy zdania, że albo trzeba wszystko całkowicie zmienić, albo naprawdę - *hasta mariana*, dziękuję i każdy w swoją stronę. Ludzie szaleli za Manaamem i Lady Pank. Pod nosem, w Toruniu, jak pociąg pancerny parła naprzód Republika, w Warszawie kwitł *underground*, byli Lipiński i Brylewski, a dla nas wciąż jeszcze nie skończył się Woodstock ani lata

sześćdziesiąte. Postanowiliśmy robić tylko własne rzeczy i stworzyć, jak to się potem mówiło, nowy *image*. Urządziliśmy postrzyżyny, żeby upodobnić się do Kotłowego, poszły won powycierane dzinsy, bluzy, paciorki, przydługie swetry. Zaczęliśmy nosić wąskie spodnie, marynarki i ciemne okulary, gładko golić policzki, pachnieć dobrymi wodami z pewexu. Wymyśliłem też nową nazwę - Klapperstorch; kiedy nas pytano, co znaczy, zgodnie odpowiadaliśmy, że jest dla jaj.

„Ty też nie możesz się tak nazywać - zatrzymał mnie kiedyś w drzwiach Kotłowy. - Henryk Bazyliszyn to nie nazwisko dla rockera”.

„A jak?”

„Cmon” - odparł bez namysłu.

„Skąd? Dlaczego?”

„Widziałem gdzieś na murze”.

Tak zostało, zresztą wszyscy używaliśmy ksyw, naszych nazwisk nikt nie znał, nawet odzwyczailiśmy się od

nich. Graliśmy przede wszystkim moje utwory, te z samotnej giżyckiej zimy, nadal w klubie „Przybudówka”, najczęściej do tańca. Ku memu zdumieniu, zaliczałem jakoś kolejne semestry studiów, chociaż niewiele robiłem w tym kierunku. Płynęły miesiące, kwartały, sytuacja zespołu stawała się nudna i denerwująca. Tylko klub i klub, sobotnie wieczory, rzadko większa impreza, średnie zainteresowanie, żadnych propozycji, żadnych możliwości nagrań. W polskim rocku robiło się coraz tłoczniej, radio puszczało coraz to nowe kapele, wychodziły fantastyczne płyty - nas nikt nie chciał znać, staliśmy na uboczu. Wymyśliliśmy więc, że trzeba spróbować załapać się na Jarocin. Przez dwie noce w studiu studenckiego radiowęzła „Miś” sklecieliśmy kasetę demo i wysłaliśmy. Zakwalifikowali nas.

Mieliśmy grać o jedenastej w nocy, przewlokło się do pierwszej. Siedziałem na jakiejś pace z moją jolaną między nogami, tłum wył i gwizdał, orkiestry wpadały na scenę i uciekały. Latali obok hipole w podartych łachach, regałowcy z dredami na głowach i gębami wysmarowanymi samoopalaczem, puny z irokezami na sztorc. Było mi zimno, marzyłem tylko o drodze na stację, o elektrycznym pociągu do Poznania, o przesiadce na pociąg Wrocław - Olsztyn i o tym, że już jutro w południe mógłbym chodzić sobie po Giżycku, leżeć na plaży albo popijać kawę przed domkiem starych nad zatoką Tracz. Bałem się, widziałem nas zupełnie gołych w blaskach reflektorów i słyszałem już ten potężny, wielotysięczny ryk, którego doświadczyła w Jarocinie niejedna kapela, wymachiwanie pięściami i skandowanie jak armatnie salwy:

„Wy - pier - da - lać!!! Wy - pier - da - lać!!! Wy - pier - da - lać!!!” Nawet czułem zawczasu wstyd, przewidywałem miny znajomych w Bydgoszczy, drwiące spojrzenia całego

Giżycka, gdzie pewnie długo bym się nie mógł pokazać. Obok przerażony Kotłowy oglądał

sobie ręce i powtarzał głupawo: „Napuchłem, napuchłem...”, a Bakon, majstrujący przy gitarze basowej, mruzczał tylko: „A jak nie zastroi? A jak, kurwa, nie zastroi?” Także Bródek, perkusista, zrzędził łamiącym się głosem: „To, z czym my wyjdziemy, to zwyczajne gówno przy każdej grupie tutaj!” - aż trzeba mu było zamknąć mordę.

I stał się największy cud w moim życiu. Z tego strachu, desperacji, poczucia poniżenia poszliśmy jak burza piaskowa, jak cyklon, jak Legia Cudzoziemska na Beduinów. Po dziesięciu akordach rozległ się straszliwy wybuch wrzasku, w którym najpierw usłyszałem zdziwienie bez granic, potem spazm bezkrytycznego zachwytu i wreszcie to, o co najbardziej chodzi - zwierzęce uwielbienie fanów dla idoli. Nie zwracałem wcale uwagi na tańczące, rozfalowane masy ludzi przede mną, uciekałem tylko wzrokiem od wielkich świateł dających po oczach i wiedziałem, że nie wolno mi przerwać, przystopować choć parę sekund. W szaleńczym tempie, na jednym oddechu prześpiewaliśmy z pięć piosenek bez żadnej pauzy, pamiętam, że na pewno *Cyryla, Kamę, Loczki*. Kiedy schodziliśmy, nastąpił zbiorowy orgazm - nie chcieli nas wypuścić. „Tak jeszcze nie było! Bisować, kurna, bisować, bo nam tu wszystko rozpieprzą!” - krzyczał Rustecki, który prowadził całość. Na bis graliśmy *Hej, dziewczyno, hej* Niebiesko- Czarnych i *Carrie- Anne* The Hollies. Niebiesko- Czarnych śpiewali chórem, chociaż nie było ich na świecie, kiedy powstał ten numer. To pokolenie widać miało już rocka zaszczepionego w genach. Następną kapelę obrzucili butami i torebkami z mlekiem, uspokoili się dopiero, gdy zajechały całe kawalkady milicyjnych suk i o mało co nie doszło do pałowania i przerwania festiwalu. Oglądaliśmy później telewizyjny materiał z występu, nigdy zresztą niewyemitowany. Rzeczywiście było niezłe - mocne, ale oszczędne gitarowe brzmienie, bez fuzzów i przystawek, chórki - wysoko bijące głosy; nikt j u ż i nikt j e s z c z e tak nie śpiewał. Na scenie cztery skupione przy sobie sylwetki bez pretensjonalnych gestów, z wyjątkiem Kotłowego, który z boku łapał szneci, klękał, wstawał i miotał się za swoją klawiaturą jak w cyrku.

Zszedłem z rampy jako ktoś zupełnie inny. To, co się potem wyprawiało, przypominało olbrzymią betoniarkę, do której wrzucili nas wszystkich, włączyli silnik i zwieli. Niczego nie rozumiałem. Raban, rwetes, ciąganie w różne strony. Godzinę wcześniej siedzieliśmy sobie na pace i nikt nawet na nas nie spojrzał, a teraz naokoło tłoczyli się jacyś przymilnie uśmiechnięci ludzie, gratulowali, podtykali mikrofony i chcieli wypowiedzi; gadaliśmy coś bez sensu, przekrzykując się na prawo i lewo. Pierwszy wywiad dla „Razem”, drugi dla „Magazynu Muzycznego”, dziennikarze szeptali, że już nieoficjalnie wiedzą, że na pewno będzie nagroda, może nawet główna. Była główna. Pisali o nas i mówili, także „Trybuna Ludu”. Doskonale pamiętam: *Nareszcie szczerą muzyką prosto z robotniczych dzielnic Bydgoszczy. Tylko dlaczego młodzi ludzie w 40-lecie Polski Ludowej fundują sobie niemiecką nazwę?*

Dla jaj - dopisał Kotłowy różowym flamastrem na strzępie gazety.



Z Jarocina pojechaliśmy nie do domów, ale do Warszawy, na Myśliwiecką, robić pierwszą sesję radiową. Poznaliśmy mitycznych prezenterów Trzeciego Programu. Byliśmy jednak kompletnie zieloni. Wokół zjawilo się nagle mnóstwo facetów, których zaczęliśmy na dobre rozróżniać dopiero po dłuższym czasie. Ktoś organizował dla Klapperstorcha trasę koncertową, ktoś inny zbierał ekipę techniczną, niejaki Waldek Ciechan mianował się naszym menadżerem. Robiono nam zdjęcia, podtykano jakieś umowy do podpisu, wypłacano zaraz pieniądze, o których dopiero po latach dowiedzieliśmy się, że mogły być o wiele większe. Dzień rozpoczynał się od natarczywego walenia do naszych pokoi w „Domu Chłopa”, dalej były rozjazdy z Ciechanem po Warszawie i okolicach, spotkania w jakichś biurach albo ekscentrycznych mieszkaniach w centrum czy willach gdzieś w Zalesiu, Starej Miłosnej, Klarysewie, należących, jak mówił Ciechan, do „najważniejszych od muzyki”. Znane twarze, nazwiska, tępe rozmowy. Wieczorem koncert, na nim nieustające szaleństwo, graliśmy w „Stodole”, w „Remoncie”, po koncercie balanga i tak w kółko.

Pod jednym względem nie przypominałem rockera z prawdziwego zdarzenia. Nie tolerowałem, a raczej mój organizm nie znosił ani drągów, ani alkoholu. Skóra podsunął mi tylko raz jakąś fajkę do przypalenia. Nie odmówiłem, ale zamiast odlotu był najpierw zimny kamień w brzuchu, później przerzygana noc i ból głowy, na który nie pomagały żadne tabletki. Natomiast gdy przesadziłem z gorzałą, pojawiała się wysypka, ataki gorączki, zaburzenia równowagi tak silne, że koledzy musieli wzywać lekarza i na kilka dni lądowałem w łóżku. Dolegliwości te potęgowały się z upływem lat. Dlatego najbardziej odjazdowe imprezy spędzałem najczęściej nad szklaneczką wina czy z jednym drinkiem, czego oczywiście nie mogę powiedzieć o reszcie Klapperstorcha.

Tymczasem *Cyryl*, zaprezentowany w radiu przez Niedźwiedzia, nie schodził z eteru, piął się coraz wyżej, aż dotarł do pierwszego miejsca *Listy przebojów*. To samo było później z *Loczkami*, z *Nocą na molo*. Kotłowy, świętując jeden z tych

sukcesów, zleciał ze schodów i złamał rękę, na szczęście prawą, bo był mańkutom. Nie pozwolił Ciechanowi znaleźć zastępcy, dzielnie koncertował z gipsem wystającym spod marynarki i pustym rękawem przypiętym agrafką, żeby się nie majtał podczas skoków i wyglupów. Grał tylko lewą dłonią, publiczność szalała.

Kiedyś zadzwonił do mnie z Giżycka ojciec. Powiedział, że nie odpowiada mu to, co śpiewamy i gramy. Chce jednak bardzo, abym wiedział, że wszystko rozumie, jest dumny i trzyma kciuki.

Jeździliśmy po kraju. Rzadko zaglądałem do swojego pokoju w bydgoskiej jednostce wojskowej, jeszcze rzadziej do Giżycka, na uczelnię wcale. Koncerty ściągały masy ludzi nie tylko dla muzyki. W latach osiemdziesiątych robili wrażenie tylko tacy rockerzy, po których było widać, że chcieliby powiedzieć więcej, niż mogą. Popatrzcie na Perfect, na Ciechowskiego, na Janerkę. Zresztą - w całej sztuce liczyło się wtedy przede wszystkim drugie dno, to, czego pozornie nie ma.

Późną jesienią nagraliśmy dla Tonpressu pierwszą płytę. Dla podkreślenia ekspresyjnego widzenia rzeczywistości, o której przecież cały czas pisaliśmy piosenki, wymyśliliśmy z Kotłowym lapidarny tytuł: *Syf*.

„*Syf* nie może być - zdecydował cenzor. - Zarówno ze względów społecznych, jak i moralnych. Prowokacja i obscena. Może być *Syfon*”.

„Dobra jest - zgodziłem się. - Niech będzie *Syfon*”.

Później każdy widział okładkę: krwawy napis jarzący się nad brudnoszarym, zrobionym „kocim okiem” pejzażem miasta: *Syf-On!!!* Sprzedaż przeszła wszelkie oczekiwania. Potwierdziła na amen, że byliśmy jednymi z najlepszych. Duże trasy przeciągały się w nieskończoność. Nasze życie przypominało, jak kto woli, młynek, kierat, centryfugę bądź karuzelę, w każdym razie coś, co kręci się obłądnie i nie zostawia nawet sekundy na oddech. Codziennie to samo - wstawanie nad ranem, autobus, sala i rozstawianie sprzętu, próba, koncert albo dwa, tak zwane lepsze hotele i restauracje, gdzie wszędzie wisiał jednakowy smród wołowego tłuszczu od grilla i podawali drogie czeskie piwo *Budvar*, ohydnie zmrożone, smakujące jak lodowy sopel. Często naprawdę traciłem orientację i musiałem pytać kelnerów, czy to Sieradz, czy Piła, Stargard Szczeciński czy Starogard Gdański. Przy najkrótszych nawet przerwach w trasie zbierałem manatki i tłukłem się nocnymi pociągami do Giżycka. W domu brałem kąpiel, wysypiałem się we własnym łóżku, po południu ojciec wywoził mnie nad Kisajno, bo nie mogłem już zwyczajnie wyjść na ulicę, zaraz zaczepiały mnie hordy małolatów i puszczały różne krzywe teksty. Czasem już tego samego wieczoru trzeba było iść na pociąg i wracać.

Ta mitręga zaczynała powoli przynosić pieniądze. Na początku spływały wąskim strumyczkiem, potem coraz szerszą strugą. Nie przywiązywałem wagi do tego, że dostaję ich więcej niż koledzy, nie interesowałem się nawet, ile oni naprawdę zarabiają. Mówiłem: „Ja komponuję i piszę teksty. Proszę bardzo, róbcie to samo”. Dobra passa wciąż mnie nie opuszczała, umieszczałem swoje piosenki jedną po drugiej na listach przebojów, projektowałem następną płytę.

Szukałem dobrego instrumentu. Dowiedziałem się o Fenderze Stratocaster, rocznik 1966. Sprzedawał go gitarzysta od dawna nieistniejącej świetnej kapeli Odyseja, której jeszcze w liceum słuchałem z jedynej wydanej, mocno już zdartej płyty. Pojechałem do niego do Puszczykowa pod Poznaniem, gdzie produkował ceratowe obrusy. Otworzył zblazowany, zaspany facet z siwiejącą bródką. Skojarzył sobie moją twarz, pokazał instrument, a ja zapłaciłem mu, ile chciał, nawet się nie targowałem. „Fenomenalne, cudne wiosło!” - omal nie płakałem z zachwytu. „Uważaj tylko, żebyś się nie utopił!” - rzucił za mną, gdy wsiadałem do samochodu.

Kupiłem też prawie nowego, rocznego malucha, wyniosłem się wreszcie z bursy podoficerskiej i wynająłem w Bydgoszczy kawalerkę na Kapie, czyli Kapuściskach. Studia ostatecznie sobie odpuściłem, były nie do pogodzenia z nowym zajęciem.

Dziewczynom w całej Polsce jakoś nagle przestał przeszkadzać mój niewielki wzrost, odstająca dupa i facjata, której, mówiąc w skrócie, raczej było daleko na przykład do przystojnego Grześka Stróżniaka z Lombardu. Początkowo korzystałem z tego, ile weszło - w przenośni i dosłownie. Oczywiście, to wcale nie było takie proste, a opowieści z biografii Rolling Stonesów czy Doorsów o *groupies* czatujących na idoli w windach, wdzierających się do sypialni, obrabiających rozporki muzyków w studiu podczas nakładania wokalu, urządzających orgie w samolotach - u nas można włożyć pomiędzy bajki. Panienki wdzięczące się po koncertach i skłonne do małego barabara w hotelowym pokoju wymagały przedtem chociażby pozorów szczególnego zainteresowania, spektaklu czułych słówek, wyznań, obietnic. Gdy wreszcie następował finał, robiły to z nami spięte i zdrętwiałe, częściej pochlipując w poduchę niż udając wielkie namiętności. Rano, kiedy trzeba było takie stworzenie jak najprędzej splawić, ono zwykle wchodziło w rolę oficjalnej narzeczonej, oświadczało, że w poniedziałek nie pójdzie już do budy, szykowało się do wspólnego wyjazdu i leciało pakować ciuchy. Zwykle ten moment wykorzystywaliśmy na planowy odwrót. Stawało się to męczące, żalosne i nudne, niektórzy mieli też kłopoty. Przykładowo pod nieobecność Kotłowego do domu w Osowej Górze wprowadziła się raptem jakaś kobieta z dzieciakiem, tak że ojciec, docent od łąkarstwa i myszoznawstwa, musiał uciekać do hotelu asystenckiego i tam ponoć przez dwa tygodnie wygrywał z balkonu przy księżycu smutne ballady na swoim saksofonie.

Któregoś dnia w Warszawie nieoczekiwanie zjawił się Marek Kunc. Ścisnął poobklejany pacyfami futerał z Gibsonem, jakby ktoś go zaprosił na próbę. Tłumaczył mętnie, że tylko krowa nie zmienia decyzji, że przemyślał sobie niektóre rzeczy, przedtem obrał błędną drogę, a ostatnio ma mnóstwo inwencji i planów. Odpowiedziałem mu krótko: „Spadaj!”, i zawołałem ryżego Bińka, naszego ochroniarza, żeby go wyrzucił z hotelu. Nie widziałem Kunca więcej. Podobno wyjechał do Kanady, robił w tartaku. Pewnie już umarł.

Podjąłem wysiłek stabilizacji życia, ożeniłem się z Paulą, studentką muzealnictwa na uniwersytecie w Toruniu. Ślub wzięliśmy oczywiście w kościele, wtedy był to akt artystycznej niezależności, zamiast wesela Klapperstorch dał koncert *bez prądu* w kościelnych podziemiach, o wiele wcześniej, zanim taką formułę wylansowała MTV. Przyrzekliśmy z Paulą, że będziemy wobec siebie szczerzy i tolerancyjni oraz że będziemy respektować nasze poczucie wolności. Paula chciała mieć galerię sztuki. Udało się to załatwić nie tyle dzięki moim zabiegom, ile przez znajomości starego w dowództwie okręgu wojskowego. Od tej pory wszystkie zarobione przeze mnie pieniądze szły w ten przegięty interes. Moja żona prowadziła życie artystki, otwarte i pozbawione konwenansów. Dzięki temu w naszym nowym, większym mieszkaniu nieustannie przesiadywał ktoś obcy, jacyś ludzie przyjeżdżali i wyjeżdżali, nocowali, chlali gorzałę, wyżerali jedzenie, niekiedy zabierali sobie na pamiątkę, co im się akurat spodobало. Czasem, wracając z

trasy, nie mogłem znaleźć sobie miejsca do spania albo musiałem wysłuchiwać mądrzenia się jakiegoś napitego idioty o konceptualizmie czy instalacjach przestrzennych. Mowy nie było o jakiegokolwiek intymności, zaciszu, odrobinie dobrego seksu. Zupełnie nie wiem, jak w takich warunkach mógł przyjść na świat mój pierwszy syn, Dawid. Galeria pochłaniała coraz więcej forsy, wyrzucanej, prawdę mówiąc, w błoto. Paulą urządziła sceny, żądała, żebyśmy przenieśli się na stałe do Warszawy, bo tylko tam, a nie na prowincji, może spełnić swoje wielkie marzenia. Miałem w końcu dość, kiedyś wyszedłem, jak stałem. Zamieszkałem wtedy u Kotłowego i po miesiącu rzeczywiście wyniosłem się do Warszawy, ale sam. U Kotłowego był raj. Mieliśmy akurat przerwę w koncertach, pracowaliśmy, zrobiliśmy razem z dziesięć nowych numerów, nieco innych niż te wczesne, i krytycy mogli potem powiedzieć, że Klapperstorch się rozwija. A nocami, jak za dawnych czasów - dzemy. Moja gitarka pobrzękuje w tle, brat Kotłowego, wtedy już obiecujący perkusista jazzowy, szura miotełkami, fuli bydgoski chłodzi się w wiadrze, a ojciec - docent wyciąga na swoim *saksie A Shadow of Your Smile* tak, że gołym okiem widać małe strzępki duszy - wyrrywają się z rury, rozwijają w powietrzu jak dmuchawce i szybują wysoko, przez otwarte okno piwnicy ku granatowemu niebu.

Pierwszy rozwód kosztował drogo. Wysoki Sąd, ma się rozumieć w osobie płci niewieściej, wyczyścił mnie na rzecz Pauli, z czego tylko mogłem, łącznie z samochodem, kontem złotówkowym i dewizowym, tak że w Warszawie znalazłem się praktycznie zupełnie goły. Sprawy Klapperstorcha miały się jednak nadal nieźle, więc moja nędza nie potrwiała długo.

W czasie kręcenia „suchego” koncertu dla telewizji, czyli tylko z udawaniem grania i ruszaniem gębami, poznałem na Woronicza Jagienkę Maślanko, wicedyrektor programową, wtedy jedną z najbardziej prominentnych postaci w tej instytucji. Przybiegła ze swojego biura, gdy jej powiedziano, że jesteście. Była starsza ode mnie o czternaście lat, lecz na zewnątrz nieustająco młoda - żywy dowód talentów osobistej kosmetyczki, dietetyka, masażyści i innych speców od walki z upływem czasu. Zachowywała się władczo, mówiła samymi zdaniem rozkazującymi. Nie wiem, jakim prawem wcięła się do naszego występu, sprowadziła fachowców od *emploi*, krawców, rekwizytorów. Wzięła nas w obroty, a my nie umieliśmy zaprotestować. Powtarzała mi, że nie mogę być tylko cyniczny i ponury, muszę być *sophisticated*. Zmieniła nam fryzury, zmusiła Kotłowego, żeby nie pajacował, aranżowała sceniczną dramaturgię każdego utworu. Nie wiem też, jak doszło do tego, że coraz częściej budziłem się w jej łóżku, w starej willi otoczonej zdziczałym ogrodem, położonej pomiędzy Stasinkiem a Leśną Podkową. Willa należała przedtem do poprzedniego męża, starszego od Jagi o ćwierć wieku wysokiego funkcjonariusza Wydziału Kultury KC, który często przyjacielsko nas odwiedzał, nazywał mnie „młodą siłą narodowej sztuki” i obliżował do zabawiania swojej nowej żony, tępej, wiecznie niezadowolonej małolaty, podczas kiedy oni z Jagą w kącie werandy konferowali półgłosem o jakichś wielce tajemniczych sprawach. Jaga szczególnie

dbała o kontakty i dojścia. Przedstawiała mnie

nie artystom i oryginałom, jak kiedyś Ciechan, ale reżyserom, wpływowym dziennikarzom, swoim znajomym z partii, ministerstwa, dysponentom pieniędzy, możliwości, kontaktów zagranicznych. Wpadała ze mną do zionących trupiarnią gabinetów i radośnie szczebiotała od progu: „Cześć, poznajcie się, to mój nowy chłopak!” Czowała się w tych kręgach jak ryba w wodzie. Wspominała studia, zetempowskie obozy, teatrzyk satyryków. Przy obowiązkowej kawie i koniaku, bynajmniej nie radzieckim, opowiadała świńskie kawały. Dlatego z oporami pokazałem jej materiał do płyty robionej już po czerwcowych wyborach w roku osiemdziesiątym dziewiątym, mającej być prześmiewczym i zjadliwym podsumowaniem czasów komunizmu. „Tak jest, właśnie takich rzeczy teraz nam potrzeba!” - wykrzyknęła ku mojemu zaskoczeniu i zaraz wymyśliła bijący po uszach tytuł: *Przewlekle zaparcie*. Płyta została, może pamiętacie, albumem dziesięciolecia, a o tytule prawicowa prasa pisała, że już samo jego brzmienie wyraża determinację młodego pokolenia wobec rzeczywistości PRL. Jaga miała zastrzeżenia do organizacji pracy Klapperstorcha, twierdziła, że zbyt wyczerpuje i przynosi za mało dochodów. Natychmiast więc wyrzuciłem Ciechana. Skończył się koszmar długich koncertowych tras, występowaliśmy tylko w dużych miastach, w wielkich halach. Nasze utwory bez przerwy grały wszystkie programy radiowe, zrobiono o nas pełnometrażowy film, kręciliśmy także videoclipy, na które z Radiokomiteu płynęła nieprzerwana rzeka szmalu. Gdybym znał Jagę wcześniej, z pewnością i ten nasz osławiony angielski kontrakt wyglądałby inaczej.

Kiedy urodził się Mateusz, postanowiliśmy wziąć ślub. Był to mój drugi syn i trzecie dziecko Jagi. Najstarsza córka, którą miała z pierwszym mężem, aktorem z Łodzi,

studiowała w Stanach, skąd już nie wróciła, młodsza, od męża poprzedniego, chodziła do liceum Sióstr Niepokalanek. Ceremonia miała miejsce latem w Urzędzie Gminy w Nidzie, szliśmy tam piechotą przez las, z polnymi kwiatami, cała Warszawa zjechała na weselne pieczenie prosiaka przy domku Jagi w Krzyżach, Kotłowy rznął obertasy na akordeonie.

Zaczynały się lata dziewięćdziesiąte. Poprzedni mąż Jagi po rozwiązaniu partii został niezależnym producentem filmowym, a ona sama, wyrzucona z telewizji, jego asystentką i współpracowniczką. Jednak przełom najciężej przeżył mój ojciec. Chodził po Giżycku, pomstował, że w każdym sklepie są inne ceny, pytał się ludzi, komu potrzebna taka kolorowa pstrokacizna, niespotykaną nigdy po wojnie obfitość mięsa i kielbasy tłumaczył tym, że rolnicy z nędzy wybili cały inwentarz, a za trzy miesiące trzeba będzie przeproszać Rosję, która nie wiadomo, czy nam teraz wybaczy i zechce nas dalej karmić. Wysłano go na emeryturę, bo podobno odmawiał wykonywania służbowych poleceń. Przełożonym mówił wprost: „Niech Wałęsa rozładuje panu te kartofle!” albo „Niech Mazowiecki z Onyszkiewiczem ułożą wam te worki w magazynie!” Gdy zlikwidowano Układ Warszawski, dostał zawału serca. Przygarbił się, wychudł, spędzał dni w

całkowitym milczeniu, czasem jeździł przerdzewiałym na wylot, rżącym ze starości fiatem bahama yellow nad Kisajno i tam godzinami patrzył w wodę. Po wyprowadzeniu z Polski ostatniego oddziału Armii Radzieckiej stracił ostatnią nadzieję. Umarł dwa lata później.

My też, jako Klapperstorch, dostrzegaliśmy z przerażeniem, że powoli zaczynamy nie pasować do odmienionego świata. Ludzie jeszcze przychodzili na nasze koncerty, jeszcze bili brawo, ale nie było w tym już duszy ani krzty

szczerości. Czuliśmy wszyscy dziwne gęstnienie powietrza pomiędzy nami a publicznością. „Czegoś chcą, to przecież widać. Tylko czego?” - zastanawiał się głośno Bakon. Niestety, nie wiedzieliśmy, czego. Następną płytą, *Mantra*, wydana w półtora roku po sukcesie *Zaparcia*, to już była kompletna kłapa. Nie pomogło nachalne lansowanie i sztuczne windowanie przez znajomych didżejów. Nikt nie chciał jej kupować, mało tego, musieliśmy odwołać trasę promocyjną - spotkała się z tak niewielkim zainteresowaniem. Jaga twierdziła, że to wina kapeli, żądała zmiany nazwy na Cmon & Klapperstorch. „Ty jesteś gwiazdą- przekonywała - a to są w gruncie rzeczy jołopy, ludzie nieinteligentni, bez zmysłu twórczego, nie na dzisiejsze czasy! Dziś nie wystarczy trzy razy szarpnąć druty, żeby rzucać na kolana. Posłuchaj tych nowych grup”.

Słuchałem. Przeżywałem piekło zazdrości. Muniek Staszczuk walił swoją prawdę o świecie wprost, bez ogródek, ja umiałem śpiewać tylko metaforami, które publiczność przestawała rozumieć.

W zespole też wyszły na jaw kwasy i animozje. Przede wszystkim chłopcy żądali równych działek szmalu i w końcu doszło do decydującej rozmowy. Mówiłem jak zawsze: „Pisaliśmy numery ja i Kotłowy, wy też mogliście...” „Przepraszam - przerwał Bakon. - Ja na wszystkich płytach skomponowałem bas”. „A ja perkusję!” „Ja drugą gitarę!” - wykrzykiwali Bródek i Skóra. „Pocałujcie mnie w dupę!” - skwitowałem grzecznie i wyszedłem. Były to słowa kończące pierwszy etap działalności Klapperstorcha.

Jaga zaczęła przygotowywać mnie do kariery solowej. Wymyśliła sobie jednak, że bym najpierw zaistniał jako głosiciel wyrazistych poglądów, artysta - filozof, który intryguje nie tylko dziełem, ale i własną osobą. Kazała swojej fryzjerce zgolić mi łeb na pałę, a kosmetyczce przekłuć lewe ucho, w którym osadziła srebrny wisiołek. Mimo tego, że oficjalnie została z publicznej telewizji usunięta, to jednak jej możliwości w firmie były nadal olbrzymie. Zapraszano mnie zatem do różnych programów: dyskusji o społeczeństwie, komentowania zjawisk kulturalnych, debat z udziałem młodzieży. Żując gumę, co też było pomysłem Jagi, bo według niej żucie gumy to gest łączący prostolinijność charakteru z intelektualną lekkością, gloryfikowałem przed kamerami tolerancję, wolność, prawo do buntu przeciw najmocniej choćby uświęconym przez tradycję schematom. Założyłem Ruch na Rzecz Obrony Wolności, atakując przede wszystkim oba fundamentalizmy - czerwony i czarny, angażowałem się w kampanie walki o konstytucję zwierząt,

o legalizację miękkich narkotyków, powszechną antykoncepcję, prawną regulację zakresu władzy rodziców nad dziećmi. Prowadziłem manifestacje, zbierałem podpisy, inicjowałem akcje charytatywne, I jednocześnie gorączkowo pisałem nowe utwory. Poznałem także Iwetę, modelkę ze Studia U przy Senatorskiej. Praca w niczym nie przypominała pierwszych lat Klapperstorcha. Konstrukcje dźwięków rozpadały się, jakby zbudowane ze źle dopasowanych części, nie miałem pomysłów i całe godziny spędzałem nad pustą kartką albo jałowo grzebiąc między strunami. To, co wreszcie udawało mi się skleić i wymęczyć, nie budziło żadnych uczuć, było jak rozmoknięte, ugniecione mydło. Nikt jednak nie wiedział, że tak myślałem.

Iweta miała dwadzieścia dwa lata, czarne włosy i skórę gładką jak młoda oliwka. Spędzałem noce w jej wynajętym mieszkaniu na Stegnach i rzadziej zaglądałem do Podkowy, co przy naszym trybie życia długo nie wzbudzało u Jagi żadnych podejrzeń. Energicznie przygotowywała nagranie mojej kolejnej płyty, *Cienia*, pierwszego kompaktu, zamawiała muzyków, uzgadniała terminy, ale działo się z nią coś niedobrego. Mówiła, że jest zmęczona, nie mogła już niczym ujarzmić zmarszczek i worków pod oczami, przeżywała ataki melancholii. Nie wyjeżdżała wtedy rano do pracy, tylko w nocnej koszuli siadała przy oknie i spędzała cały dzień, patrząc na swój zdziczały ogród. Pisywała też listy do córki w Ameryce, co przedtem uznawała za stratę czasu.

Płytę nagrałem, towarzyszyły mi znakomitości rocka i jazzu. Któż tam nie grał? Cały przegląd gwiazd mniejszych i dużych. Efekt był do przewidzenia - zbyt okrągło, za bardzo profesjonalnie, zbyt schludnie i nijako. Promocję przeprowadzono z rozmachem: oczywiście radio do znudzenia, sam już nie mogłem słuchać; recital w Sopocie, videoclipy, billboardy, spotkania z fanami. Niestety, nic to nie dało. Zainteresowanie *Cieniem* było żadne. Jaga szarzała na twarzy, kiedy wspomniało się o zainwestowanych pieniądzech. W końcu przyszedł czas, że spod maski kobiety nowoczesnej, wolnej od uprzedzeń, wylazła bohaterka telenoweli.

„Oszukujesz mnie, jesteś z tą dziewczuchą!” - krzyczała. Było to wieczorem, stała przede mną w nieświeżym, rozchełstany szlafroku, oparta o fotel odwrócony do okna wychodzącego na ogród. Śmiać mi się zachciało, bo ze swoimi szerokimi wargami wydętymi od płaczu i poczochną fryzurą wyglądała jak babka Kaczora Donalda.

„W takim razie do widzenia” - powiedziałem. Nieswoim głosem błagała, żeby tego nie robić, że Mateuszek jeszcze mały, że jeszcze wiele przed nami. Nie wytrzymałem, parsknąłem śmiechem i zapytałem, czy aby nie przesadza.

Zaraz też wrzuciłem do samochodu najpotrzebniejsze rzeczy. Mijając bramę, odwróciłem się na chwilę - zegnał mnie głuchy fronton domu na tle ciemnego lasu i jedno okno, w którym paliła się mała lampka. Później omijałem to miejsce z daleka, starałem się nie bywać w Podkowie ani okolicach. Dopiero po piętnastu czy dwudziestu latach przypadkiem tamtędy przejeżdżałem i miałem wrażenie, że w ogrodzie, jeszcze bardziej zapuszczonym i dzikim, mignęła mi przed oczami

skulona postać na wózku.

Póki co jednak, poprzedni mąż nie zostawił byleją połowicy samej sobie. Załatwił adwokatów, zebrał świadków; wszystkie przyjaciółki i przyjaciele Jagi, stare megieri i brzuchaci faceci, z którymi na Mazurach piłem long drinki pod węgorza - teraz zeznawali przeciwko mnie. I znowu byłem oskubany do suchej nitki, tym razem już bez żadnych perspektyw na przyszłość. Klapperstorch nie istniał, niczego nowego nie napisałem, ale choćbym nawet napisał, to nie wiem, czy ktokolwiek zechciałby wchodzić w promocję. Najwyraźniej wypadłem z gry, straciłem protektorów. Konkurencja rosła, przybywało młodych grających wszelkie odmiany muzyki, od rapu poprzez mdlawy pop aż do wyrębistego heavy metalu, rynek zalewała powódź nagrań. Po rozwodzie moje życie skomplikowało się jeszcze bardziej. Planowałem małżeństwo z Iwetą, ale w ciąży była Alka, studentka, którą kiedyś poznałem na festiwalu w Brodnicy. Nie miałem mieszkania, zalegałem z alimentami i z ratami za pięcioletniego jaguara, zapisanego na brata. Topiłem się, jak wykrakał ten stary rockman spod Poznania.

Chciałem znaleźć jakąkolwiek robotę, załapać się do kogoś w charakterze sidemana na poważniejsze nagranie, podpiąć pod czyjąś trasę.

„Wiesz, nic z tego - sprowadzał na ziemię menago tej czy innej kapeli.- Masz za duże nazwisko - dodawał zaraz, żując gumę. - Psułyś atmosferę, trzeba by się do ciebie, wiesz, dostosowywać, może nawet grać twoje kawałki. Kto na to pójdzie? Każdy ma swoje numery i swój *cash* do zrobienia”.

Łącząc tak po Warszawie i nie wiedząc, co dalej, spotkałem Waldka Ciechana. Myślałem, że napluje mi w gębę. On tymczasem tylko westchnął pobłaźliwie i zaprowadził mnie do jakiegoś biura. Okazało się, że pełnił funkcję asystenta od *public relations* w pewnej niebiednej i dość znaczącej opozycyjnej partii politycznej, deklarującej wielką społeczną wrażliwość, konieczność ponownego upaństwowienia przemysłu, odbudowy PGRów i równych zarobków dla każdego.

„Ty? Z twoimi poglądami?” - dziwiłem się.

„A gównu tam poglądy, ja profesjonalista jestem - odpowiadał zadowolony. - Jak chcę, to wszystko mogę. Ukradniesz kurę, to zrobię tak, że cała Polska powie, że to tobie ukradli. Trzaśniesz staruszkę wozem, czary - mary i już wszyscy będą powtarzać wiadomość o cholerze, co to specjalnie wlaźła ci pod koła, żeby narazić na szwank twoje życie, i będą się modlili w podzięce za cudowne ocalenie”.

Był rok 1993, w polityce wrzało, Ciechan potrzebował człowieka do kształtowania poparcia dla partii w sposób niejawni, poprzez prywatne kontakty z dziennikarzami, rozpowszechnianie pewnych opinii, nawet różne posunięcia niekonwencjonalne. Zgodziłem się, było mi wszystko jedno. Aby się tylko zaczepić tam, gdzie można dostać trochę więcej szmalu. Przyjęto mnie na okres próbny, dano stanowisko p/o referenta prasowego, jako taką pensję i ryczałt reprezentacyjny.



Nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Ciechan wybył, siedziałem w przydzielonym gabinecie na półpiętrze, piłem herbatę i kombinowałem. Jak w Polsce prowadzić walkę z wrogiem politycznym, odbierać mu zwolenników i zjednywać sobie elektorat? Poziomem wiedzy ekonomicznej i prawnej, kulturą słowa, finezyjną retoryką, miażdżeniem celnymi argumentami? Guzik tam. Takiego głędzenia, przynudzania nikt by nie słuchał. Zresztą, u nas w polityce nie istnieją błyskotliwe argumenty; czy coś jest prawdą, czy oszczerstwem, zależy wyłącznie od osoby i sytuacji. A więc jak walczyć? Tylko głupawymi żarcikami, złośliwością, prostackim zwischenrufem, który dotrze do zwyczajnego zjadacza jajecznicy z kiebasą przed telewizorem, tylko upokorzeniem, śmiesznością. A jak w Polsce ośmieszyć polityka? Bardzo prosto - pokazać Polakom, że jest taki sam jak oni.

Swoją ofensywę propagandową skierowałem na radio. Ciechan przekazał mi zamiary kilkorga emerytów, wiernych i zdyscyplinowanych ludzi partii. Z ich pomocą stworzyłem rodzaj sieci telefonicznej, zbiegającej się w moim komputerze i obejmującej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób. Wśród nich były lamentujące gospodynie domowe, subtelny naukowiec rozmiłowany w ironicznych sentencjach, robociarz miotający przekleństwa ochrypłym barytonem, młoda matka, zaniepokojona losem swoich córek bliźniaczek, gdy wejdziemy do NATO, filutek - przekornik układający koślawe wierszyki i całe mnóstwo innych typów charakterystycznych. Dzień rozpoczynałem od słuchania porannych wiadomości i lektury biuletynów. Przede wszystkim szukałem wywiadów z ówczesnym prezydentem. Jeśli akurat nie strzelił nowego powiedzonka, to zadawałem się bykami językowymi, ze słynnymi „mniałem” i „poszedłem” na czele. Czatowałem na rodzinny - informacje o premiach wypłacanych ministrom, o markach samochodów używanych przez księży, o nieruchomościach nabywanych przez posłów rządzącego obozu. Potem koncentrowałem się na aktualnych pracach rządu, niezależnie, czy było to podpisanie międzynarodowej umowy, skierowanie do sejmu jakiejś ustawy czy tylko przepis o konieczności jeżdżenia zimą na świątłach mijania. Wreszcie formułowałem i rozdzielałem tematy komentarzy, na wypowiedzi czekałem do dwunastej. Musiały być utrzymane w różnych tonach: skrajnej determinacji, wisielczego humoru, ponadczasowej refleksji, cynizmu, rozżalenia i oburzenia. Wybierałem około dwudziestu, a gdy w kraju działo się coś szczególnie doniosłego, nawet podwójną liczbę, montowałem i przysyłałem taką pigułę zaprzyjaźnionym prezenierom pewnej nowoczesnej, szybkiej i coraz popularniejszej stacji radiowej. Wykorzystywali ją podczas wieczornych audycji z udziałem słuchaczy jako spontaniczne głosy prezentowane na żywo. Mogłem skutecznie złachmanić każdy autorytet albo też z każdej bzdury zrobić wielką, świętą ideę. Autorom wybranych głosów naliczałem niewielkie honoraria, wypłacane raz w miesiącu, po dwudziestym. Robiłem też inne rzeczy, redagowałem poufne broszury - instrukcje, jak prowadzić spory, jak odpowiadać wyborcom na zebraniach, organizowałem poprzez różne poważne instytucje sondaże opinii publicznej i nagłaśniałem korzystne dla nas wyniki.

Znowu powodziło mi się nie najgorzej, odpocząłem od grania i zaczynałem do niego tęsknić. Ożeniłem się z Iwetą, Alka urodziła Tereskę, moją pierwszą córkę, wkrótce potem Iweta urodziła również dziewczynkę - Gabrielę.

Moja sytuacja, nazwijmy to, zawodowa skomplikowała się po przyśpieszonych wyborach. Jak wiadomo, wygrał je ktoś inny, choć bliski, a nasza partia w ogóle nie weszła do sejmu. Czekałem, aż Ciechan pokaże mi drzwi, tak jak kiedyś ja jemu, ale nie zrobił tego. Partia nadal miała forszę, nadal widywałem na korytarzu znanych biznesmenów i inne wpływowe osoby, często publicznie występujące jako przedstawiciele innych opcji politycznych. Musiałem tylko zgodzić się na niższe wynagrodzenie i zrezygnować ze swojej opiniotwórczej siatki. Mój pomysł, choć skrzętnie ukrywany, szeroko podchwycono gdzie indziej. Na wdech wyczuwałem, że wiele audycji z udziałem słuchaczy emitowanych przez różne rozgłośnie jest preparowanych w identyczny sposób. Jakies dwa lata później zjawił się u mnie dyrektor oddziału międzynarodowej korporacji fonograficznej Super Star Sound i zaproponował *come back*. Wielkim firmom bardziej się opłacało inwestować w znane kiedyś nazwiska niż lansować nowe, co kosztowało dwukrotnie drożej. Nie istniałem już zupełnie na rynku, moje utwory można było usłyszeć tylko w różnych radiowych kącikach staroci. Z duszą na ramieniu pojechałem zatem do Bydgoszczy. Skóra był nauczycielem w ognisku muzycznym, Bakon wydawcą pismka erotycznego, Bródek ogrodnikiem. Kotłowy przygasł bardzo, ale wciąż utrzymywał się w branży, jeździł jako człowiek do wszystkiego z jazzową kapelą swojego brata. Nie powiem, żeby witali mnie ze szczególną radością, ale przekonałem ich warunkami kontraktu. Podpisaliśmy z SSS umowę na trzy płyty - nowy materiał, składankę i koncert *unplugged*. Rzuciłem robotę u Ciechana i zamknęliśmy się w naszym magicznym miejscu, czyli w piwnicy w Osowej Górze. Praca szła opornie, firma stawiała wymagania, nakazywała na przykład dorzucenie kilku standardów, między innymi *Strange Little Girl* Dusicieli. Wkrótce media doniosły o reaktywowaniu się Klapperstorcha, nowej płycie, trasach po kraju. Zaprzyjaźnieni dziennikarze zakasali rękawy, były wywiady, pierwsze miejsca na listach. Do hal i klubów przychodziły tłumy trzydziestolatków, trudno jednak mówić o entuzjazmie. Znowu stałem na rampie, w migających światłach i dymach, ale wiedziałem, że gram i śpiewam tylko dla poruszenia czyichś sentymentów, że w nikim już niczego nie zapalę i nikt nie spojrzy na mnie z podziwem i uwielbieniem. Nowa płyta sprzedawała się dobrze, przynosiła dochody, któryś raz w życiu ponownie miałem sporo pieniędzy. Przetrwaliśmy tak trzy lata jako stary zespół, który powrócił w aurze sukcesu. Potem zainteresowanie wyraźnie spadało, a my nie potrafiliśmy temu przeciwdziałać. Kolejny kompakt, mimo niezwykle już natrętnego lansowania, opłacanego przez wytwórnę, był po prostu kompletnym gniotem, sprzedawanym w supermarketach z wielkich koszy, do których wrzucano wszelkie muzyczne barachło. Wreszcie rozwścieczona publiczność w Jarocinie, gdzie występowaliśmy jako gwiazdy, bardzo dobitnie wykrzyczała nam chórem, co

mamy ze sobą zrobić. Zeszliśmy, podaliśmy sobie ręce i każdy wsiadł do swojego samochodu. Kotłowy płakał. Pewnie był pijany albo znowu wyczyniał jakieś jajca.

Skończyła się pierwsza połowa mojego życia, zaczęła druga, dłuższa, spokojniejsza, ale o niej nie mam prawie nic do powiedzenia. Iweta związała się z pewnym Hiszpanem, przedstawicielem firmy winiarskiej, ja udawałem, że o niczym nie wiem, bo byłem już z Kaśką. Tym razem nie pozwoliłem zrobić z siebie durnia, przy pomocy Ciechana zaangażowałem partyjnych prawników, tak że po rozwodzie moja ostatnia żona została bez grosza i w jednej kiece, a alimenty mogłem sobie ustalać sam. Kaśka miała dziewiętnaście lat, ja czterdzieści dwa, była raczej głupawą panienką z buzią zawsze zaklejoną gumą, powtarzającą co drugie słowo „super”, „fun”, „dokładnie” i ożywiająca się wyłącznie na widok sklepu z ubraniami. Nauczony doświadczeniem, nie chciałem brać ślubu. Kupiłem okazji dom w Wiązownie i tam długo ze sobą mieszkaliśmy. Ja starzałem się coraz bardziej, a ona dojrzewała. Żyłem, z czego mogłem, byłem producentem nagrań Dasi Szcherbickiej. The Skunks, Saturatora, komponowałem muzykę do filmów gorszej klasy, czasem pisałem piosenki i sprzedawałem je różnym wykonawcom. Rzadko bo rzadko, ale nagrywaliśmy też własne płyty, jeszcze występowaliśmy z Klapperstorchem, ostatni raz na Old Rock Meeting Festival w Międzyzdrojach, gdy miałem siedemdziesiąt lat, we czwórkę, bo Kotłowy spoglądał już na nas z nieba. Kaśka spotykała się z różnymi facetami i wcale tego przede mną nie kryła. Udawałem, że niczego nie widzę, zamykałem się w pokoju, puszczałem muzykę albo sam głośno grałem, a rano rozmawiałem z nią normalnie, niby nie zauważając podpuchniętych oczu i kociej lubieżności ukrytej w każdym ruchu. Zawsze starałem się być tolerancyjny i pozbawiony przesądów, ale teraz wzbierała we mnie patologiczna zazdrość, tym boleśniejsza, im byłem starszy. Wreszcie jakiś szpanowaty gościu zakotwiczył u niej na stałe i tak siedzieliśmy - ja na górze, oni na dole, jak młode małżeństwo z samotnym tatusiem. Urodziła im się dwójka dzieci, które podrosły i wołały na mnie: „Dziadek, chodź tu!”, „Dziadek, poczytaj nam!”, „Dziadek, on mi miśka zabrał!”, Dziadek to, dziadek sio.

Wyniosłem się stamtąd. Krytycznie patrzyłem do lustra, ale czułem, że zostało mi jeszcze sporo siły i zdrowia. Założyłem sprawę o dom i choć przeciętny człowiek by jej nie wygrał, to ja przy pomocy adwokatów Ciechana wygrałem. Poszli na bruk, dom sprzedałem ambasadzie Sri Lanki.

Mieszkałem potem w różnych miastach, w Gdańsku, w Krakowie, dłużej w Sandomierzu. Potrzebowałem czyjejs bliskości, szukałem kontaktu z dziećmi. Jedne traktowały mnie jak obcą, oficjalną figurę, inne z miejsca straszły procesami. Pojawilo się na horyzoncie jeszcze parę kobiet, ale byłem już podejrzliwy i przekonany, że myślą wyłącznie o moich kontaktach. Na koniec wróciłem tutaj, niestety, nie do Giżycka, bałem się, że rodzina wywęszy. Wybudowałem sobie odgradzoną od świata oazę na Warmińskiej, w której dopadło mnie to, co kiedyś uważałem za przypadłość

nieudaczników, ludzi bez głębokiej duszy i bogatego wnętrza - choroba samotności.

Wiecie co? Cały czas zastanawiałem się, czemu w ogóle opowiadam wam o tym wszystkim, tak długo, ze szczegółami. I teraz wiem. Po to, żeby pokazać, jak wygląda życie bez puenty. I jeszcze jedno wiem - że z własnej woli przyszedłem tu, na Oddział O-L, żeby tę puentę dopisać.

Cmon napił się wody i patrzył gdzieś wysoko, oblizując spierzchnięte usta. Majami, która również słuchała całej opowieści, otrząsnęła się i zaczęła zapędzać wszystkich do łóżek. Powtarzała, że Wszechwłoga wpadłby w szal, gdyby zobaczył, o jakiej porze idą spać.

- Coś taki osowiały! - Starościak szturchnął Irka na korytarzu. - Przejąłeś się? Czym? Wierzysz w to? Książkę opowiedział, a nie prawdziwe życie, swoją własną biografię, co mu ze dwadzieścia lat temu napisał jeden dziennikarz, nie pamiętam nazwiska... Okładka była z koniem trojańskim ze skrzydłami. Wtedy przeczytałem, bo wszędzie reklamowali, i słyszę zdanie w zdanie to samo, tylko tam było jeszcze więcej akcji.

Przez następne dni nikt się nawet nie zbliżał do drzwi pięknego pokoju. Wyglądały jak nieużywane i zapomniane. Mimo że Irek budził się, nasłuchiwał, chciał widzieć wszystko, to jednak nie powtórzyły się wydarzenia z nocy, w której przeprowadzano Krakowskiego.

Oddział żył senną atmosferą i wciąż tym samym, codziennym rytuałem. Rano wpadał Wszechwłoga, odbijał niebieską piłeczkę od najbardziej nieoczekiwanych miejsc i wypowiadał filozoficzne sentencje bądź rozwijał długie tyrady na temat kultury, historii i społeczeństwa, z których Konieczny nabijał się pod prześcieradłem, a Irek tylko mądrze udawał, że słucha. Po śniadaniu przychodziła doktor Gudrun ze świecącymi warkoczykami, żeby aplikować DFR - B. Lek na dobre przyjął się w organizmie, nie powodował już żadnych przykrych ubocznych skutków, uspokajał i przynajmniej dawał wrażenie dobrego samopoczucia. Czarna doktor kręciła jednak nosem, po swojemu bez emocji wyrażając sceptycyzm:

- To nie jest najlepszy sygnał. Być może powoli traci efektywność. Pozostanie nam w takim wypadku zwiększyć dawkę, ale to nie jest rozwiązanie.

Irek jednak zupełnie się tym nie przejmował. Spędzał czas na rozmowach z Koniecznym, chociaż ten popadał w coraz dłuższe okresy apatii i niechęci do kontaktów z kimkolwiek, zaczepiał Starościaka, który z kolei zawsze był w formie, kipiał złościwością i rozpaczliwie ćwiczył, jakby był uczestnikiem obozu kondycyjnego.

Najchętniej jednak zaglądał do Cmona. Musiał mieć chyba specjalne względy u rockera, bo Majami, ciągle przesiadująca w jego pojedynczej sypialni, pozwalała na długie rozmowy, a sam Cmon wyraźnie wtedy zapominał, gdzie

i w jakim charakterze się znajduje. Opowiedziawszy własną biografię, plotkował teraz bez

żadnych zahamowań o starych, przebrzmiałych gwiazdach. Płynęły zatem historie, będące intymnymi wersjami oficjalnych biografii znanych kiedyś i mniej znanych: Riedla, Edyty Bartosiewicz, „Kobry” Kraińskiego, Skiby, ale tego Skiby - bluesmana od Kasy Chorych, Ciechowskiego, Ostrowskiej, Borysewicz i jeszcze starszych - Niemena, Nalepy, Cugowskiego.

Korytarz Oddziału O-L nie świecił takimi pustkami, jak się Irkowi z początku wydawało. Zaczął zauważać miękko przemykające się sylwetki innych współtowarzyszy, odkrył także dwa ustronne miejsca - małą czytelnię z dwoma ekranami i niewielki, klimatyzowany ogródek ze sztucznym światłem, do którego prowadziły boczne drzwiczki z hallu. W tym ogródku bezceremonialnie zaczepiła go kiedyś duża, pękata kobieta, z resztkami siwych włosów; jej skóra była pokryta zmarszczkami przypominającymi strużki wosku zastygłego na świecy:

- Ty, powiedz mi, jak wyglądałeś?

- Zwyczajnie, nie mam zdjęcia przy sobie, w domu zostawiłem - fuknął niecierpliwie.

- Dom masz? Ja z kontenera, II Rejon, z tego wieżowca Dworcowa róg Pstrowskiego, co wtedy cały pierdyknął od razu, jakby bomba walnęła. Nam wszystkim nic, stary i ja w robocie, syn w wojsku był. Ale żadnego swojego zdjęcia z młodości odtąd nie mam, niestety... Niezły musiałeś być, przystojny. A żebyś mnie zobaczył, jaka byłam laska, jak się odstrześliłam, wbiłam w miniówkę, to nawet ruch na ulicy stawał, a wszystkim chłopom ślina ciekła po gębach. Ja tylko szłam, stukalam obcasami i udawałam, że nie zauważam... Głupi człowiek był - westchnęła. - Żeby wtedy wiedziała

tyle, co teraz. Starość tak rozjaśnia w głowie, tak wszystko upraszcza, tak pokazuje, co ważne, a co nieważne, że człowiek dopiero teraz widzi, jak durne skrupuły go straszły, idiotyczne opory, jak gryzł się i cierpiał, żeby tylko sobie dobrze nie zrobić. Bardzo, bardzo lubiłam te sprawy, wiesz... ale nawet mój stary o tym nie wiedział. Udawałam, że nie, że się przymuszam, że to tylko dla niego, żeby se ulżył... - mlasnęła głośno i strzyknęła przez zęby, a Irek spojrzał na nią z niesmakiem. - Gdybym żyła jeszcze raz, dawałabym każdemu chłopu, który by mi się choć trochę spodobał. Stary, młody, wsio ryba. Czemu ja taka głupia byłam? W imię czego? Na ile to świat naprawiło, co? No, powiedz!

Którejś nocy ocknął się, czując, że ktoś leży obok niego. Mirka? - nagle nieprzytomne skojarzenie, zrodzone w pięknej chwili powrotu na jawę, gdy nie bardzo wiadomo, kiedy, gdzie się jest i kim się jest. Ciepły łuk biodra, delikatna, długa miękkość nóg, tkliwość tak odległa, stracona, zapomniana, powracająca z tak głębokiej otchłani... Nagle, jak nigdy przedtem, zachciało mu się płakać.

Uniósł głowę. To Konieczny wygrzebał się z posłania i przyszedł do niego do łóżka. Przycupnął na kołdrze, czekał, aż otworzy oczy.

- Chcę opowiadać - wyszeptał.

Nie widać było jego ust. Łososiowe światło antyseptycznej lampki upiornie osiadało na czole i policzkach, resztę zostawiając w mroku.

- O czym?

- Właściwie nie mam o czym. Opowiem życiorys. - Opowiadaj.

## Opowieść Koniecznego

- W moim życiu zawsze było mało ludzi. Nawet na co dzień widywałem ich niewielu. Mieszkaliśmy w miasteczku, którego ulice zaludniały się tylko wczesnym rankiem, gdy tłum mężczyzn i kobiet pośpiesznie zmierzał na stację do olsztyńskiego pociągu, i po południu, kiedy wszyscy równie szybkim krokiem wracali z pracy. Wśród nich paradował mój ojciec, nauczyciel zawodu w Technikum Mechanicznym, milczący i zmęczony dojeżdżaniem, natomiast matka należała do nielicznych zatrudnionych na miejscu, pracowała w Wydziale Ewidencji Ludności Miejskiej Rady Narodowej.

Zajmowaliśmy niewielkie mieszkanie na piętrze poniemieckiego domu. Rodzice spali w dużym pokoju, w którym stał telewizor i piec z wiśniowych kafli, ja w pokoiku przylegającym do obszernej kuchni. Miałem tam „kołchożnik” grający cały dzień, białą szafkę na zabawki i przysunięty do okna okrągły stół, gdzie odrabiałem lekcje. Wtedy jeszcze przynajmniej pogoda stwarzała jakieś pozory naturalnego porządku, wiosny były słoneczne i jasne, lata upalne, choć nie tak jak teraz, zimy mroźne, że w piecu aż dudniło i huczało.

Do szkoły chodziłem najczęściej na drugą zmianę. Idąc zawsze pustą ulicą Pionierów, mijałem ciągnący się po prawej stronie niemiecki cmentarz. Ozdobne kiedyś i wypielęgnowane żywopłoty zdziczały i rozpleniły się w nieprzebyty gąszcz, w liściastą Liglastą magmę, wypełniającą szczelnie cały teren i napierającą na parkan, podobny do szeregu żelaznych włóczni. Tylko zimą lub późnym listopadem można było wśród płataniny nagich gałązek zobaczyć na wpół zapadnięte nagrobki z polerowanego, czarnego kamienia. Stare cmentarne drzewa szumiały ponuro, a ja ścigałem obydwoma rękami szelki tornistra i zaczynałem biec, widząc już, jak przez ogrodzenie wysuwają się trupie piszczele, chcą mnie pochwycić i wciągnąć do środka. Nigdy z chłopakami nie odważyliśmy się tam wejść. Nasz polski, zwykły cmentarz na końcu miasta, przy warszawskiej szosie, to co innego, a tu czuło się siłę odpychania, wewnętrzne dławienie i ataki słabości połączone ze strachem. Pokazywaliśmy sobie tylko z daleka szczyt neogotyckiej kaplicy, prześwitujący czerwonymi ceglami w przerwie drzew, gdzie kiedyś musiała być aleja, i opowiadaliśmy przerażające historie o ubranych na ciemno, nikomu nieznanym kobietach, które ponoć wieczorami chyłkiem rozplątywały zardzewiałe łańcuchy na bramie i których potem nikt nie

widział wychodzących z cmentarza.

W latach siedemdziesiątych zarośla wykarczowano, nagrobki wywieziono i sprzedano kamieniarzom, kaplica poszła do rozbiórki. Z boku, przy ulicy powstało kilka bloków, dalej park, gdzie między starymi drzewami bawiły się dzieciaki, a dorośli mieszkańcy wyprowadzali pieski na spacer.

Po szkole przesiadywałem zwykle u kolegów mieszkających obok, Jędrka, Staśka, Karola. Ich babki, ciotki, sąsiadki żyły przeszłością zupełnie inną od tego świata, który mnie otaczał. Powtarzały w kółko obce nazwy: Wilno, Kuczkoryszki, Porubanek, Nowa Wilejka, dla nas zupełnie bez znaczenia. Wyciągały sfatygowane pocztówki, zdjęcia dawno nieżyjących ludzi, obcych domów, placów, budowli, potrafiły godzinami mówić o najbliższych rozgrywających się tam sprawach, o pieleniu ogródka i szyciu płaszczy, o kinach, obiadach, gazetach i suszeniu grzybów. Miały własne

określenia czasu: „za Polski”, „przy Niemcach”, „przy Ruskich”. Nikt natomiast nie znał ani jednego mieszkańca naszego miasta sprzed lat zaledwie dwudziestu, nikt, choćby najstarszy, nie umiał nam powiedzieć, jak wyglądało kiedyś nasze podwórko, kim byli ci, którzy jedli, spali, kłócili się i kochali w naszych pokojach, patrzyli przez nasze okna i mieli w oczach ten sam widok, pociągali za tę samą spłuczkę w klozecie. Przeszłość przemawiała do nas w obcym języku z wyłączających tu i ówdzie spod kiepskiej farby szyldów i napisów, ze znalezionej w piwnicy pudełka po ciastkach i butelek ze znakiem nieistniejącego browaru, z mebli, na których niewątpliwie zaschły odciski palców tych, którzy je kupowali. Czasem też płatała figle. Nasze klucze nie pasowały na ich nakrętki, nasze gwinty do ich rur, nasze wtyczki do ich gniazdek. Trzeba było bebeszyć mury, wymieniać całe instalacje wodociągowe, kanalizacyjne, elektryczne. A więc nawet formy, rzeczy materialne i zewnętrzne wykluczały się wzajemnie. Mówię o tym, bo niepewność, stała konieczność odgadywania, kim się naprawdę jest, mocno na mnie wpłynęła, wiąże się też, niestety, z moimi rodzicami.

Już od pierwszych klas podstawówki uświadamiałem sobie, że są dla mnie zagadką. Urodziłem się, gdy oboje mieli dobrze pod czterdziestkę. W domach wszystkich znajomych chłopaków panował rejwach i rozgardiasz, do którego tęskniłem z całego serca. Bracia, siostry, kuzyni, dorośli wpadający na chwilę albo przesiadujący całymi dniami; ktoś coś opowiadał, żartował, gonił do roboty w ogrodzie czy poniemieckim garażu, gdzie urządzano składy węgla albo trzymano świnię. My żyliśmy tylko we trójkę, bez babć, dziadków, żadnych bliskich. Nikt do nas nie przychodził, nigdzie nie wyjeżdżaliśmy. Pamiętam jedynie dwie, może trzy wizyty starego wuja z Łęczycy, który zresztą prędko zmarł, a żadne z rodziców nie pojechało na jego pogrzeb. Moje wakacje były zawsze samotne. Koledzy spędzali je na koloniach nad morzem czy w górach, a resztę u rodziny na wsi, ja jeździłem rowerem po nieżywych od upału ulicach albo

siadałem rano pod dziką jabłunką na równie bezludnym tak zwanym małym boisku, kotlinie między dwoma rozchodzącymi się nasypami kolejowymi, wdychałem woń smoły z podkładów i patrzyłem w dal, gdzie znikła para wyslizganych szyn.

Rodzice byli całkowicie, z pełnym przekonaniem niewierzący, choć żadne nie zapisało się do partii i nie musiało tego ateizmu nikomu okazywać. Matka nie należała do tych, którzy mają do Boga pretensje, winią Go za brak powodzenia, powodowanie ludzkich cierpień, nieudane życie. Uważała po prostu, że nie istnieje. Kiedyś powiedziała mi, że zginął na wojnie pod gruzami i nie ma go, jak każdego umarłego.

Rozmawiali zawsze poważnie, prawie że oficjalnie. Nigdy nie widziałem ich kłótni, nigdy nie słyszałem od obojga ani jednego mocniejszego słowa. Lubili przebywać tylko ze sobą, nie mieli przyjaciół ani bliższych znajomych. Wieczorem pili herbatę z porzeczkami, rozwlekłe opowiadali, co zdarzyło się w pracy i o czym dziś pisze gazeta. Widzę ich też, jak skupieni siedzą przed wodnistym ekranem telewizora marki „Smaragd”, swojej dumy, symbolu materialnego dostatku, i oglądają *Kabaret Starszych Panów*, odcinek o niespodziewanym końcu lata, a potem bardzo na serio dyskutują, czy taki koniec byłby w ogóle możliwy.

Wściekała mnie wtedy ich inercja, dupowatość, sztywniać i brak jakiegokolwiek chęci do życia.

Dopiero później domyśliłem się, że wybrali ciszę, że to był odpoczynek po przedwczesnej dorosłości, w której

mroki wcale nie zamierzali mnie wprowadzać. Zauważyłeś? Wbrew temu, co pisały książki i pokazywały różne seriale, ludzie najczęściej woleli milczeć o przeżyciach z okresu wojny. Zależy pewnie jeszcze, co kto przeżył... W każdym razie nigdy nie dowiedziałem się niczego o tym czasie w ich życiu, poza tym, że poznali się w Warszawie i że nie ma już domów, gdzie mieszkali. Ja również musiałem być częścią ich wielkiego wytchnienia. Pamiętam matkę rozradowaną moimi czwórkami w szkole, jak patrzyła na mnie wzrokiem niemającym w sobie tak naprawdę niczego matczynego, żadnej troskliwości lub chociażby lęku, lecz ciągle upewnianie się, czy daję gwarancję spokoju, czy nie zajdzie nic niespodziewanego, co mogłoby zburzyć porządek tego monotonnego egzystowania.

Matka umarła, kiedy byłem na studiach, akurat w środku zimy stulecia, w siedemdziesiątym dziewiątym. Głupio, na zlekceważone zapalenie płuc. Pamiętam, że nocny pociąg utknął za Gryżlinami i musiałem brnąć do domu piechotą, sześć kilometrów po zawianej szosie.

Ojciec po śmierci matki zdziwaczał. Mieszkał jeszcze z nami jakiś czas po moim ślubie z Grażką. Milczał, zamykał się całymi dniami i wieczorami w składziku na podwórku, gdzie miał warsztat: imadło, wiertarkę, młotki i pilniki. Nie było słychać jednak odgłosów jakiegokolwiek pracy. Raz podejrziałem go przez dziurę w desce - spał po prostu, oparty głową o stół z narzędziami.



Którejś soboty w takiej samej pozycji znalazłem go tam martwego.

Wiele lat później, bodajże już w nowym tysiącleciu, oddawałem do renowacji stary kredens z pokoju rodziców. Fornirowe okładziny odłaziły i puchły ze starości, nie domykały się lewe drzwiczki, z nóg odpadały kawałki próchna.

Szkoda mi było tego pięknego mebla, miał szyby rżnięte w roślinne wzory, wysuwany marmurowy blat do trunków, rzeźbione kiście winogron i orchidee zdobiące bufet. Jeden z robotników ładujących go na półciężarówkę schylił się nagle i podał mi szorstkie od kurzu, złożone wpół i zagięte kartki papieru:

„Pan trzyma, wyleciało gdzieś spod desek albo ze schowka. W niektórych takich antykach robili schowki”.

Między kartkami była legitymacja szkolna z pieczętą VI Państwowego Gimnazjum imienia Stanisława Staszica we Lwowie, dokładnie pamiętam. Ze zdjęcia patrzyła chłopięca twarz mojego ojca, mającego dwanaście, może czternaście lat. Pod spodem figurowało zupełnie inne nazwisko.

Studia, mimo śmierci matki, przeszedłem bez zakłóceń i życiowych burz. Mieszkałem na stancjach we Wrzeszczu i na Przymorzu, uczyłem się akurat tyle, ile było trzeba, nigdy więcej, piłem wódkę raz w semestrze, po sesji. Przez całe cztery lata nie zdarzyło mi się zdawać egzaminu w „kampanii wrześniowej”, magisterkę też napisałem i obroniłem terminowo. Polityka mnie nie rajcowała, wyznawałem zasadę: Jest, jak jest. Miałem plecak i dobre buty, jeździłem na rajdy w Bieszczady i w Karkonosze, słuchałem *Jesiennej zadumy* Eli Adamiak, Wolnej Grupy Bukowina i Starego Dobrego Małżeństwa, jeszcze od liceum interesowałem się filmem. W kinach spędzałem każdą wolną godzinę, należałem też do różnych klubów dyskusyjnych, gdzie urządzano zamknięte pokazy. Siadałem zawsze w pierwszych rzędach, z zadartą głową, żeby być jak najbliżej, widzieć szczegółowo przedmioty z pierwszego planu i dokładnie plan dalszy, widzieć każdy fałd skóry, każdy grymas twarzy aktora. Pójście do kina nie było dla mnie tylko okazją do pogapienia się na perypetie

wymyślonych ludzi, na piękne kobiece ciała, coraz doskonalsze tricki techniczne. Było rodzajem podróży odbywanej naraz w przestrzeni i czasie. Jednym słowem, kupowałem kinowy bilet, żeby oddychać powietrzem pustyni, włóczyć się uliczkami Chinatown, wciągać zapach ulewy na Sumatrze i razem z Kolumbem odkrywać Amerykę. Dotknęło mnie przekleństwo tamtych czasów - miłość do sztuki za to, że stwarza fikcyjną rzeczywistość, w której na dwie godziny można się schować przed tak zwanym zwyczajnym życiem. Potem zauważyłem, że przecież chowają się wszyscy - słuchacze rocka, napaleni dyskotekowcy, czytacze Stachury, prozy skandynawskiej lub, zależnie od mody, iberoamerykańskiej. To właśnie los naszej młodości - uciekać z jednej fikcji w drugą fikcję. Uciekałem również na dwie kinowe godziny od siebie - do postaci, którymi nigdy nie mógłbym być, do twardych i bezwzględnych facetów, dla których nie tylko kogoś zabić, ale także

samemu umrzeć bez mrugnięcia okiem nie było żadnym problemem. Bywałem więc nadludzko mocny i zdecydowany jak Gene Hackman we *Francuskim łączniku* albo *Rozmowie*, oglądanej na jakimś DKFie, odważny i zaciekły jak Chuck Norris czy Charles Bronson w *Życzeniu śmierci*.

Grażkę znalazłem od dzieciństwa, mieszkała dwie ulice dalej. Latem chodziliśmy razem nad jezioro, pływaliśmy kajakiem i opowiadaliśmy sobie filmy. W czasie studiów spotykaliśmy się, kiedy przyjeżdżałem na ferie; ja przychodziłem do niej, ona do mnie. Dlatego pytanie, czy wyszłaby za mnie za męża, zabrzmiało jak najbardziej naturalnie. Odpowiedź była równie naturalna: wyszłaby; bez rumieńców i napszonych słów. Nigdy przedtem nawet jej nie pocałowałem. Pobraliśmy się. Całe dalsze życie spędziliśmy w tym samym mieszkaniu po moich rodzicach, przy ulicy prowadzącej do jeziora. Grażka pracowała w przedszkolu, ja w Banku Spółdzielczym. Po przełomie politycznym bałem się, że pójdę na bruk, jednak naszą firmę przejęło poważne polsko-Lniemieckie konsorcjum z Poznania i spokojnie doszedziałem przy swoim biurku do emerytury. Nie mieliśmy dzieci, ale byliśmy szczęśliwi. Smak życia czuliśmy szczególnie w soboty i niedziele oraz każdego dnia po szesnastej, kiedy kończyła się praca i można było wrócić do domu. Od wiosny do jesieni spędzaliśmy wieczory w ogródku, wdychając zapach koniczyny rżniętej dla królików, woń świeżo podlanych grządek, słuchając rechotu żab i dalekich odgłosów pędzących gdzieś pociągów, jednym słowem, w klimacie i nastroju, jakich doświadczyć można było tylko na peryferiach małych miasteczek. Natomiast zimą oraz przy marnej pogodzie oglądaliśmy filmy. Nie jeździliśmy za granicę, kupowaliśmy tylko najtańsze, małe samochody, ale za to masę pieniędzy wydawaliśmy na elektronikę. W dawnych czasach musiały to być telewizory i magnetowidy najlepszych firm, później najwyższej jakości monitory cyfrowe i odtwarzacze DVD, wymyślne domowe kina, wreszcie największe, najbardziej pojemne ekrany, jakie się da umieścić w zwykłym pokoju, i najdokładniejsze czytniki chipów UD. Przez prawie sześćdziesiąt lat kolekcjonowaliśmy filmy z całego świata, choć od dawna nie miało to żadnego sensu, bo przecież wszystko w każdej chwili można ściągnąć do swojego terminalu. Była to jednak nasza wspólna pasja i obsesja zarazem. Nazbierało się tego około czterech tysięcy tytułów na różnych nośnikach. Trwaliśmy tak w niezmaconym życiowym spokoju, jakby zalani po głowy ciepłą galaretką, a filmowi bohaterowie żyli za nas, wyręczali w namiętnościach i emocjach, triumfowali, żebyś

my wiedzieli, co znaczy smak zwycięstwa, stawiali wszystko na jedną kartę, żebyśmy zaznali prawdziwego ryzyka, nie skąpili nam niebezpieczeństw i fizycznego bólu, wymagali siły, zręczności, kamiennych nerwów. Pozornie siedzieliśmy nieruchomo, najwyżej mieszając łyżeczkami w szklankach albo pogryzając serowe laysy, lecz tak naprawdę walczyliśmy, chwytaaliśmy morderców, uciekaliśmy przez dżunglę, kochaliśmy i popełnialiśmy zdrady. W ten sposób wytworzyło się coś w rodzaju uruchamianej za naciśnięciem guzika wirtualnej psychiki nas obojga, gdzie żądze, marzenia, kompleksy zostają rozpisane na głosy i mają twarze Bogarta,

Costnera, Catherine Deneuve i Toma Cruise, Demi Moore i Harrisona Forda, którzy odgrywają nie wymyślone im przez scenarzystów role, ale autentyczne sytuacje z mojego i Grażki wnętrza.

W latach dziewięćdziesiątych, gdzieś na początku rządów Pawlaka, wezwał mnie kierownik i zaczął namawiać do wzięcia udziału w konkursie na program kredytowania mniejszych i średnich podmiotów produkcji rolnej. Konkurs ogłosiło Ministerstwo Rolnictwa, natomiast Izba Bankowości wszystko organizowała, rozsyłała prospekty. Stary mówił, że sprawa jest pilna, prestiżowa, że dzwonił sam wiceprezes Koszut z Poznania, któremu bardzo zależało, żeby z naszego konsorcjum napłynęło jak najwięcej prac. Wiadomo - może być udział w późniejszym ewentualnym wdrażaniu, mogą być rządowe gwarancje. Wykręcałem się, jak umiałem, nie byłem człowiekiem nowych czasów i nie lubiłem pracować ponad niezbędne minimum. Szef jednak nie dawał za wygraną, dręczył mnie ze trzy dni, nęcił premią specjalną, stawiał też argument moich studiów, ekonomiki przemysłu, które to rzekomo czyniły mnie jedynym w oddziale pracownikiem

zdolnym do realizacji tego zadania. Westchnąłem więc ciężko, przywiozłem z banku komputer, bo nie miałem jeszcze własnego, i wieczorami zacząłem się grzebać w temacie. Przez miesiąc coś tam wymyśliłem, nazwałem to programem ruchomych transz i amortyzowanych stóp procentowych, nie będę ci zawracał głowy szczegółami. Szef obejrzał projekty wraz z symulacjami, pokręcił głową, pocmokał, następnie kazał wysłać do Warszawy. Przesyłkę wyekspediowano, ja o całej sprawie zapomniałem.

Po paru miesiącach, tuż przed Bożym Narodzeniem, przyszedł faks, że mój program zajął drugie miejsce oraz że uroczyste wręczenie listów gratulacyjnych odbędzie się któregoś tam stycznia w warszawskiej siedzibie Izby Bankowości. Szef wręcz rozkazywał: „Jechać, jechać! Telewizja pana pokaże, a dla firmy to wydarzenie niezwykle! Pan zobaczy, góra pana ozłoci, ja niedługo odchodzę do filii w Elblągu, pan zostaje, więc...”

Całe święta miałem spieprzone, o niczym innym nie mogłem myśleć. Nie cierpiałem oddalać się od domu, każdy samotny wyjazd dalej niż do Olsztyna był dla mnie niewyobrażalną męką. Wreszcie nadszedł termin i po ciemku, wczesnym rankiem, zaciskając zęby z wściekłości wyruszyłem na dworzec. Bałem się jechać samochodem, nie znałem Warszawy, przerażał mnie szaleńczy ruch w mieście i dwustukilometrowe telepanie się maluchem - bisem po zatłoczonej szosie. Z pociągu rzuciłem długie, tęskne spojrzenie za odpływającym w tył czerwonym dachem, pod którym Grażka kończyła pewnie malować oczy przed wyjściem do pracy.

W Warszawie wylądowałem koło dziesiątej rano i musiałem przełazić cały dzień, bo uroczystość zaczynała się dopiero o dziewiętnastej. Nie mogłem przyjechać inaczej, nie było innego sensownego połączenia. Pałętałem się więc po brudnym centrum, wdychając smrody od kiosków z zapiekankami i lawirując między wszechobecnymi straganami - szczękami oraz polowymi łózkami z rozłożoną na sprzedaż pstrokatą tandetą. Błądziłem w przejściach podziemnych, piłem kawę bez

smaku w jakiejś ponurej jadłodajni, odnalazłem także siedzibę Izby Bankowości i dobrze zapamiętałem drogę, żeby trafić wieczorem. Nie lubiłem tego przygnębiającego, amorficznego miasta, zupełnie jak z filmowej scenografii *Roku 1984*. Byłem tam tylko kilka razy w życiu, i to z najwyższej konieczności. Coś mnie zresztą zawsze stamtąd wypychało, zniechęcało, przyprawiało o ból głowy. Może to ojciec i matka zza grobu strzegli swojej nieprzeniknionej tajemnicy?

Na uroczystość dotarłem zmęczony, cuchnący potem, z koszulą przyklejoną do pleców i smętnie zwisającym krawatem. Przemawiał minister rolnictwa, po nim prezes Izby Bankowości, stojące półkolem wygalowane towarzystwo z całej Polski biło brawo, reporterzy robili zdjęcia, raziły oczy telewizyjne lampy. Wreszcie przedstawiono zwycięzców i rozpoczęto wręczenie dyplomów. Prezes zapowiedział także niespodziankę, o której nie wspominało zaproszenie, mianowicie gratyfikację pieniężną, jako że: „Za słusznym byznosem winna iść słusznna zapłata”. Najpierw wywołano zwyciężczynię, studentkę SGH, później jeszcze jakiegoś faceta, no i usłyszałem swoje nazwisko. Przeszedłem sztywno przez połać śliskiego, błyszczącego parkietu, mokrą ręką uściśnąłem kilka suchych dłoni i odebrałem, co mi podano. Do ozdobnej koperty z dyplomem dołączona była koperta mniejsza, całkiem zwyczajna. Korciło mnie, żeby otworzyć. Ponieważ nie wypadało tego robić na oczach innych, więc boczkiem przesunąłem się za plecami do ubikacji. Rozrywam niecierpliwie, a tam... Matko jedyna! Sześćdziesiąt milionów złotych! Starych, rzecz jasna. Nie żaden czek, nie żaden dowód wpłaty czy przelewu, ale sześćdziesiąt milionów w żywych, dwumilionowych banknotach!

Bardziej się zdenerwowałem, niż ucieszyłem.

Co zrobić z taką forszą o wpół do dziewiątej wieczorem w środku Warszawy, kiedy wiadomo, że biją, rabują, potrafią poderznąć gardło dla marnych dwustu tysięcy na gorzałę, jak wczoraj czytałem w „Wyborczej”? Przecież tylu ludzi przed chwilą widziało, że dostałem pieniądze!

Przed oczami miałem już sceny napadów. Łapska jak bochny chwytały za klapy i przyciskały do muru, ostrze noża błyskało w świetle latarni i dotykało mojej szyi. Albo też inaczej: bito mnie w oszalałym amoku, ciosy pięści spadały na szczęki i skronie, ledwo zdołałem zasłonić twarz, a w brzuch wbijało się kolano twarde jak taran. Potem półprzytomnego, pokrwawionego wyrzucano z samochodu przy śmietniku, na zapleczu jakiejś spelunki, gdzie w kałużach błota migwały odbicia na wpół zepsutych neonów.

Miętosilem bezradnie plik banknotów. Co zrobić? Co zrobić u czorta - diabła?! Nie mogę włączyć się po nocy z taką forszą, ciarki mnie przechodziły na samą myśl o tej ohydnej miejskiej ciemności, w której czają się pięści i twarde glany gotowe do ciosów. Znaleźć jakąś czynną pocztę, wpłacić! Ba, książeczki nie wziąłem, numeru konta nie pamiętam. Wysłać przekazem do domu, niech sobie kosztuje, ile chce, pal pies! Ale gdzie ta poczta? Kogo zapytać? Jak dojechać?

Tymczasem przed kibelem, przy popielniczkach czekali na mnie faceci z jury. „Pan pozwoli, kolego, ważne osoby się niecierpliwią, bankiet się zacznie bez pana!”

Chcąc nie chcąc, musiałem przejść do sali bankietowej. Długi stół, szynki, połędwice i ryby na liściach sałaty, baryłka piwa wareckiego, sophia czerwona i biała, szampan, naokoło kółeczka pań i panów z kieliszkami w rękach. Ktoś ciągle czegoś chciał. Poznałem osobiście ministra i przez kwadrans musiałem z nim głądzić o niczym, następnie jakiś dyrektor departamentu przekonywał co do własnych prognoz giełdowych, później, pijąc wino, rozmawiałem jeszcze z dyrektorami banków i delegatem Ministerstwa Finansów, wreszcie dziennikarz „Gazety Ekonomicznej” zaciągnął mnie do kąta i godzinę indagował o najdrobniejsze szczegóły moich projektów. Z rosnącym przerażeniem patrzyłem ukradkiem na zegarek. Godzina odjazdu ostatniego pociągu nadchodziła nieubłaganie, wreszcie minęła. Było około jedenastej, kiedy towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Jakiś wyższy urzędnik o twarzy znanej z telewizji podwiózł mnie na dworzec.

Tu musiałem czekać do trzeciej nad ranem. Centralny dworzec w sercu stolicy sporego europejskiego kraju ział pustką jak splądrowany sarkofag. Naprzeciw, Alejami, ciągnęły jeszcze rzędy samochodów, świeciły się reklamy i wystawy sklepowe, ale tuż obok, z ciemnych zakamarków pomiędzy zamkniętymi na noc straganami, rozlegały się pijackie nawoływania, przesuwały się punkciki zapalonych papierosów, słychać było brzęk tłuczonych butelek.

Szybko przebiegłem przez opustoszałe podziemne korytarze, bojąc się własnej sylwetki powtórzonej w szybach pozamykanych barków, sklepików, fastfoodów. Zajrzałem do podziemnej hali na bezludne perony, minąłem zalegającą pokotem kolonię bezdomnych i schroniłem się w kącie jedynej otwartej restauracji na górze. Kupiłem gazę

tę, ale nie mogłem czytać, zwitek banknotów w wewnętrznej kieszeni marynarki stawał się coraz cięższy, jakbym miał cegłę za pazuchą. Trwałem tak z duszą na ramieniu nad nietkniętym soczkiem „Aronia” aż do zbawczej zapowiedzi pociągu. Bałem się podnieść wzrok, w każdej chwili spodziewałem się, że ktoś mnie zaczepi.

Osobowy w kierunku Olsztyna wjechał wreszcie na peron. Brudny skład był prawie pusty, bez światła, za to ogrzewanie działało jak oszalałe. Wsiadłem do drugiego wagonu, szukałem miejsc, gdzie siedziałoby więcej ludzi, ale znajdowałem tylko pojedyncze, śpiące osoby. Przycupnąłem zatem w pustym, ciemnym przedziale. Nerwy miałem tak napięte, że nie czułem zmęczenia ani głodu, żołądek i pęcherz przestały pracować, nie mogłem też zmrużyć oka. Co parę minut dotykałem zawartości kieszeni. Naprawdę, strach wyzwała w człowieku zupełnie niezwykle siły.

Przyszli, gdy pociąg ruszył z Nasielska. Pamiętam oświetloną tablicę z tą nazwą. Stanęli przy oknie naprzeciw mojego przedziału i przywarli rzędem trzech tyłków do oszklonych drzwi. Zapalili papierosy, nic sobie nie robiąc z zakazu. Zmartwiałem. Usiłowałem zrozumieć, o czym

rozmawiają.

Szczekali. Rozumiałem tylko powtarzane w najprzeróżniejszych konfiguracjach słowo „kurwa”.

Pociąg nabrał pędu i stukał na spojeniach szyn. Zbliżały się czyjeś kroki, ktoś przystanął i powiedział: „Przepraszam”.

„Zwijaj, pierdzielu” - ryknęli w odpowiedzi, rozległ się głuchy odgłos, jakby mocne szturchnięcie, gruchnęła salwa śmiechu z trzech gardeł, kroki zadudniły w odwrotnym kierunku, aż ucichły gdzieś na końcu wagonu.

Jeden z facetów szarpnął gwałtownie drzwiami, wsadził łeb do mojego przedziału, ponieważ nie mógł niczego dostrzec, przyświecił sobie zapalniczką, popatrzył na mnie, nic nie mówiąc, i zasunął drzwi z powrotem.

Wcisnąłem się w kąt. Ręce drżały, dostawałem już chyba gorączki. Nie miałem pojęcia, co w tej sytuacji lepsze, wciskać się coraz głębiej pomiędzy drgające ścianki wagonu czy wstać i wyjść?

Nieoczekiwanie dla siebie wstałem, otworzyłem drzwi, wyszedłem na korytarz. Odwrócili się, zaskoczeni. Jeden z nich, chyba w skórzanej kurtce, zagroził mi drogę ręką. Schyliłem się pod przeszkodą, poszedłem do ubikacji. Usłyszałem za sobą najpierw pojedynczy rechot, a potem znów zbiorowy wybuch śmiechu.

Kiwając się na nogach w ciemności i odorze moczu, oddychałem ciężko. Czułem, że jeśli przedtem serce nie wyskoczy mi gardłem, to zaraz stanie się coś strasznego. Szli za mną, byli coraz bliżej. Stanęli po drugiej stronie cienkiego przepierzenia, naradzali się półgłosem.

Za chwilę któryś szarpnął klamką.

„Wylaż stamtąd!” - wrzasnął.

„Nie wyjdę” - upierałem się w myślach, będę tu siedział, dopóki nie przyjdzie konduktor albo ktokolwiek. Przed oczami stały mi wszystkie zapamiętane thrillery i sensacyjne filmy, zobaczyłem Hackmana i Burtę Reynoldsa w akcji, z pistoletami w dłoniach, Norrisa walącego jednego z tych łobuzów pięścią między ślepie, drugiego kopiącego w krocze, trzeciego silnym chwytem wyrzucającego przez wybite okno. Silni, zdecydowani ludzie chwytają bandziorów za łby, łamią im nosy na maskach samochodów i pokazują właściwe dla nich miejsce w gnoju. Tylko co mi z tego?

Pociąg tymczasem kołysał się, przystawał na licznych stacyjkach, a faceci wcale nie mieli zamiaru odchodzić. Zaczęli pchać drzwi. Zapałem się z całych sił. „Wyciągną mnie - pomyślałem - zażądają forsy, będę musiał dać. Całe życie sobie tego nie daruję, zdechnę ze wstrętu do siebie. Jeśli nie dam, będą bić, sami znajdą, z wściekłości zabiją, wyrzucą w biegu, będę umierał w męczarniach na torowisku gdzieś pod Działdowem”.

Decyzję podjąłem natychmiast, policzki płonęły, krew pulsowała w głowie. Kucnąłem, sięgnąłem do kieszeni. Wszystkie banknoty, jeden po drugim, szybko i metodycznie podarłem nad muszlą, namacałem nogą pedał, dokładnie, kilka razy spuszczałem wodę, której dziwnym trafem nie zabrakło w rezerwuarze.

Chyba jeszcze nigdy nie odczułem takiej ulgi. Jakbym pozbył się straszego życiowego nieszczęścia, jakby ktoś uwolnił mnie od kamienia, który musiałem toczyć. W jednym momencie minęła gorączka, ustało drżenie rąk, strach nagle przeszedł w spokojną pewność siebie.

Otworzyłem drzwi.

„O co chodzi?”

„Co za ćwok jeden! - krępy złapał mnie za rękę i pchnął z wściekłością, torując drogę do ubikacji starszemu, pijanemu tak samo jak on, z boleśnie wykręconą gębą - wujeczek chory, kiszek mu mało nie rozerwie, a ten siedzi godzinę. Drugi sracz rozwalony, z jednej strony pocztowy, z drugiej kuszetka, to co, przez okno ma robić?”

I tak lęk przed tragedią upokorzenia zamienił mi się w życiową farsę.

Nikomu oczywiście nie powiedziałem o tych pieniądzach, nigdy też ta sprawa nie wyszła na jaw. Wypłacili mi

premię specjalną, kupiliśmy za nią magnetowid SVHS, szef nie odszedł jednak do Elbląga, jak zapowiadał, nie zwolnił stanowiska. W moim dalszym życiu nic więcej właściwie się już nie zdarzyło. Kiedy myślę o przeszłości, trudno mi odróżnić rok od roku. Nie będę też mówił o Grażce, zbyt boli. Gdyby żyła, nie byłoby mnie tutaj. Nie byłoby też, gdybym po wydarzeniu w pociągu umiał żyć bez pogardy dla siebie, bo nie potrafiłem zapomnieć. Chcę teraz mieć ostatnią szansę poczucia się jak Hackman, Norris i Mel Gibson. Trzeba mi aktu odwagi. Uważasz to za głupstwo?

- Tak, uważam - odpowiedział Irek bez namysłu.

- Może masz rację.

Kiedy obudził się rano, jak zwykle od stóp do głów pokryty płynną czerwienią wschodzącego słońca, spostrzegł, że na łóżku bliżej okna nie ma znajomego, zwiniętego w kłębek kształtu. Odrzucona kołdra smętnie zwisała do ziemi, z wieszaka zniknęła szlafrok, choć na nocnym stoliku wszystko pozostało nieruszone - oprawny w skórę cyfrowy notes, tubka maści firmy Yamanouchi, kubek i pojemnik z mlekiem. Zostały też ustawione na baczność kapcie.

Zdziwił się. Konieczny miał mocny sen, nigdy nie wstawał wcześniej niż on, całe dnie mógł spędzać, leżąc, podzemuając, budząc się tylko na krótko, żeby zamienić parę słów i pochleptać mleka albo jogurtu.

Wyteżył słuch, ale nie usłyszał szumu wody w łazience. Podniósł się więc, wyszedł na

korytarz. Panowała tam wszechwładna poranna czerwień i cisza, musiało być bardzo wcześnie, bo jeszcze nawet Starościak nie zaczął swoich łamańców.

Sprawdził w ogródku i w czytelnicy, przeszedł do hallu i zajrzał nawet za oparcia skórzanych foteli - Koniecznego nigdzie nie było. Wrócił zatem zrezygnowany, nie mógł już zasnąć, postanowił pójść pod prysznic.

Wychodząc z łazienki, wpadł prosto na masywne ciało Barszczuchy. Krzątała się po sypialni, zawinęła pościel Koniecznego w płachtę grubej folii i dokładnie spryskiwała goły materac aerozolem, wydzielającym ostrą, ziołową woń. Następnie, zupełnie nie zwracając uwagi na Irka, wrzuciła do białej torby rzeczy ze stolika, drobiazgi z szafki, jakieś chustki, skarpety, płyn do ust i wodę kolońską. Nie znalazłszy już niczego więcej, zakleiła torbę, ściągnęła długie po łokieć rękawice i odetchnęła, wyraźnie zmęczona.

Patrzył na nią, nic nie mówiąc.

- No co? Przyszedł nad ranem. A ja mam obbligo od razu spełniać życzenie, zwłaszcza jeżeli zakwalifikowany i rozliczony - wypaliła tonem usprawiedliwienia. - Większość decyduje się właśnie nad ranem, po źle przespanej nocy. Dwukrotnie potwierdził, więc... nie było przeszkód.

Irek zatoczył się lekko, a potem oparł o poręcz krzesła. Barszczucha tymczasem wciągnęła niewielki wózek, do znajdującego się na nim pudła wrzuciła pozostałości po Koniecznym łącznie z pościelą i zamknęła wieko na jednorazowy zacisk.

- Co z tym? - zapytał nieswoim głosem.

- Do plazmy. Nie zostaje nic spoza protokołu.

- Niech pani zaczeka moment... - złapał ją za rękę, kiedy już wychodziła. - Może mówił coś, może coś chciał przekazać?

- A coś ty taki ciekawy? Nic nie chciał.

- Niech pani jeszcze zaczeka... A samo przejście, jak z przejściem, niech pani powie, co czuł, co robił, jak trzymał głowę. Interesuje mnie, znałem go przecież, rozmawialiśmy tyle po nocach...

Od pielęgniarki powiało oficjalnym chłodem.

- Wszystko przebiegło bez zakłóceń, nie zaszło nic szczególnego.

Wszechwłoga, który wpadł na poranną wizytę, zachowywał się tak, jakby Konieczny nigdy nie istniał. Irek zresztą ledwo go poznał, włosy zmieniły barwę na czarną, oczy błyszczały, twarz nabrała śniadego odcienia. Chodził szybkim krokiem z kąta w kąt, odbijał piłeczkę.

- Tym, przed którymi jeszcze kawał życia, nie ma co, panie Ireneuszu, tak bardzo zazdrościć - przemówił wreszcie. - Ogląda pan newsy? Nie? Może i szkoda. Alarmują, że postępuje stałe ocieplanie Ziemi, że topią się śniegi na Antarktydzie, grozi nam podwyższenie poziomu mórz i zalanie ogromnych połaci kontynentów. Gołym okiem to widać, u nas też. Nie pamiętam już, ile lat



temu była normalna zima. Owszem, jeszcze jako dzieciak bawiłem się w śniegu zwyczajnie, na podwórku, a nie w Winter Centrach, po których gówniarze od razu dostają anginy i mają zagwarantowany reumatyzm. Kiedy to mogło być? W dwa tysiące ósmym? Dziesiątym? Jeśli o porę letnią chodzi, to prowadzę na swój użytek prywatną statystykę, pan wie, panie Ireneuszu, że interesuje mnie mnóstwo różnych spraw i zjawisk pozornie niemających wiele wspólnego z medycyną, ale tylko pozornie, bo naprawdę nie ma niczego na tym świecie, co by z medycyną nie było związane. Otóż przez ostatnich szesnaście lat bez żadnego wyjątku fala upałów rozpoczynała się na początku kwietnia i kończyła się około połowy października. Przeciętna temperatura od czerwca do września oscylowała między dwudziestu dziewięciu a trzydziestu siedmiu stopniami. Spada bilans wód, przeredzają się lasy, o glebie w ogóle nie ma co gadać. A więc wszyscy biją na alarm, wróżą jak najgorszą przyszłość, snują prognozy spod znaku sznura i szubienicy. Ja też się boję, ale widzę w tych anomaliach także dobrą stronę. Może całkowicie zmienimy się pod wpływem tego słonecznego żaru, może on wypali nasze prostactwo i gruboskórność, rozbudzi w nas błyskotliwość i otwartość ludzi Południa, tak że już zupełnie w niczym nie będziemy przypominać barbarzyńców dwudziestego wieku? Jak by to było cudownie: nasza Polska kochana, czyli słońce, winnice, ciepłe morze, noce pachnące różami i jaśminem, nowi, piękni ludzie i piękne pieśni, śpiewane do rana...

Wszechwłoga wzruszył się i jak zwykle w takich sytuacjach żarliwie, głęboko westchnął:

- Moją ojczyzną jest jutro, postanowiłem więc, panie Ireneuszu, ulec marzeniom i spróbować zostać południowcem. Myślę też, bardzo poważnie myślę o zmianie nazwiska, panu pierwszemu to wyznaję. Niech pan na mnie popatrzy.

Odwrócił się do Irka przodem, jednym bokiem, potem drugim, nie przerywając odbijania piłeczki, przeszedł dwa razy długość sypialni krokiem modelki na wybiegu.

Irek jednak nie patrzył. Nie patrzył i nie słuchał. Demonstracyjnie odwrócił głowę i utkwiał wzrok w pustym łóżku Koniecznego. Wszechwłoga dopiero teraz to zauważył. Zły, że pacjent go ignoruje, przerwał swój wywód i skwitował przez zęby:

- Nie ma czemu się dziwić ani czego aż tak bardzo przeżywać. Normalne. To, na co i pan oczekuje, jest jak powołanie kapłańskie albo lekarskie. Trzeba dojrzeć.

Po obiedzie zajrzał do dwójki. Cmon wiedział już o przejściu Koniecznego. Nie wyglądał najlepiej. Twarz mu się wyostrzyła, zmaląła jeszcze bardziej, była podobna do szarej skorupki. Także czubki palców sprawiały wrażenie siności.

Poprosił Irka, żeby usiadł przy nim blisko, na brzegu łóżka.

- Więc poszedł prosto w łapy? - pytał szeptem. - Ja nie pójdę.

- Miało to być prywatne zwycięstwo nad strachem, nad słabością, nad wstydem i upokorzeniem. Całą noc opowiadał mi o swoim życiu. Zrobił kiedyś coś głupiego, teraz chciał sam siebie przekonać, że nie jest tchórzem.

- Gówno tam zwycięstwo. Jakie zwycięstwo? Prawdziwy bohater walczy z losem, a nie z samym sobą. Dlatego ja nie pójdę. Leżąc tutaj, myślałem długo i do takiego wniosku doszedłem. Chcę ci jeszcze coś powiedzieć...

Irek mocniej pochylił się nad Cmonem, tak że czuł na policzku jego płytki oddech.

- No?

- Pryskaç stąd.

- Co powiedziałeś?

- Żebyś spieprzał stąd, powinieneś spieprzać, poważnie mówię.

- Co ty gadasz? - Irek zaśmiał się cicho i stuknął w czoło. - W tym stanie? Po co? Gdzie? Jestem rozliczony i zakwalifikowany, mój dom idzie do rozbiórki, nawet modem mi zabrali, jestem nikim. Poza tym - ostatnie stadium, padłbym gdzieś pod płotem. Tu chociaż leki trochę mnie trzymają.

- Właśnie nie takie ostatnie. Majami coś tam bąkała o twoich wynikach. Nie masz wcale życia policzonego na godziny... Chodzisz, sprawny jesteś, lekarstwa zawsze można kupić. Powinieneś prysnąć, a kiedy poczujesz, że to już blisko, powinieneś jechać do leśniczówki Ustrych. Nic nie pytaj. Pogadamy jeszcze.

Cmon wyciągnął rękę do regulatora żaluzji. Zapanował półmrok. Powiedział, że jest mu zimno, że spróbuje zasnąć, i otulił się kołdrą. Nie mógł jednak spać, po paru minutach niespokojnie odwrócił się do Irka, który obiecał, że posiedzi przy nim do czasu, gdy przyjdzie Majami.

- Mam do ciebie wielką prośbę... Żebyś jutro w nocy, o jedenastej trzydzieści, wyszedł do hallu, tam gdzie fotele. Ostatnie okno po lewej jest rozhermetyzowane, można je otworzyć. Otworzysz i jeśli wyczujesz, że zwisa z niego sznurek albo linka, wciągniesz ją, odczepisz, co tam będzie przywiązane, i tu przyniesiesz. OK?

Wysłuchał wszystkiego bez słowa. „Chyba bredzi. Może niedotlenienie mózgu?” - pomyślał. Roker wyraźnie odpływał w ciemność, a Irek uświadomił sobie, że po niespodziewanej śmierci Koniecznego traci ostatniego z dwóch najbliższych sobie ludzi.

Odejście Koniecznego skomentował także spotkany na korytarzu Starościak, wycierający akurat twarz, spoconą po kolejnej turze ćwiczeń, ręcznikiem w białe grochy:

- Też nam numer wyciął! Ja rozumiem, prosta sprawa, przecież wszyscy po to tu jesteśmy, ale żeby nie przyjść,

nie pożegnać się kulturalnie, po ludzku kumplom „cześć!” nie powiedzieć? Przecież to nic nie kosztuje! Oj, niegrzeczny, niegrzeczny... A nie wyglądał, co nie?

W sali restauracyjnej zaduch gotowanego mięsa mieszał się z papierosowym dymem. Światło kościanej barwy sączyło się z mlecznych kuł pod sufitem i spływało po ścianach, pokrytych do połowy zieloną lamperią.

Ojciec jadł przy stoliku schabowego z kapustą, wypluwał dyskretnie chrząstki i odkładał je do pustego talerza po zupie.

- Siadaj, Iruś, siadaj. Przetrącisz coś pewnie? Właściwie jest tylko pomidorowa i schabowy, można jeszcze bigos zamówić, ale strach, bo to, cholera, nigdy nie wiadomo, co tam napakują.

Cień kelnera zjawił się przy stoliku, przed Irkiem wyrosły talerze z nieokreśloną, szarą zawartością. Nie interesował się nimi, nie czuł głodu, patrzył przed siebie. Za półokrągłym, zaparowanym oknem leżała niczym nierozświetlona ciemność, w rogu kilku rozmemłanych facetów piło wódkę. Krawaty kładły im się już na brzuchach, odłożyli papierosy i całowali się zaślinionymi ustami, jeden zaczynał chrypiącym basem śpiewać partyzancką piosenkę *Rozszumiały się wierzby płaczące*.

- Znowu nic nie mówisz, Iruś? Wiesz co? Weźmiemy, cholera, po pięćdziesiątce winiaku, przecież dorosły jesteś. Pada, zimno. Napijesz się, nie?

Alkohol smakował jak ślina. Ojciec po wypitym kieliszku rozluźnił się i umościł na krześle.

- Ale miałem wczoraj przygodę, niech to cholera jasna... Z Barczewa przyjechałem pekaesem do Jezioran, po kontroli w Jezioranach szedłem na pociąg do Lidzbarka. Wieczór, zimno, wiatr wieje, dworzec daleko za miastem, jeszcze trzeba, cholera, koło cmentarza przechodzić. Idę i coś mi nie pasuje. Przy dworcu ciemno, nie świeci się w oknach ani na peronie, plac przed stacją pusty, kiedyś krążyli zawsze jacyś ludzie, był kiosk, stała taksówka. Podchodzę bliżej i, cholera, pod jedną jedyną zapaloną latarnią widzę, że dworzec pozabijany deskami, wybite szyby, w peronie dziury, szyny zardzewiałe i zarośnięte zielskiem. Z tego wszystkiego chciałem już, cholera, wejść do poczekalni i przesiadzieć do rana, ale drzwi nie dałem rady otworzyć. Wyszedłem na szosę i całe szczęście, cholera, jechał samochód z POMu po zaopatrzenie, inaczej musiałbym przełazić całą noc.

Zogromniał nagle, a jego lufka z dymiącym sportem stała się podobna do dymiącej lufy armatniej.

- Tak zabiliście, cholera, deskami cały nasz świat. Dwie dechy na krzyż, cztery gwoździe, żeby nic nie zostało, żeby zapomnieć, na śmietnik wyrzucić. Przecież byliśmy porządni i poczciwi, ciężko pracowaliśmy, wymagaliśmy niewiele od życia i niewiele nam było trzeba do prawdziwej radości. A wy i tak w swoich mrzonkach, pretensjonalnych marzeniach, filozofii życiowej nie wiadomo skąd rozpuściliście się jak nieboszczyk w kwasie solnym.

- I znowu pretensje, tatuś - niecierpliwił się Irek. - Co ja jestem temu wszystkiemu winien, tylko żyłem sobie. Powtarzam to i będę powtarzał.

Wcale nie chciało mu się rozmawiać, nawet kłócić, toczyć pokoleniowego sporu. Nie było już o co.

Ojciec skurczył się, zmałał. Na miejscu widelców i talerzy znalazł się segregator, bloczki druków, pieczątki i ołówki kopiowe.

- Kiedy ja wreszcie porządny obiad zjem? - zajączał. - Już mam dość hoteli, kolejowego smrodu. Żyję, cholera, w wagonach, wrastam w wagony, jestem już podobny do ścian i ławek. Tak bardzo chciałbym wrócić do domu, położyć się, wyspać się, nie chodzić, cholera, do żadnej pracy, kupić rower i jeździć na działkę, bez pośpiechu, w słoneczne poranki, kiedy się zachce, a nie kiedy trzeba. A tu jutro znowu do Bartoszyc, potem do Górowa, Sępopola, Ornety, Pieniężna... To się, cholera jasna, chyba nigdy nie skończy...

Wstał, z krzesła obok zabrał teczkę, ubrał się i wszedł na schody prowadzące do hotelu. Ze stopni machnął po swojemu ręką w geście pożegnania.

- Jak chcesz, Iruś, to chodź ze mną na górę. Będzie fajno, mieszankę wedlowską w Jezioranach dostałem. Jak nie chcesz, to zostań.

Ortalionowy płaszcz z paskiem zwisającym swobodnym półkolem poniżej pleców zniknął w prześwicie wąskiego hotelowego korytarza.

Nie miał pojęcia, jak potraktować prośbę Cmona. Mogły to być majaki ciężko chorego człowieka albo też głupia podpucha, żart; a rola staruszka do żartów zupełnie mu nie odpowiadała. Nie mógł jeszcze raz pogadać z nim na osobności, bo przez całą noc siedziała w dwójce Majami, za dnia natomiast słyszał stamtąd perorującego Wszechwłogę, ciągle też wchodziły i wychodziły różne osoby z obsługi.

Zdecydował już, że nigdzie nie pójdzie i nie odezwie się do Cmona na ten temat, ale jednak kiedy stolikowy zegar wskazał wpół do dwunastej, wstał cicho, ostrożnie zamknął za sobą drzwi i na palcach, boso, zaczął się skradać w kierunku hallu. Na miejscu było ciemno, solidne oparcia foteli srebrzyły słabe księżycowe smugi. Stanął przy ostatnim oknie po lewej i zaczął je sprawdzać, uderzając lekko otwartą dłoń. Rzeczywiście, dolna część, kiedy nacisnął mocno, dała się uchylić. Uderzyło go gorące powietrze; mimo nocnej pory, na dworze musiał jeszcze panować upał. Poczuł aromat tej gorącej fali, niosła powiewy i zapachy budzące tęsknotę, naturalne, rzeczywiste, nie takie jak na Oddziale O-L i w całym Szpitalu Nieustającej Pomocy, gdzie pozornie przyjemny chłód ma w sobie posmak wnętrza otwartej lodówki.

Przesunął palcami po parapecie, ostrożnie, po omacku, najpierw w jedną, potem w drugą

stronę. To nie były żadne jaja! Pod palcami wyczuł jak najbardziej autentyczny, śliski i naprężony sznurek. Delikatnie zaczął wciągać go do środka. Ciężar twardo obijał się o ścianę, tak że co chwila musiał przestawać, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Wreszcie ładunek zachrobotał o okno. Wyciągnął rękę i poczuł chłód szkła.

Była to... butelka wina z przyklejonym taśmą szczyrykiem. Prędko wsunął ją pod szlafrok, sznurek wsadził do kieszeni.

- Masz? - zapytał z niepokojem Cmon, gdy stanął w drzwiach.

Kiwnął głową, podniósł butelkę do światła, obejrzał etykietę i pokazał Cmonowi. Czerwone bordeaux, *Chateau du Bousquet* z Cotes de Bourg.

- Może być. Właśnie takie lubiłem. Nie należy do najdroższych, ale jest w miarę lekkie i w miarę wytrawne, bez przesady z garbnikami. No i, rzecz jasna, merlot, dziki, krwisty bukiet osiemnastego wieku, nie żaden tam ugrzeczniony cabernet - Cmon starał się podciągnąć bezwładne nogi, żeby usiąść wyżej i wygodniej.

- Ty chcesz to pić? Tutaj? Teraz? Nie boisz się... o siebie?

Rocker zachichotał:

- Jak nie tu i teraz, to gdzie i kiedy? A bać się? Czy będąc w tym miejscu, można się jeszcze czegoś bać? Nie gadaj tyle, otwieraj! Ja przecież nie dam rady.

- A Majami?

- Spoko, nie przyjdzie. Wyjechała z chłopakiem na weekend, dzisiaj piątek.

Irek czuł, że wplątuje się w coś niedobrego, miał nawet zamiar wyjść i zawiadomić Środę Popielcową, którą widział w dyżurce. Na razie jednak bez słowa wkręcał korkociąg. Poszło mu to nadspodziewanie sprawnie, soczyste cmoknięcie korka rozległo się na cały oddział i pewnie zostałyby zauważone, gdyby ktokolwiek spodziewał się tu takiego odgłosu.

- Widzisz, jaką masz parę? - komentował Cmon. - Co tu porównywać ciebie do mnie albo do innych półdenatów, nawet do Starościaka.

Pili ukradkiem, nalewając pod kołdrą do płaskich szklanek od mycia zębów. Wino spływało do spustoszonych organizmów rzeką świeżości, przypominającą, że jeszcze żyją, są ludźmi. „Wino ucłowiecza” - taka sentencja przyszła Irkowi do głowy, bo smakowało mu jak mało kiedy przedtem, przynosiło lekkość, ciepło i spokój. Obydwaj wkrótce zapomnieli, że grzeszą przeciw najradzykalniej przestrzeganym szpitalnym przepisom.

- Przecież mówiłeś, że twój organizm nie toleruje alkoholu - zauważył Irek, rozlewając następną kolejkę.

- Kiedyś nie tolerowałem, teraz to co innego.

Oczy im zapłonęły, języki się rozwiązały, ale Cmon, opowiadający już o bliźniaczkach, z których jedna sypiała z Kotłowym, a druga z ojcem Kotłowego, docentem - saksofonistą, nagle

spoważniał, odstawił niedopitą szklankę i cicho poprosił, aby wyciągnąć mu poduszki spod pleców, ułożyć płasko, bo poczuł się trochę gorzej.

- Teraz słuchaj, co mówię, i nie przerywaj - zachrypiał nieswoim głosem. - Wszystko zrozumiałem. Pryskaj stąd, spieprzaj jak najprędzej. Może umrzesz za miesiąc, może za dwa, może za pół roku, ale będziesz sobą, a nie bezwolnym śmieciem, który niszczy się sam, żeby oczyścić świat z siebie i takich jak on dla nowych, pięknych ludzi. Kretyństwo, nie ma żadnych „nowych ludzi”, ludzie są zawsze tacy sami, niezależnie od fryzur, strojów, jakie noszą, i maszyn, jakich używają. Ja już stąd nigdy nie wyjdę...

- Bzdury opowiadasz, nie jest przecież najgorzej - Irek odruchowo usiłował zaprzeczyć, tak jak się za dawnych czasów pocieszało osoby śmiertelnie chore, choć przecież tu, na Oddziale O-L, nie miało to żadnego znaczenia i śmieszyło.

- Nie zawracaj głowy, nie przerywaj mi, bo mogę nie zdążyć... Wiem, co mówię. A więc ja już stąd... - jeszcze bardziej ściszył głos i trzeba się było pochylić. - W dużej łazience, tam gdzie siostry kąpią niechodzących, w wywietrzniku nad bidetem jest schowany mój modem i wszystkie osobiste chipy. Musisz wsadzić głęboko łapę, leży na obudowie

pochłaniacza. Taki sposób ze starych kryminalów, nic lepszego nie wymyśliłem. Jak już dasz stąd nogę, pójdziesz na Warmińską 18, do mojego mieszkania. To stara kamienica, przebudowana na apartamenty. Wchodzi się przez podwórko, potem niebieskim wejściem na piętro, stamtąd małymi drzwiczkami jeszcze piętro wyżej. Do zamków jest chip B, można też wejść na hasło: „Paula, pierwsza żona”. Tam możesz siedzieć, jak długo Pan Bóg ci pozwoli. Nikt mnie nigdy nie rozpoznał, modem jest na nazwisko Cyncynat Oblatter, takie kupiłem, żeby się nie rzucało w oczy. Ty też nie będziesz się rzucał w oczy, jesteśmy podobni, obaj wyglądamy jak zdychające pawiany. Moja rodzina nie wie, gdzie mieszkam, nie szukają mnie zresztą, dziesięć lat temu, kiedy likwidowałem dom w Sandomierzu, powiedziałem im, że wyjeżdżam do Nepalu umrzeć, a całe pieniądze przekazuję na fundusz ratowania dorzecza Amazonki. W mieszkaniu znajdziesz, co trzeba, terminal poda ci dwa konta, z których możesz sobie korzystać. Nie są olbrzymie, ale wystarczą, na pewno... Rachunki regulują się same piątego każdego miesiąca. Zakupy zamawiaj przez City Shopping Express, na modem. Znają mnie, będą myśleli, że to ja. Rób tam, co chcesz, wszystko twoje, nie zależy mi już na niczym. Ale musisz spieprzyć, musisz dać nogę! Spać mi się chce... Będę chyba spał...

Irek wylał resztę wina z butelki do zlewu i wychodząc, przypomniał sobie o czymś:

- A...skąd to wino?

- Mam jeszcze fanów- usłyszał senną odpowiedź.

Zaraz po wschodzie słońca obudził go podchodzący pod gardło niepokój. Spał tej nocy, ale był nieprzytomny ze zmęczenia. Ramiona i klatka piersiowa drżały, zagłuszając ledwo wyczuwalne bicie serca, powieki piekły aż do bólu. Zerwał się i bosy, brodząc w czerwieni, furkocąc połamami szlafroka w głuchej ciszy, pobiegł do dwójki.

Wpadł tam z impetem i od razu cofnął się, przerażony. Uderzył go w nozdrza ostry fetor wymiocin i wółprzetrawionego wina.

Cmon leżał przewieszony przez krawędź łóżka, z poduszki, prześcieradła i siennika ściekała na dywan fioletowa, cuchnąca maź, rozlewając się w wielką, miejscami zaskorupiałą plamę. Miał otwarte oczy, usta posiniałe zapewne od niewydolności krążenia, ale też i zabrudzone winem, ruszał palcami.

- Gdzie pielęgniarka?! Czemu nikt nie przyszedł? Gdzie ten pieprzony monitoring?! - krzyczał Irek i chciał już wybiec do dyżurki, jednak powstrzymał go niski, przejmujący jęk.

Wrócił do Cmona, nachylił się, a potem usiadł. Mała twarz rockera była wyostrzona, wargi z trudem artykułowały niewyraźne zdania, trzeba było przybliżyć ucho:

- Pamiętasz, co ci powiedziałem o życiu, o dopisywaniu puent? To wszystko nieprawda. Najlepiej by było w ogóle nie umierać, żyć na/u//, pieprzyć świat, ludzi, obowiązki, skrupuły i nie oglądać się za siebie... Pyskaj stąd... Jak już będziesz czuł, że niedługo przyjdzie, jedź do leśniczówki Ustrych. Pamiętaj - Ustrych...

Irek delikatnie położył rękę na dłoni przyjaciela. Miała kruchość wyschniętego liścia, który można złamać zwykłym dotknięciem. Cmon ścisnął go, dając do zrozumienia, że nie chce, by gdziekolwiek odchodził. Przymknął powieki i leżał w milczeniu, spokojnie oddychając. W pewnym momencie spojrzął na Irka, zmarszczył czoło, wytrzeszczył oczy pełen niedowierzania, jak gdyby nagle rozpoznał w nim kogoś od dawna niewidzianego, i z takim wyrazem, z tak spiętymi rysami - pozostał.

Tymczasem poranna czerwień ustępowała i na oddziale zaczynał się normalny ruch. Ktoś wchodził do pokoju pielęgniarek, czuć było zapach kawy, rozwożono tacki ze śniadaniem. Nawiew klimatyzacji zmieniał się na chłodniejszy, tego dnia przesycony zapachem ogrodu warzywnego po deszczu.

Irek długo nie wiedział, co ma teraz zrobić. Odłożył wreszcie bezwładną rękę Cmona, drobną, rachityczną i wiotką jak rybie ości, rękę gitarzysty o zrogowaciałych opuszkach palców, i poszedł zawiadomić Środę Popielcową.

Ta wpakowała się natychmiast, prowadząc wielkie urządzenie do czyszczenia, które samoczynnie jechało za nią na kółkach, buchało parą i chemikaliami. Miała maskę i rękawice, nie odezwała się do Irka, rzuciła tylko kilka miażdżących spojrzeń, jednak widać było, jak bardzo jest zdenerwowana. Stała z boku, nie zwracając uwagi na ciało Cmona, wydała kilka komend

zniekształconym głosem. Maszyna zaczęła posłusznie pracować, długimi ssawkami zbierać zanieczyszczenia z pościeli zmarłego, wreszcie opryskiwać zwłoki jakąś bezwoną substancją.

Dopiero po tych dezynfekcyjnych zabiegach przyszedł Wszechwłoga. Potraktował Irka jak powietrze, zakręcił się nad Cmonem, błysnął intrygującym wzrokiem południowca i przyłożył zmarłemu do skroni swój czytnik. Wynik

musiał być oczywisty, bo spojrzał w górę, teatralnie rozłożył ręce i dramatycznym głosem zawołał:

- Ot i katabasis!

Potem błyskawicznie odbił piłeczkę o osłonę prysznicy, sufit, boazerię tuż nad głową zmarłego i z nienawistną miną zbliżył się do Irka.

- Nigdy nie kryłem, co jesteście warci! Imprezka, tak? Tak to nazywaliście? Nie po to tutaj przyszedł. Takie postępowanie podważa społeczną funkcję tego oddziału. Jeżeli sprawa się rozniesie, ludzie tracą wiarę we własną siłę i możliwości. Pryśnie spokój i poczucie stabilizacji. To pan, panie Ireneuszu, jest wszystkiemu winien. Pomyliłem się co do pana i co do niego też - wskazał na trupa - może dlatego, że bardziej jestem filozofem niż lekarzem. Powinienem was obu od razu umieścić w Psychiatrycznym Zakładzie Opieki Socjalnej, rzucić precz sentymenty. Proszę natychmiast stąd wyjść i wracać do sypialni!

To powiedziawszy, wybiegł, a Irek zobaczył jeszcze, że wyciąga chusteczkę i nerwowo przykłada do oczu.

Nie wyszedł jednak z dwójki, nikt go też nie wyrzucił. Dalej stał i patrzył na skute lodowatym bezruchem ciała Cmona, zmalale jeszcze bardziej, jakby zawieruszone w białych pościeliach. Na twarzy malował się grymas lekkiej, pełnej wyrozumiałości drwiny. Z tęzęjących rysów czytał także metaforę życia, które może się toczyć jak szalona kaskada przez wielkie sale, uwielbienie i podziw tłumów, przepływać przez ramiona pięknych kobiet, triumfy, poczucie siły i spełnienia, a i tak na końcu zawsze jest jakieś szpitalne łóżko oraz prosta potrzeba bliskości drugiego człowieka.

Nie wiadomo, skąd i jakim sposobem znalazł się obok ksiądz Edwin. Ukłękł przy łóżku, modlił się długo. Potem wstał z wysiłkiem, podszedł do Irka. Od ostatniego spotkania zgarbił się, szerniał, mówił tylko połową ust, sepleniał jeszcze bardziej.

- Znałem go, szluchałem. Był wielkim artystą, zniewalał tłumy, czasem mocno bluźnił. Cóż: Być Bogiem to znaczy ciszkacz gromy! Tak ktosz kiedysz napisał. Nie będzie miał źle, w niebie takich lubią.

- Bóg wiedział, kiedy po niego przyjść, sam go zabrał, wyprzedził Wszechwłogę.

Ksiądz Edwin odetchnął głęboko.

- Bóg zapłac za to. Bóg zapłac... - wzruszony mamrotał pod nosem do nie wiadomo kogo.



- Boże mój, zwyciężyłeś. Boże mój, zwyciężyłeś... chwilowo.

Mały świątek Oddziału O-L w niczym nie zmienił się po odejściu Cmona. Tylko dwójkę kilka razy porządnie zdezynfekowano i umieszczono w niej jakieś kobiety. Dni płynęły Irkowi powoli, podobne jeden do drugiego - takie same czerwone wschody słońca, poranne iniekcje doktor Gudrun, pory posiłków i martwa cisza wypełniająca długie godziny między nimi. Wkrótce zatracił ich rachubę. Nie czuł się źle, ale tak naprawdę nie czuł się wcale. DFR - B jakby przygniótł ogniska bólu kleistą masą, której ciężar odczuwał w każdym zakątku organizmu i która objawiała się beziłą zniechęcającą do wstawania z łóżka albo otępieniem niepozwalającym myśleć.

Nikogo też nie położono na miejsce Koniecznego, nie miał więc z kim rozmawiać i choć czasem tęsknił do za

mienienia paru słów, to jednak uciekał na widok Starościaka, ostatnio bardzo napastliwego, wyłuszczającego każdej napotkanej ofierze do znudzenia te same teorie na temat porządku życia i porządku śmierci.

Wszechwłoga z kolei ignorował go całkowicie. Wkraczał do sypialni z nosem w chmurach, obnosząc coraz to nowe makijaże, odbijał niebieską piłeczkę, machinalnie używał swojego czytnika i zupełnie nic nie mówił. Gdy Irek próbował zagadywać go nieśmiało, odpowiadał niechętnymi monosylabami.

Spędzając tak całe tygodnie na łóżku, w fotelu obok bądź beznadziejnie drepcząc w tę i z powrotem po korytarzu, przyłapał się na tym, że nie marzy, nie wspomina, nie pragnie. Żył, bo żył, często całe popołudnia i wieczory spędzał z wyłączonym poczuciem własnego „ja”, które do niczego nie było mu już potrzebne. Przypominał coraz bardziej wypalony pień.

Nawet ojciec nie chciał z nim gadać. Objawiał się jak zwykle na peronach nieznanymi stacji i ulicach zapyziałych miasteczek albo w obskurnych restauracjach i wilgotnych jak nory hotelowych pokojach. Machał tylko niecierpliwie ręką i natychmiast odchodził z aktówką pod pachą, ukazując zwisający półkuliście pasek ortalionowego płaszcza.

Niebawem zresztą i te ojcowskie wizyty ustały, bo zaczęły się kłopoty ze snem. U schyłku każdego dnia zwałało go z nóg niewyobrażalne zmęczenie. Oczy kłuły, pod powiekami wirowały kolorowe parasole, mrowienie w łydkach i stopach nie pozwalało siedzieć, chodzić ani stać. Kładł się więc do łóżka i natychmiast narastało wewnątrz napięcie elektryzujące wszystkie członki, budzące chorobliwą czujność i niezdolność do jakiegokolwiek odprężenia. Leżał

tak całymi nocami, długimi nocami bez końca, wpatrzony w przezierającą przez mrok bladość sufitu, pogrążony w całkowitym zobojętnieniu, bez wczoraj i bez jutra, nie przywołując żadnych obrazów, niczego nie żałując. Wydawało mu się na przykład, że Cmon i Konieczny nigdy

nie istnieli, że byli postaciami z pogranicza wyobraźni i zapomnianych lektur, że nie ma żadnych różnic między mięsistym kawałem czyjegoś życia a zmyśloną opowieścią. Czekał na wschód słońca, wypatrywał symptomów nowego dnia - pierwszych czerwonych igiełek przy górnym klimatyzatorze - jak udręczony rozbitek wypatruje na horyzoncie skrawka suchego łądu. Czekał właściwie tylko po to, żeby później zasłaniać oczy przed nadmiarem światła, zataczać się z wyczerpania, obracać w ustach suchym językiem, samotnie trwać aż do kolejnej nocy, która, jeśli nie gorsza, to będzie taka sama, jak i taka sama będzie nieskończona liczba jej siostr w nadchodzącej przyszłości.

Dlatego nie doczekawszy kresu jednej z nich, zerwał się nagle, jakby na dzwonek budzika. Niczego wcześniej nie planował, na nic nie był duchowo przygotowany.

Zielone cyfry zegara wyświetlały drugą siedemnaście.

Wsunął stopy do chłodnych bamboszy, narzucił szlafrok. Szybko przemierzył korytarz, stanął w progu pomieszczenia pielęgniarek. Dyżur miała Barszczucha. Drzemała akurat, jej zwinięta w kłębek tłusta kompleksja ledwo mieściła się na kozetce. Natychmiast jednak podniosła głowę.

- Słucham?

Irek patrzył, nic nie mówiąc. Trwało to dłuższą chwilę.

- Tak? - sama zapytała w końcu.

Znowu nie odpowiedział.

- Musisz potwierdzić. - Potwierdzam.

- Musisz jeszcze raz potwierdzić.

- Jeszcze raz potwierdzam.

Wywołała na ekranie formularz z jego nazwiskiem, zdjęciem i paskami administracyjnych kodów, wskazała okienko w dole i poleciła dotknąć kciukiem. Przeciągnęła się, ziewnęła dyskretnie, łyknęła odrobinę soku pomidorowego i spytała, czy może Irek też chce, uderzyła się przy tym dłońmi po obfitych biodrach, jakby czegoś szukając. Chodziło o kasetę z kartami chipowymi, którą zresztą zaraz znalazła na półce.

- No to idziemy! - zakomenderowała, wyciągając z szuflady zwinięte czyste prześcieradło.

Nagle stanęła jednak w pół kroku i ruchem, którego nikt by się nie spodziewał, położyła Irkowi rękę na ramieniu.

- Dlaczego akurat teraz? - jej głos zabrzmiał miękko, trudno było przypuszczać, że w ogóle umie tak mówić.

- Szczerze? - Jak chcesz...

- Znudziło mi się. Już mi się nie chce dłużej. Cholera mnie bierze, nie mogę spać, myśleć, czuć. To i tak tylko formalność, właściwie już mnie nie ma - argumentował w pośpiechu.

Posłusznie podążył za Barszczuchą. Po drodze kazała mu jeszcze oddać mocz, potem otworzyła drzwi oznaczone numerem 21 i wpuściła go do środka. Nieduży westybul załało jasne, twarde światło bezcieniowych lamp. Było tu zupełnie pusto, żadnych ławek, oszklonych szaf czy innego medycznego sprzętu, podłogę, sufit i wszystkie ściany pokrywały jednakowe białe kafelki, błyszczące, jakby polaną wodą. Zasłonił oczy, bo rozboleły go od tej bieli.

Naprzeciw wejścia znajdowały się drugie drzwi, szerokie, dwuskrzydłowe, oszklone, prowadzące zapewne do głównego pomieszczenia. Siostra zniknęła za matowymi szybami, zostawiając Irka samego. Nie bał się, serce nie było przyśpieszonym rytmem, stał i słuchał cichego szumu klimatyzacji, wdychał zapach tłoczony razem z powietrzem - teraz akurat morskiej bryzy.

Po kilku długich minutach Barszczuchą wychyliła się wreszcie i zawołała:

- Już, już! Posłane!

Wszedł nieśmiało, jak do gabinetu ważnego urzędnika, delikatnie zdjął rękę z klamki.

Ujrzał przed sobą wnętrze pięknego pokoju. Rozczarowało go swoją skromnością.

Środek zajmowało łóżko, podobne do zwykłych, znajdujących się w szpitalu, ale na nogach wysokich jak stół operacyjny i z obejmami do unieruchamiania dolnych i górnych kończyn. W ścianach umieszczono kilka wnęk, zakrytych podnoszonymi srebrnymi żaluzjami. Całości wyposażenia dopełniały dwie niewielkie szafki, elastyczne rury zwinięte za półprzejrystą osłoną, panel sterowania, z którego świeciły szafirowe diody, oraz tak zwana sucha umywalka. Również i tu królowała jako tło połyskliwa, drażniąca wzrok biel.

Barszczuchą wytrenowanymi ruchami ramion pomogła mu wgramolić się na posłanie, a kiedy już leżał płasko, z głową podpartą twardym skórzanym wałkiem, zaczęła mu przywiązywać ręce i nogi.

- To ma zapobiec gwałtowniejszym ruchom - tłumaczyła - żeby lek nie dostał się do którejś jamy ciała, tylko tam, gdzie powinien, bo będzie okropny kłopot.

- Siostro... Tyle mi naopowiadali o pięknym pokoju... Co z tymi wirtualnymi projekcjami? Plaże, góry, wymarzone miejsca... Wie siostra, mówili, że to jest, żeby było łatwiej, przyjemnie...

Barszczucha, kończąc dopinać ostatni rzemień, roześmiała się na cały głos:

I jeszcze co? Ty, mądry starszy człowiek, wierzysz w takie pierdoły? Może gdzie w Ameryce to tak, może za pięćdziesiąt lat i u nas! Ja słyszałam, że też o gołych babkach opowiadają. Chciałoby się, nie? Chyba że sama ci się podkasam - zarżała rubasznie.- Chłopy, chłopcy...To jedno to chyba nawet w grobie ze łbów wam nie wylezie.

Gderając, podniosła żaluzję we wnęce po lewej stronie i wyciągnęła stamtąd urządzenie zabiegowe. Był to ażurowy stelaż na kółkach, do którego przymocowano płaski ekran, połączony z małym, prostokątnym pudełkiem. Aparat sprawiał wrażenie mocno sfatygowanego. Kółka

piszczały, rurki stelaża obłaziły z niebieskiej farby, ujawniając, że przedtem nosiły barwę brązową, a jeszcze wcześniej żółtą. Kształt ekranu i stan jego obudowy przypominał Irkowi wiek dwudziesty.

Barszczucha rozwinęła kabel i włączyła do kontaktu. Następnie rozłożyła wysoki statyw, zawiesiła na nim pudełko, przeprowadziła od niego przezroczysty przewód do igły, którą wcześniej automatyczny iniektor umieścił w żyłę na przedramieniu Irka. Z lodówki wyjęła niewielki dozownik wypełniony rubinową cieczą i bardzo ostrożnie wcisnęła go do otworu w pudełku.

- Co to jest?

- Syntetyczna kurara. Paraliżuje układ oddechowy. Nawet nie poczujesz. Zaraz otworzę program, ma trzy etapy.

Będziesz podejmował decyzje i przechodził od jednego do drugiego. Ostatni to już jest over - leading, włącza się pompka i podaje lek. Jakby coś nie tak, wcisniesz alarm. Będę zresztą monitorować.

Podawała mu sterownik podobny do dawnej komputerowej myszy, tyle że bez kabelka i z dwoma przyciskami na TAK i NIE oraz czerwonym guzikiem alarmowym, spojrzała jeszcze raz z troską, czy wszystko w porządku, i wyszła.

Zgasły górne światła, na łóżko padał blask punktowej lampki. Ekran zamigotał, pojawiła się poważna kobieca twarz. Materiał musiał być nagrywany dawno, przynajmniej dwadzieścia lat temu, bo kobieta miała niemodny makijaż *à la* gejsza i fryzurę *fringe rick*, jakiej nikt w tych czasach już nie nosił. Mówiła wyraźnie i spokojnie:

*Za chwilę może nastąpić w twoim życiu to, co zostało wpisane w jego porządek już w momencie twojego przyjścia na świat i co dotyczy nie tylko ciebie, ale każdego bez wyjątku człowieka. Jeżeli jesteś wierzący, twoja dusza opuści odmawiające spełniania funkcji życiowych ciało i rozpocznie życie wieczne w sferze transcendentalnej, jeśli niewierzący - po ustaniu czynności organizmu pamięć o tobie zamieszka w świadomości członków rodziny, przyjaciół i znajomych. Czy decydujesz się zatem kontynuować program, w wyniku którego na własne życzenie otrzymasz śmiertelną dawkę preparatu i umrzesz? Wciśnij odpowiedni przycisk.*

Na ekranie ukazały się dwa pola, oznaczone TAK i NIE.

„Czy mają mi teraz stanąć przed oczami obrazy z całego życia? - zastanawiał się. -

Powinienem je przeglądać jak bohater literacki, wygłaszać głębokie refleksje. Nie mam przecież żadnych refleksji. Powinienem też może poroztkliwiać się trochę nad sobą, ale gdy próbuję, śmiać mi się chce...”

Próbował również wspominać. Obrazy uciekały jednak, wymykały się logice, nie układały w żadną całość. Widział strzępy: podwórko, Oluchę, jakąś jazdę samochodem po krętej leśnej szosie, Mirkę przy obiedzie, Leszka Dolińczyka, kolegę z podstawówki. Nie było w tym sensu.

„Nawet litować się nad sobą nie potrafię. Po co zwlekać?”

I nagle ogarnęła go szalona ciekawość. Uzmysłowił sobie, że oto trzyma w ręku klucz do rozwiązania na własny użytek największej zagadki ludzkości, siły napędowej kultury wszystkich epok, źródła inspirującego szeregi artystów, wizjonerów, szalonych naukowców. Pomyśleć, jeszcze tylko kilka nieznacznych ruchów palcem wskazującym, a wszystko będzie wiedział!

Nacisnął pole TAK.

Ekran zmienił kolor, napisało się na nim następne pytanie:

*Czy z pewnością rozumiesz, że jeżeli naciśniesz przycisk TAK, to umrzesz? Czy rzeczywiście rozważyłeś wszystkie ZA i PRZECIW i jesteś na to zdecydowany?*

Co byłoby przeciw? To, że jedyną realną życiową perspektywą jest perspektywa korytarza Oddziału O-L i dreptanie w kółko od końca do końca? Nie ma niczego przeciw, po tej stronie jest tylko cierpienie, bezradność, konieczność unikania luster, strach przed własnym odrażającym obrazem. A może należałoby żałować świata? Owszem, żałuje słońca, młodości, ale nigdy zgiełku, którego już od dawna nie rozumie, walących się domów i rejonów socjalnych, religii zmienionej w cyrkowe widowisko, migotliwego stylu życia, za którym nie nadąży.

Przypomniał mu się refren starego przeboju Cmona, który na życzenie Koniecznego rocker zaśpiewał w dwójce, wystukując rytm łyżeczką o talerz:

*Nie chcesz iść na całość? To idź na połowę!*

*Światem rządzi szmalec i narządy płciowe!*

Drugi raz nacisnął TAK.

Na ekranie wyświetliła się teraz czarna tapeta i pulsujący złotymi gotyckimi literami napis:

*Jeśli naciśniesz przycisk z napisem EXIT, preparat zostanie ci podany w ciągu W sekund.*

Nie zwlekał. Nacisnął bez namysłu, wyciągnął się wygodnie, na ile pozwalały wiązania rąk i nóg, przymknął oczy. Czekał. Pomyślał o Mirce, o lesie nad Jeziorem Plusznym, o lekkim czerwcowym wietrze znad wody, zapachu *rozgrzanych* liści, miękkości trawy, o ludziach przyjemnych i dobrych, których spotkać może najwyżej TAM, co już za chwilę się stanie.

Czekał coraz dłużej i nie stawało się.

Minęło z pewnością więcej niż dziesięć sekund i nic się nie działo, niczego nie odczuwał. Z zamkniętymi wciąż oczami policzył dla pewności do piętnastu, potem jeszcze raz - i w dalszym ciągu nic.

Spojrzał na ekran. Napis przestał pulsować, trwał nieruchomo. Próbował ponownie wciskać EXIT. Bez rezultatu. Potrząsnął przewodem prowadzącym do dozownika. Kurara najwyraźniej nie miała zamiaru wypływać.

Barszczucha wbiegła zdenerwowana, zanim zdążył włączyć alarm. Walnęła parę razy pięścią po ekranie, że stelaż o mało się nie przewrócił, nerwowo poprawiała kable, sprawdzała wtyczki, potem kazała mu jeszcze raz klikać przyciskami. Program w ogóle nie działał,

funkcjonował tylko do ostatnich słów lektorki, potem wszystko nieruchomiało.

- Zawiesił się. Stary przecież jak diabli! Albo może pompka trzasnęła. Tyle ludzi tędy przeszło, nie ma co się dziwić. Nie konserwuje się, nie wymienia, żałuje pieniędzy, no to prędzej czy później najlepszą rzecz szlag trafia.

Próbowała coś jeszcze zrobić z mechanizmem pompki, gmerała w jej obudowie śrubokrętem, na nic to się jednak nie zdało.

W taki sposób z powrotem znalazł się w swojej sypialni numer 9. Znowu był świt broczący czerwonym słońcem, rutynowe odwiedziny doktor Gudrun, która albo o niczym nie wiedziała, albo nie zdradziła się ani słowem. Nikt inny również nie dawał do zrozumienia, że cokolwiek słyszał o jego nocnej przygodzie.

Dopiero Wszechwłoga wpadł na poranny obchód jakby nie taki jak zawsze. Nie wyglądał już na obrażonego. Zmienił też chyba zamiar zostania południowcem, bo miał tym razem złociste fale włosów nad czołem i niebieskie oczy. Kręcił się niepewnie, odbijał piłeczkę, przypatrywał Irkowi z bliska i z daleka.

- Nie znajduję słów przeprosin - przemówił wreszcie. - Czuję się, owszem, zaskoczony, ale to nie znaczy, żebym do tego rodzaju sytuacji nie był przygotowany duchowo. Natomiast pan, panie Ireneuszu, został dzięki temu wydarzeniu człowiekiem paradoksalnym. Istnieje pan fizycznie i jednocześnie nie istnieje. Naciskając EXIT, wymazał pan swój znak identyfikacyjny ze wszystkich, jakie są, rejestrów żywych osób. Od paru godzin nie ma pana na liście ewidencji ludności, w wykazach urzędu skarbowego, policji, funduszu emerytalnego, kasy chorych, banków, sklepów, gdzie robił pan zakupy. Figuruje pan, co prawda, w księdze zgonów, ale przecież pan żyje i obydwaj niewątpliwie możemy to potwierdzić. A więc *oper - leading* zawsze przynosi wolność, nawet w wypadku awarii aparatury! Zachowując pełną fizyczność, stał się pan wolny absolutnie, doskonale wyzwolony z wszelkich ziemskich więzów! Proszę mi darować tę dygresję, może to właśnie ją umieszczę kiedyś nad bramą mojego muzeum ludzkich charakterów. Mówiłem panu kiedyś, że chcę takie założyć, i wcale to nie był żart ani metafora. Powstanie. Mam bardzo konkretne plany, będę je realizował na emeryturze...

W zamyśleniu odbijał piłeczkę, a Irek jak zwykle nie wiedział, co powiedzieć. Skulił się w łóżku i zaczął narzekać, że boli go podstawa kręgosłupa. Wszechwłoga wcale nie słuchał, oprzytomniał dopiero po długiej chwili:

- Takie awarie nigdy się nie zdarzały. Co prawda, ta pani nie umiała sobie poradzić... Jedne umieją, drugie nie umieją. Urządzenie jest już naprawione, ale nie mogę, niestety, ponownie poddać pana zabiegowi. Musimy odnowić procedury. Przepisy wyraźnie mówią, że nie wolno nikogo

przeprowadzać dwa razy.

- Co to znaczy: odnowić procedury? - zaniepokoił się Irek.

- Zgłoszę najpierw odpowiednią informację, a potem trzeba jeszcze raz przejść przez wszystko, co do tej pory. Badania, rozmowy kwalifikacyjne, protokoły, pańskie rozporządzenia na przyszłość. Niestety, potrwa to jakiś czas. Dwa tygodnie, trzy. Ale przecież czuje się pan tu, w swoim nowym domu, świetnie. Wygodne łóżeczko, cisza, chłodek; można sobie poczekać!

Przez cały dzień Irek nie mógł dojść do siebie. Ręce i klatka piersiowa znowu drżały, porowata suchość wypełniała gardło i oblepiała język. Nie tknął jedzenia. Był po raz pierwszy od długiego czasu niespokojny, pobudzony, pęczniał w nim niebezpieczny bąbel emocji. Krążył po sypialni i wściekał się. Irytowała go nie tyle konieczność powtarzania tych samych testów, badań, wywiadów, co perspektywa spotkań z Wszechwłogą, z którym ponownie trzeba będzie odbywać długie rozmowy i do którego przeżywał teraz gwałtowny atak odrazy. Mełł w ustach ordynarne przekleństwa pod adresem doktora, na pewno wykrzykiwałby je z całych sił, gdyby ten stanął akurat w drzwiach.

Nie mogąc dłużej wytrzymać w pokoju, wyszedł i drobnym, szybkim krokiem spacerował w kółko z rękami założonymi do tyłu. Oddział wydał mu się nagle bardzo mały, stanowczo za mały, ściany korytarza krępowały ruchy, oplatały nogi, spowijały całe ciało. Wrażenie było tak silne, że w pewnym momencie zatoczył się i o mało jak długi nie runął na podłogę.

Przechodząc obok jednej z otwartych sal, odruchowo zajrzał do środka. Poszedł dalej, ale tknięty nieoczekiwanym skojarzeniem wrócił i zajrzał jeszcze raz.

Prawie biegiem podskoczył do łóżka, w którym zawinięty po szyję spoczywał ktoś o znajomych rysach.

- Babilon?! Ty? - twarz wydłużyła mu się ze zdziwienia. - Ty tutaj?

Towarzysz ze Szpitala Nieustającej Pomocy leżał, podłączony rurami i przewodami do ustawionej w nogach białej skrzyni, migocącej kontrolną lampką. Poznał go natychmiast.

- Sajgon, kurczę mać! Załatwili mnie - jęknął odmienionym, wysokim głosem. - Jak już poszedłeś, robili mi nowe kompleksowe badania. Wszystko, nie tylko odczyty; sondy, wycinki skóry, kod genetyczny. Znowu nic nie pasowało,

kurczę mać. Wszechwłogą za łeb się łapał. Każdy wynik - jak od innego człowieka, i to jeszcze na co innego chorego. Trzydzieści lat temu miałem wyleczonego AIDSa, myślałem, że może to coś z tym, ale mówili, że na pewno nie. Wreszcie Wszechwłogą stwierdził rozstrój całego organizmu, powiedział, że mam glejaka, przeprowadził symulację tego, co będzie ze mną przez trzy następne miesiące. Jak mi pokazał, to od razu się zgodziłem. Kurczę mać, żebyś ty zobaczył... - zamilkł, westchnął przez nos. - Wiesz, gdzie ten piękny pokój? Ty tu przecież już dłużej jesteś... Powiedz mi, bo takie bzdury gadają.

Irek chciał wykrzyknąć, że nie tylko wie, że nawet tam był. Ugryzł się jednak w język.

- Tu, niedaleko. Drzwi z numerem 21, zaraz po prawej.

- A jak oni to... No, żeby gościa, kurczę mać, tego... Na pewno wiesz.

- Możesz się zgłosić, kiedy chcesz. Aleja niczego nie wiem, bo od czasu, jak tu jestem, nikt się nie zgłosił. Do tego chyba bardzo rzadko dochodzi. Naprawdę nic się nie dzieje, cisza, spokój, nawet przyjemnie, tak uzdrowskowe. Leż sobie, odpoczywaj.

W środku nocy dźwignął się zdeterminowany, z mocnym postanowieniem, którego już nic nie było w stanie zmienić. Na palcach, z kapciami w ręku ruszył przed siebie ciemnym korytarzem. Bezszelestnie zbliżył się do łazienki dla obłożnie chorych. Odetchnął z ulgą, była otwarta. Ostrożnie wszedł, unikając trzasków i stuków. Zapalił światło, minął pierwsze pomieszczenie z szafami na bieliznę, potem następne ze stołami natryskowymi. Nad bidetem umieszczone były w ścianie dwa wywietrzniki, zamknięte niklowanymi kratkami, ściśle przylegającymi do białej glazury. Cmon mówił o jednym. Który to ten właściwy? Jak je otworzyć?

Próbował podważyć paznokciem. Bez rezultatu, szczelina była za wąska. Rozejrzał się naokoło, łazienka lśniła czystością, nigdzie nie spostrzegł żadnego przedmiotu, który mógłby posłużyć mu za narzędzie. Rozważał, czy nie wrócić do sypialni po łyżkę. Obszukał jednak jeszcze raz wszystkie kąty i szczęśliwym zrzędzeniem losu za koszem na śmieci znalazł stary grzebień. Policzki piekły z wrażenia. Włożył grzebień pomiędzy kratki i opierając jego koniec o mur wewnątrz wywietrznika, zaczął wypychać pokrywę do przodu. Drgnęła, ale dalej siedziała mocno, grzebień natomiast giął się i nie można już było wywierać nim żadnej siły.

Odszedł dwa kroki, kombinował, co dalej. Wyciągnął czerwony pasek ze szlafroka, przeplótł go przez kratki, chwycił mocno i zapierając się nogą o ścianę, szarpnął z całej siły.

Pokrywa puściła, złapał ją w ostatniej chwili i ciężko dyszał ze zmęczenia. Pełen emocji wsadził rękę do otworu.

Niestety; obmacał środek gruntownie, dotarł do obudowy znajdującego się tam pochłaniacza pary, ale niczego nie znalazł.

Obmył twarz zimną wodą, postął trochę, oparty o umywalkę, i zabrał się do drugiego wywietrznika. Tu sprawa była trudniejsza. Pokrywę wciśnięto mocniej, grzebień pękł, metalowa krata w trakcie wyciągania wymknęła się z rąk i z brzękiem spadła na posadzkę.

Odczekał chwilę, przerażony, a potem zaczął penetrować biegnący w dół ścienny tunel. Tu również niczego nie było. Cmon musiał kłamać.

Usiadł, kompletnie zrezygnowany, na krawędzi bidetu. Pochylił głowę, ukrył twarz w dłoniach i łajał siebie za to, że tak bardzo jest naiwny i głupi. Siedział długo, bo nie potrafił zebrać



sił do powrotu.

W pewnej chwili usłyszał trzask zamka, szelest i kroki. Wzdrygnął się ze strachu, wyprostował kark.

Zajaśniały nad nim włosy Majami.

- Idziesz... - powiedziała cicho.

Bał się, jak siostra zechce teraz postąpić, że znowu raban, Wszechwłoga w całej okazałości: tyrady, wytknięcia, upomnienia, a może nawet gorsze konsekwencje, jakie mógłby dla niego mieć w zanadru. Przypomniał sobie, co doktor opowiadał o domu wariatów na Zielonej Górze, i dreszcze przeszły mu po plecach.

- Idziesz... - powtórzyła Majami i wyciągnęła z kieszeni torebkę pokrytą migocącym nadrukiem jakiegoś sklepu spożywczego. - Wiedziałam, że będziesz tu tego szukał. Zabrałam, żeby się nie zniszczyło.

W torebce znajdował się osobisty modem Cmona i dwie karty chipowe. Nie wierzył własnym oczom.

- Dlaczego pani to robi?

Lekko umalowane usta zadrżały dziwnie.

- Dla niego. Chcesz wiedzieć? Kochałam go. Jego, nie ten wiórek, który zwieźliśmy na dół do utylizacji. Prawdziwa kobieta nigdy nie kocha ciała dla ciała. Kochałam Cmona; wszystko, co napisał, co zagrał. Od małego dziecka nie rusza mnie żadna inna muzyka. Sześćdziesiąt dziewięć lat nas dzieliło, los, ten cholerny, złośliwy karzeł, nie pozwolił nam żyć w jednym czasie. Mało nie zemdlalam, kiedy go tu przywieźli. On się nawet nie domyślał.

Wzięła Irka za rękę i ostrożnie, żeby nikt nie widział, przeprowadziła do oddziałowego ogródka. Górne światła były tam pogaszone, świeciły tylko małe żarówki, ukryte w zieleni. Przez chwilę zatęsknił za długimi, spokojnymi godzinami, spędzonymi w takiej scenerii, za ciszą i świeżym oddechem letniej nocy.

Otworzyli magazyn sprzętaczek, do którego wejście zasłaniał żywopłot ze sztucznego bukszpanu. Minęli rząd odkurzaczy, półki z pojemnikami płynów do dezynfekcji i środków czystości, szafy na przybory i stanęli przed umieszczonymi w samym kącie małymi drzwiczkami z wytartym napisem „Service”.

Majami pogładziła go po policzku.

- Idź. Jesteś silny i dzielny, podziwiam cię. Tędy wyjdiesz, choć to daleko. Trzymaj się tylko brązowej linii na ścianie, dasz sobie radę.

Zamek w drzwiczkach odskoczył po wydaniu komendy głosem, buchnął zaduch zatęchłych, nieklimatyzowanych pomieszczeń. Wychodząc, Irek musiał się schylić, żeby nie zaczepić o futrynę, znalazł się też od razu na bardzo wąskich, skąpo oświetlonych stopniach, prowadzących w dół.

Schodził powoli, człapiąc kapciami, z braku poręczy macając prawą ręką chropowaty, byle jak otynkowany mur. Pokonał w ten sposób trzy piętra, na których z trudem minęłoby się dwóch ludzi, aż nieoczekiwanie schody doprowadziły go do szerszego korytarza. Było tam chłodniej, czuło się ruch powietrza, było jaśniej, umieszczone co kilkanaście metrów lampy rzucały nieruchomą, srebrną poświatę. Bez trudu dostrzegł też brązowy pas, znak szpitalnego ciągu komunikacyjnego; kłopot z tym, że korytarz biegł w obydwie strony, a on nie wiedział, czy skręcić w lewo, czy w prawo. Przypomnił sobie konfigurację budynków, położenie pawilonu Oddziału O-L wobec centralnego gmachu Szpitala Nieustającej Pomocy, i zdecydował się na ten ostatni kierunek. Długo szedł przed siebie. Czubkiem głowy nieomal ocierał się o rury różnego przekroju, wiązki przewodów, węzły instalacji, rozchodzących się do mijanych co jakiś czas bocznych korytarzy, z których wiało gorącem i suchością.

Nie bał się niczego, chociaż pomyślał, że mógłby stanąć oko w oko, brzuch w brzuch z patrolem ochrony albo stróżem obchodzącym na służbie takie miejsca. Przypomnił mu się nawet jakiś stary film, na którym strażnicy z latarkami ganiłi bandytów po identycznych wnętrzach.

Nad sobą czuł ciężar dwudziestu szpitalnych kondygnacji, wyobraził sobie pnące się w górę podłogi i sufity, setki, tysiące łóżek, setki, tysiące osobnych lęków, życiowych labiryntów, tęsknot, ataków bólu. Wszechwłoga pewnie i tu stworzyłby jakąś metaforę, Irek tego nie potrafił, wiedział jednak, że chce być daleko, najdalej, nawet za cenę najwyższą, a słowo „najwyższa” znaczyło teraz naprawdę to, co znaczyło.

Doszedł do miejsca, w którym prowadzono kiedyś niedokończone prace albo musiała wydarzyć się jakaś awaria. Na posadzce stały kałuże, niektóre nie do ominięcia, tynk był zdarty, tak że światło, padające tu z jeszcze rzadziej umieszczonych lamp, odsłaniało surowe bloki betonu. Najgorsze, że wraz z tynkiem znikła też przewodnia brązowa linia.

Korytarz rozszerzył się wkrótce w obszerne pomieszczenie. Stały tam archaiczne, dawno wycofane z użycia

drewniane biurka, kulawe, zakurzone krzesła, resztki parawanów, białych ram, zużyte fragmenty szpitalnych urządzeń niewiadomego przeznaczenia. Cały sufit zapępniały rury, w których coś dudniło, syczało, przelewało się, sprawiając upiorne wrażenie niewidzialnego ruchu i harmideru. Irek z niepokojem dostrzegł wyloty dwóch innych korytarzy, a także schody prowadzące na jakiś wyższy poziom. Ściany były obdarte i pokryte zaciekami, wszelkie oznaczenia niewidoczne. Teraz stracił już resztki orientacji i w ogóle nie wiedział, którędy iść. Usiadł na rozeschniętym krześle, odpoczywał, uspokajał się, że ma modem i w ostateczności zawsze może wejść na terminal w portierni, chociaż byłby to tragiczny, ostateczny finał jego wyprawy.

Wybrał korytarz, który wydał mu się lepiej oświetlony. Szedł pod ścianą, jego człapanie podwajało echo, którego przedtem nie słyszał i które tworzyło pozory jeszcze czyjejs obecności.

Przejście zakręcało kilka razy pod kątem prostym, dopóki nie wyszedł na szerszą przestrzeń. Okazało się jednak, że stoi na tym samym składowisku złomu i połamanych mebli, które opuścił przed kwadransem. Zaklął szpetnie. Poczuł lepkie, obezwładniające zmęczenie, otulił głowę szlafrokiem i zasnął na zakurzonej blacie starego biurka.

Otworzył oczy po półgodzinie. Nie chciał próbować szczęścia w następnym korytarzu, postanowił iść po schodach. Wspiął się na górę, tam było już przestronniej i jaśniej. Dotarł do salki wyłożonej drobną żółtą terakotą, która miejscami poodpadała, tworząc na ścianach i suficie ciemne wyrwy. Wszędzie leżały szpitalne graty, porzewiałe kaczki, stojaki ortopedyczne, puste opakowania. Wąskie przejście z kilkoma stopniami prowadziło do innej sali, rodzaju przed pokoju, zakończonego jedynymi drzwiami. Tu zauważył już świeże oznakowanie - cyfry i kolory, choć wśród nich nie było brązowego. Obok drzwi przymocowano rysunek znajomego ludzika w pizamie, tym razem kładącego wskazujący palec na wygiętych w podkówkę ustach. „Nie musisz, nie wchodź” - głosił podpis.

Irek oczywiście wszedł. Wszedł i natychmiast odruchowo cofnął się w pół kroku. Drzwi wychodziły na mały taras z błyszczącą metalicznie poręczą. Było to boczne wejście, żelazne schodki prowadziły z tarasu do obszernej, sterylnej hali, połyskującej nową glazurą i, mimo nieobecności ludzi, rzęście oświetlonej. Sporą część hali po lewej stronie zajmowało masywne urządzenie w kształcie walca kilkumetrowych rozmiarów, wyposażone w rozsuwane ogniotrwałe wrota o lustrzanym połysku. Panel kontrolny jarzył się pomarańczowymi diodami. Z drugiej strony, ustawione na wysokich i wąskich wózkach, oczekiwały w regularnym szeregu cztery tekturowe trumny.

Chcąc nie chcąc, musiał zejść na dół. Przemknął szybko koło pieca, instynktownie czując już bliskość wyjścia, przeszedł przez małe pomieszczenie, gdzie na półce stały otwarte kasety z imitacji szlachetnego drewna, każda opatrzona na wieczku tabliczką z nazwiskiem. Ułożono w nich standardowe prasowane cegielki żółtego koloru, o wymiarach dziesięć na sześć centymetrów, o jakich Wszechwłoga wspominał podczas kwalifikacji i rozliczenia.

„Tutaj widać, czym my naprawdę jesteśmy dla nowych pokoleń i nowej epoki” - pomyślał.

Dalsza droga nieoczekiwanie okazała się dziecinnie prosta. Od krematorium przechodziło się do śluzy, przez którą wywożono ze szpitala odpadki. Akurat gdy Irek nadszedł i chował się za filarem, umundurowany strażnik zamknął swoją budkę, a potem, drapiąc się po tyłku, wsiadł do windy.

Jeszcze tylko parę kroków i uderzył go gorący podmuch. Modem Cmona wskazywał godzinę trzecią zero siedem nad ranem. Mimo nocnej pory powietrze było rozgrzane, poraziło odwykłe nozdrza zmieszana wonią kurzu i sosnowego lasu. Bokiem, w cieniu, równoległe do szpaleru drzew, ruszył w kierunku ulicy. Z tego wszystkiego zapomniał nawet, że paraduje w

cytrynowożółtej piżamie i czerwonym szlafroku, a na nogach ma rozłazące się łączki, przemoczone w piwnicznych kałużach. Nawet nie obejrzał się za siebie, nie chcąc oglądać rozjarzonego światłami masywu budynków szpitala, przysłaniających ciemne niebo.

Na Warmińską 18 przyjechał około czwartej, równo ze wschodem słońca. Taksówce, którą wezwał z krzaków przy alejce prowadzącej do szpitala, kazał zatrzymać się kawałek dalej, akurat pod ruchomą tablicą, przedstawiającą Kozaka w rudych szarawarach, skaczącego przez szablę, i reklamującą klub dla gejów „Jurny Jur”. Kierowca, który początkowo ukradkiem przypatrywał się jego piżamie i czerwonemu szlafrokowi na monitorze podglądu, teraz pokiwał głową ze zrozumieniem.

Ulica była jeszcze pusta, przejechał tylko dostawczy samochód. Irek zapłacił z modemu i dyskretnie, pod ścianami, przemknął do bramy. Nie spotkał nikogo poza zajętą sobą parą w średnim wieku, głośno kłócącą się po francusku. Niezauważony, wyszedł na podwórko zamknięte z jednej strony tyłami jakiegoś wielkiego budynku, a z drugiej frontonem oficyny. Niebieskiego wejścia trzeba było poszukać, musiał obejść dom, zajrzeć za załom muru. Otworzył je, używając Cmonowej karty B. Na pierwszym piętrze łatwo odnalazł małe drzwi, jakby od jakiegoś pomieszczenia gospodarczego, na przylepionym pasku folii widniało nazwisko - Oblatter. Gdy ustąpiły, zobaczył niewysokie schody, a u ich szczytu kolejne drzwi, za którymi otwierało się już właściwe królestwo Cmona.

Była to wąska kuchnia, taras obudowany odbłaskowym szkłem, łazienka przystosowana dla osoby korzystającej z wózka i dwa obszerne, jasne pokoje. Jeden z nich służył do spania, znajdował się tam też terminal z wiszącym ekranem, drugi pełnił funkcję pracowni muzyka. Irek obejrzał sześć gitar stojących na podstawkach, skomplikowany keyboard o poczwórnej klawiaturze, górę integralnych urządzeń wzmacniających i odtwarzających. Przyrzekł sobie, że przez szacunek nigdy nie dotknie instrumentów. „Niech zachowają święty ślad ręki” - powiedział cicho i zaraz parsknął śmiechem, myśląc o reakcji rockera na takie słowa.

Całe wnętrze nie nosiło żadnego indywidualnego piętna, żadnego śladu osobowości artysty, składało się z rzeczy nowych, nieużytych, powstało pewnie w ciągu jednego dnia wskutek realizacji zamówień w kilku magazynach różnych branż. Było za to doskonale wytłumione i zaciszne - z zewnątrz nie docierał absolutnie żaden dźwięk. Kiedy tylko wszedł, włączyła się klimatyzacja, terminal zaczął pokazywać kolumny danych, których zupełnie nie rozumiał.

Nie czuł się źle, chociaż wiedział, że całą energię życia zastępują mu teraz podniecenie i napięcie. Nie ściągając zatem szpitalnych ciuchów, przystąpił do załatwiania spraw o elementarnym znaczeniu. Przede wszystkim zbadał stan

kont. Cmon mówił, że nie są one olbrzymie. Jednak nigdy w życiu nie miał nawet jednej trzeciej szmalu zgromadzonego na każdym z nich. Wszedł więc do hurtowni akcesoriów medycznych i wybrał najdroższy, bezigłowy szwajcarski aparat iniekcyjny renomowanej firmy. Gorzej natomiast przedstawiała się możliwość nabycia DFR - B. Cztery kolejne apteki w ogóle nie dysponowały tym specyfikiem, w piątej, większej, oznajmiono, że jest on do zastosowania wyłącznie pod ścisłą kontrolą lekarską w warunkach klinicznych. Uganiał się tak po różnych serwerach, dopiero w jakimś zagranicznym magazynie aptecznym zaoferowano mu ten lek pod inną nazwą, za horrendalną sumę i z wymogiem podpisania oświadczenia o wzięciu na siebie odpowiedzialności za skutki jego stosowania. Podpisał to oświadczenie kodem Cmona.

Po południu, kiedy spał w czystej pościeli, znalezionej w jednej ze ściennych szaf, zamówione sprawunki dostarczono do specjalnego pojemnika w drzwiach.

Żył w mieszkaniu Cmona jak na spokojnej, bezludnej wyspie. Z czasem spokój ten coraz silniej osadzał się w nim samym. Kolejne dni upływały cicho, według jednakowego rytuału. Największych problemów nastroczał poranny zastrzyk. Z niepokojem wkładał przedramię w otwór aparatu, bojąc się, co będzie, jeśli tłoczona pod potężnym ciśnieniem dawka leku, który teraz nazywał się Proxeol, nie trafi do żyły. Proxeol był gorszej jakości niż szpitalne DFR - B, bo przez godzinę po iniekcji miewał bóle głowy i skoki ciśnienia, bolały kości, chciało mu się też wymiotować.

Później, kiedy dolegliwości mijały, najczęściej wychodził z klimatyzowanych pomieszczeń i nie myśląc o ni

czym, kładł się na tarasie, dopóki panował tam cień. Czasem przeglądał zbiory Cmona. Miał setki, tysiące płyt CD i chipów z muzyką oraz filmami. Wszystko skatalogowane, oznaczone numerami. Jako człowiek starej daty musiał mieć kolekcjonowane skarby w zasięgu ręki, móc na nie popatrzeć, zdjąć z półki, rozpakować i samodzielnie uruchomić, nie wystarczało zwyczajne ściąganie na terminal z jakiegoś serwera. Dziwne, ale w całym mieszkaniu nie było żadnych dokumentów bardziej intymnych - listów, zdjęć, papierów z dawnych lat, jakie zwykła gromadzić większość ludzi. Może trzymał je gdzieś głęboko ukryte w elektronicznej pamięci? Tam jednak Irek postanowił nie zaglądać.

Któregoś dnia przeżył atak tęsknoty do rzeczywistości. Tak jak kiedyś w domu zasiadł przed ekranem i buszował po indeksach ofert. W popularnym serwerze *Swojaki* trafił na blok reklamowy, którego obejrzenie było warunkiem bezpłatnego oglądania teleturnieju *Magiczna paleczka*. Leciała akurat reklamówka mydła „*Try more*”:

Najazd kamerą, tablica: Wydział Opieki Społecznej. Za biurkiem młody urzędnik, przed drzwiami kolejka. W przyśpieszonym tempie wchodzi, siadają, trajlują jedno po drugim: kloszard z butelką sterczącą z kieszeni, stary żebrak, hoża dziewczoja w ciąży, wysztafirowana matka z

dzieckiem na rękę i drugim obok, ziemista staruszka. Tempo coraz szybsze, postaci zmieniających się na krześle coraz więcej, wskazówka zegara pędzi naprzód, urzędnik poci się, wierci, rozluźnia krawat. Wreszcie koniec pracy. Urzędnik wychodzi do łazienki, bierze kawałek mydła, zaczyna się myć, robi to coraz szybciej, chciwiej, jak w amoku ściąga marynarkę, koszulę, spodnie. Wreszcie odwraca się, otwiera drzwi i w obłoku piany wyfruwa prosto do basenu z lazurową wodą. „Mydło «Try more» zmyje każde gówno!” - obwieszcza na koniec przenikliwy bas spoza ekranu.

Przeszedł do serwera kulturalnego ART PLUS. - Koniec z przekazami multimedialnymi, moda na książki tradycyjne! - ogłasza lektor i prezentuje wykaz nowości wydawniczych.

Irek przejrzał go bez specjalnego zainteresowania, zwrócił uwagę na tytuł tomiku poetyckiego *Opadłem* oraz kolorową okładkę jakiejś powieści, którą otworzył i której pierwsze zdanie brzmiało: *Na wzgórzu siedzi dusza szewca, między nogami trzyma garnek z rosółem.*

Więc może filmy? Tysiące, dziesiątki tysięcy propozycji, kolumny tytułów na numerowanych stronach, kolorowe przebitki anonsujące nowości, powtórki, remiksy. Jeśli jest aż taki wybór, to znaczy, że nie ma żadnego. Cmon mówił o kultowym filmie *Easy Rider*, oczywiście, wystarczy tylko nacisnąć: *Easy Rider*, reż. Dennis Hopper, USA, 1969. Popatrzył na czołówkę: motocykle pędzące po gładkiej pustynnej szosie, ryk elektrycznych gitar, młody Peter Fonda dramatycznym gestem rozbija o ziemię zegarek i dodaje gazu swojemu harleyowi. „To nie był film o nas - pomyślał. - W sześćdziesiątym dziewiątym chodziłem do szkoły w śniegowcach i pikowanej kurtce, słuchałem No To Co, oglądałem *Stawkę większą niż życie*, marzyłem o czeskim rowerze wyścigówce. To może być tylko film o naszej bezgranicznej tęsknocie, uczuciu - pokoleniowym znaku, i o świecie, którego nigdy nie zazналиśmy, bo byliśmy albo skrępowani politycznie, albo za biedni, albo za głupi”.

Pewnego popołudnia poczuł się na tyle rozluźniony i w formie, że wyszedł z domu. Zaraz tego pożałował. Upał stawał się coraz dotkliwszy, brakowało tchu, krzykliwość miasta atakowała oczy. Pojazdy szczelnie wypełniające ulice śródmieścia nieustannie zmieniały kolory, domy, gmachy publiczne też były raz żółte, raz malinowe, innym razem złociste albo niebieskie. Wszędzie, na każdym kroku królowała zmienność i nieokiełznana energia. Irek włókł się wewnętrzną stroną chodnika, jakby w obawie, że zauważy go ze swojego bertone przejeżdżający akurat Wszechwłoga. Od dawna nie widział takiego tłumu, potracali go śpieszący się gdzieś wymalowani mężczyźni, kobiety o zdecydowanych ruchach i władczych twarzach, krótko ubrane dziewczyny, wyglądające z daleka jak czarne grzyby.

Stanął, żeby odpocząć, przed sklepem z butami i w szybie wystawowej zauważył, że przygląda mu się jakaś kobieta.

- Ty?...podeszła bliżej, bezgranicznie zdziwiona.

Była zgarbiona, chuda, miała włosy pokryte odcieniem złotej miedzi, wąskie spodnie i

przydługą koszulę.

Patrzył, niczego nie rozumiejąc, i nagle jakiś dobry promień rozjaśnił mu pamięć. Tak, tylko niewyraźne strzępy: liceum, maj i drzewa na ulicy Kopernika, skrzywienie ust, ironiczny błysk cienkich, okrągłych okularów.

- Łucja?

- Co tak na mnie patrzysz, chciałeś powiedzieć: „Ty żyjesz?”

- Bo to tak, jakbyśmy się spotkali po wielkiej wojnie.

- Myślałam, że nie ma już nikogo.

- Widzisz? Jeszcze jest!

Od tej pory zaczęła odwiedzać Irka w mieszkaniu Cmona. Była poruszona, kiedy powiedział jej, czyj to dom i dlaczego go zajmuje. Siadywali na kanapie, opierali się o siebie plecami, jedząc pokrojone jabłka słuchali Simona i Garfunkela.

- Kiedyś powiedziałaś starym, że jedziesz do Ewki na wieś, a przysnęłaś do Mikołajek z tym Jackiem z IV D. Myślałem, że się wtedy zabiję, z młodością nie ma żartów. Dobrze, że musiałem już wyjeżdżać na kurs przygotowawczy...

- Żadnego wspomnienia. Proszę, nie będziemy sobie opowiadali, co robiliśmy w życiu. Nic nas nie interesują rodziny, rozwody, stresy, praca, to są wszystko zakończone sprawy. Ale masz rację, z młodością nie ma żartów, młodość i teraz potrafi dręczyć, mnie dręczy.

*My life seems unreal*

*My crime an illusion*

*A scene badly written*

*In which I must play...*

- śpiewali właśnie Simon i Garfunkel.

- Ja czuję się już bardzo stary. Nawet jest mi z tym dobrze, ale czasem, zwłaszcza kiedy zobaczę siebie w lustrze, burzy się we mnie, wybucha jakiś bunt, tłukłbym pięściami, miotał się, wył... Oczywiście potrafię to opanować.

- Ba... Nikt nas nigdy nie przygotowywał do starości. Nasza kultura wręcz uznawała ją za coś wstydliwego, jeszcze gorszego od inwalidztwa. Epoka lata miłości, wszyscy musieli być młodzi... Pamiętam stare baby postrojone w krótkie sukienki, starych facetów z kolczykami i siwymi kudłami w ogonek. Teraz to się odbija na nas, wyłazi bokiem, jak każda doktryna. Mieliśmy się buntować, nonkonformizm to nasza najważniejsza cnota. No i się buntujemy, nawet przeciw prawom natury. Dobrze, że niedługo umrzemy, bo praw tego dzisiejszego świata też byśmy nie mogli zaakceptować i tłuklibyśmy głowami o wszystkie mury. On nas też nie toleruje, zostaliśmy

już prawie sami...

- Jesteś moim ostatnim człowiekiem.

- Ty moim też - odpowiedziała.

Przychodziła wiele razy, ale nigdy nie powiedziała skąd, gdzie i z kim mieszka. Uszanował to, nie pytał, nie był natrętny. Przynosiła dobre, świeże warzywa, jakby ze swojego ogródka, niekiedy przyrządzała coś w kuchni i namawiała, żeby jadł, ale przede wszystkim słuchali muzyki i rozmawiali.

- Zastanawiałam się nad wzajemnym związkiem czasu i cielesności - mówiła na przykład. - Seks, z którego obyczajowe rewolucje robiły bożka i kulturowego demona, jest pojęciem względnym. Widziany oczami starego człowieka śmieszny i staje się nieludzki, wygląda jak dopełnianie jakiegoś idiotycznego rytuału. Wynika z tego, że czas zabija cielesność, a starość jest wstępnym etapem duchowej formy egzystencji. Śmierć nic nie znaczy, pamiętaj!

Dobre samopoczucie powoli go opuszczało. Wracały nagle, choć krótkie i niezbyt dokuczliwe ataki bólu, okresy słabości, duszność i zawroty głowy. Czekając któregoś wieczoru na Łucję, pomyślał sobie, że póki co powinien jeszcze zobaczyć dom, a przynajmniej resztki, które z niego zostały. Od tej chwili nie dawało mu to spokoju.

Osiedle leżało niedaleko, zaledwie siedem kilometrów drogi przez miasto, ale dotarcie tam teraz nie było proste. Lokalne serwisy pokazywały ulice przegrodzone betonowymi zaporami, ostrzegały przed narażaniem życia w grożących zawaleniem blokach, mówiły o budynku przy ulicy Burskiego, który rozpadł się zaledwie w dwa tygodnie po opuszczeniu przez mieszkańców.

W dzień wyprawy obudził się bardzo wcześnie, zrobił sobie zastrzyk, a po odleżeniu obowiązkowej godziny zjadł bułkę i plaster sera oraz wziął podwójną porcję witamin. Zabrał też rzeźbioną laskę Cmona, która wisiała w przedpokoju.

Autobusy dojeżdżały tylko do osiedla Nagórki, jak za dawnych czasów, kiedy kończyło się tu miasto, a dalej były już tylko pola. Wysiadł jako ostatni z kilku zaledwie pasażerów i skręcił w ulicę stromo wznoszącą się do góry. Nagórki zostały wysiedlone kilka lat temu, ale dopiero teraz, jako jedno z niewielu osiedli w regionie, objął je specjalny program Unii Europejskiej dla likwidowania zagrożeń budowlanych i przystosowywania terenów do nowej zabudowy. Teren na zachodniej stronie wzgórza, tam gdzie była kiedyś monstrualnej wielkości szkoła podstawowa i kilka wieżowców, już splantowano. Nie pozostał żaden ślad, wykopy po fundamentach wypełniono ziemią, na całym obszarze wytyczono nowe działki, które ciągnęły się aż do kościoła, nieczynnego, stojącego na pustym polu, ale już z wysokim słupem, na którym kolorowo mrugało Oko Wieczności - znak Uniwersalistów. Natomiast dalsza część osiedla przedstawiała się jako jeden wielki plac rozbiórki.

Irek szedł przed siebie i ledwo rozpoznawał znajome kiedyś miejsca. „Tu był sklep



«Hermes», tu przychodzi, tam mieszkał Przemek Wesołowski, tu ten znany prezenter radiowy...”- przypominał sobie w myślach. Nikt nie zwracał na niego uwagi, mimo że formalnie obowiązywał surowy zakaz wstępu.

Rozbiórka prowadzona była planowo, metodycznie. Najpierw wypalano dach budynku, buchał płomień i walił w niebo słup czarnego dymu. Potem robotnicy od najwyższego piętra zaczęli rozmontowywanie betonowych płyt. Zewsząd dochodził łoskot mechanicznych młotów, za pomocą laserowych pił przecinano zbrojenia. Później dźwig, pomalowany na pomarańczowo i migający ostrzegawczymi światłami, zdejmował płytę i umieszczał ją na platformie specjalnej ciężarówki. Te wielkie, bezgłośnie poruszające się potwory, zabierające po dziesięć płyt jednocześnie, sunęły jeden za drugim prowizorycznie wybudowaną drogą, prowadzącą nad skarpą aż do wzniesionej przez Holendrów przetwórni za jeziorem Skanda. Tam z kolei potężne młyny meły beton na proszek, służący potem jako materiał do budowy autostrady wschodniej. Odjeżdżały w dal ramy ludzkich losów, miejsca wzruszeń i lęków, strzępy tapet - opakowań codzienności, okienne otwory, przez które tyle oczu dziesiątki lat patrzyły na wiosenne niebo albo padający śnieg.

Gdzie indziej demontowano fundamenty, odpowiednimi maszynami wrywano z ziemi rury kanalizacyjne, gazowe, kable telefoniczne, elektryczne i telewizyjne, przeprowadzano też natychmiastową dezynfekcję pustych już wykopów poprzez pompowanie do nich cuchnącego chemicznie płynu z czerwonych cystern.

O wiele trudniejsza była rozbiórka domów wyraźnie grożących zawaleniem. Taki wieżowiec Irek zobaczył przy dawnej pętli autobusowej, obok ciastkarni. Jeden z jego szczytów stał prosto, drugi jakby słaniał się na nogach, wykręcał i jednocześnie pochylał do przodu. Część betonowych płyt oderwała się i leżała bezładnie po obu stronach budynku, inne ledwo wisiały na stalowych drutach, dach był przełamany, od jego linii aż do siódmego piętra ział potworny rozstęp ścian, budynek wyglądał jak rozdarta do połowy

kartka papieru. Tu ludzie musieli pracować z platform na długich wysięgnikach, dokonując cudów zręczności, żeby poszczególne fragmenty odcinać, a potem podwieszać pod ramię dźwigu.

Słońce przypiekało coraz mocniej, niebo zmętniało od upału jak prześwietlona klisza. Szedł jednak dalej i z leżących wszędzie, w pryzmach i pojedynczo, betonowych złomów, gruzowiska dwudziestego wieku, odczytywał czasem ledwie już widoczne, namalowane wyblakłą farbą duchowe przesłania końca minionego stulecia: „Kto ma spray, ten ma władzę”; „Spray jak czay w to mi gray”; „Lubię grzebać w dupie - Tomcio Paluch”.

Czekała go jeszcze wędrówka do dawnego osiedla, na sąsiednie wzgórze, spadającą w dół, a potem pnącą się wysoko ulicą Krasickiego. Tu było już gorąco jak na patelni. Nie dał za wygraną, szedł, omijając ustawione w poprzek ulicy betonowe poręcze.

Kompleksy budynków opleciono policyjnymi taśmami, jak wszędzie ustawiono tablice

ostrzegawcze. Jego dom nie miał już okien ani drzwi, stał ażurowy, jakby złożony z klocków. To śmieszne, wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy co tydzień przybiegali tu z Mirką i klęli z niecierpliwości, czekając końca ślimaczącej się budowy i kluczy do własnego kąta.

Obok Irka stanął facet z drugiej klatki, którego znał z widzenia ze trzydzieści lat.

- O, teraz to im szybko idzie - zauważył, zadzierając głowę. - Mają taką maszynę, tłoczą do mieszkania rozżarzone powietrze, wszystko popieleje w dziesięć minut i spokój. Podjeżdża wielki zbiornik, wsysa popiół jak odkurzacz i już, beton czysty, można rozbierać.

Ciężko przeżył wyprawę do domu, choć pozornie niczym się nie przejął. Po powrocie spał kilka godzin, bolała go później głowa, zaczęły się nudności i klucia kręgosłupa. Na dodatek tego wieczoru nie przyszła Łucja.

Nie przyszła też i następnego, i jeszcze następnego. Niepokoił się, szukał jej przez kilka dni. Chodził po mieście, wystawał przed sklepem, gdzie się spotkali. Szukałby pewnie dalej, ale zupełnie stracił siły. Czuł, że Proxeol z trudem powstrzymuje ból, nie może jednak powstrzymać coraz większej słabości i fal wysokiej gorączki. Organizm odmawiał też przyjmowania pokarmów, tolerował tylko najłżejsze rzeczy, resztę zwracał. Przestraszył się nie na żarty dopiero wtedy, gdy po takim wymiotnym odruchu spostrzegł kilka ciemnych kropeł krwi.

W pierwszej chwili rozpaczliwie chciał wracać do Wszechwłogi. Ze strachem, wiele razy biorąc do ręki modem i odkładając go z powrotem, wszedł na terminal Oddziału O-L. Na szczęście ukazała się Majami. Po ucieczce Wszechwłoga podobno wpadł w szal, Bogu ducha winnego Babilona, który nie był jeszcze zakwalifikowany, wysłał do zakładu psychiatrycznego i kazał zgłosić zaginięcie Irka na policję. Tam jednak powiedziano, że Ireneusz Słupecki na pewno nie żyje, i przedstawiono szpitalną dokumentację, wytykając przy tym bałagan na oddziale.

- Bądź dzielny- powiedziała. - Twoja córka ciągle tu wchodzi, co robić?

- Niech pani poinformuje, że... zgodnie z dokumentacją...

- Bądź sobą.

Przez tydzień nie wstawał z łóżka. Brał już podwójne zastrzyki, co utrzymywało go w stanie lekkiego oszołomienia i pobudzenia. Nie jadł, nie spał, zmuszał się tylko do picia mleka, które parę razy zwrócił, zabarwione na różowo.

Powoli dojrzewała w nim decyzja, postanowił nie zwlekać.

W sobotę rano ubrał się i wyszedł. Zostawił na stole modem Cmona, starannie zamknął drzwi, chipowe karty zniszczył i wyrzucił do kosza.

W spożywczym supermarkecie dla kobiet sieci FADRA kupił puszkę piwa „Napój cienisty” z podobizną Leśmiana, otoczoną wieńcem z chmielowych szyszek, wsadził ją do kieszeni i pojechał na dworzec autobusowy.

Czekał długo, ale w końcu złapał odpowiedni kurs. Autobus bezszelestnie sunął starą szosą

warszawską, pustą w południe, nieuczęszczaną, służącą dziś tylko mieszkańcom okolicznych wsi. Za Stawigudą skręcił w piękną, leśną drogę do Plusk i tam Irek wysiadł na samotnym przystanku. Z chłodnego wnętrza prosto w słoneczny żar, przepojony żywicą, wonią rozgrzanego igliwia.

Ścieżką prowadzącą w dół zszedł ku jezioru. Jak za dawnych czasów było migotliwe i srebrne, broniło się przed upałem ledwie zauważalną mgiełką.

Usiadł pod drzewem i pił piwo. Izotermiczna puszka doskonale trzymała chłód, który drobnymi bąbelkami drapał w podniebienie, a potem rozchodził się po brzuchu, łagodząc na chwilę gorączkę i kielkujący gdzieś głęboko ból. Nie rozmyślał, patrzył na grę słońca w koronach sosen.

- Leśniczówka Ustrych... - powtarzał.

Nagle zorientował się, że nie jest sam. Niedaleko, za większą kępą traw leżała przytulona para młodych ludzi. Kochali się przedtem albo spali w cieniu, teraz zaczęli rozmawiać.

- Nie chce mi się nawet myśleć o końcu urlopu - mówił chłopak. - Jak mogę wrócić do normalnego życia, kiedy nie umiem normalnie żyć? Mam dość serwerów, rzygam informacjami, ten cały natłok mnie oglupia, robi ze mnie nakręconą maszynkę. Chciałbym tak cały czas leżeć z tobą albo być w lesie, albo móc nie wiedzieć, co będę robił za miesiąc o piętnastej trzydziści. Pożyć z dnia na dzień, zjeść coś, czego nie ma w diecie, nie być dostępnym przez sieć o każdej porze...

- Jutro wyrzucimy modemy - rozległ się głos dziewczyny. - Decydujemy się, nie będziemy w kółko tylko o tym gadać. Od września nie idę do pracy, chcę naprawdę żyć i naprawdę się cieszyć! A teraz - do wody! Precz ze zgniłym światem!

Podnieśli się, chwycili za ręce. Byli całkowicie nadzy, zupełnie pozbawieni włosów. Wbiegli do jeziora jak do ożywczego źródła, skacząc i szalejąc tak, że w wodnych bryzgach na chwilę ukazała się tęcza.

Irek również powstał i ruszył dalej brzegiem. Szedł, chłonąc błotną wilgoć, przecinając fale woni rozgrzanego słońcem sitowia. W miejscu, gdzie otwierała się niewielka zatoczka, zobaczył rybaka z wędką, siwowłosego mężczyznę, siedzącego na pomoście zbitym z kilku desek. Zapytał o leśniczówkę Ustrych.

Rybak odwrócił głowę, wskazał na wylot leśnej przesieki, której koniec zamazywał się w dali.

- Dobrze, że pan pyta. Tędy! Trzeba tylko iść po słonecznej stronie, wtedy na pewno pan trafi.

Irek, rozkopując nogami nagrany piasek, posłusznie podążył we wskazanym kierunku.

- Ja jestem las, widzialny brat czasu - usłyszał nagle w sobie wyraźny głos. - Nic się nie zmieniam, a ty zmieniłeś się tak bardzo. Rosnę z nieskończoności w nieskończoność. Moja ciemność, moja wilgoć, moje ciche, słoneczne przestrzenie trwają obok świata. Nikt mnie do końca nie pozna, nic mnie nie dotyczy. Przeżywam poranki chłodne jak muśnięcia ust, pomarańczowe

popołudnia, srebrne, sierpniowe noce. Wiatr niesie z daleka echa wielkich eksplozji, gdzieś tam przetaczają się nawałnice wydarzeń, kwitną i gasną mody, zbiorowe histerie, ludzkie żywoty. Szosami wyrzniętymi na wylot w moim ciele pędzą mechaniczne pudła. Ich szum narasta z oddali, migają niewyraźne twarze, przykryte połyskliwym szkłem, potem ustaje, zamiera gdzieś w perspektywie, a wraz z nim polityka, namiętności, rachunki do zapłacenia - cały galimatias wypełniający te biedne, uwożone w dal głowiny. Cisza, która następuje później, jest świadectwem mojego triumfu. Nieważne, ile masz lat, gdy wchodzisz między drzewa, gdy czujesz pod butami suchy, zapadający się mech, gdy idąc, roztrącasz zaległe jedne na drugich, wytopione przez rozpalone powietrze pokłady zapachów lata. Ułóż się w zielonym świetle i patrz, bo jestem pryzmatem marzeń, przyłożonym do oka, by widzieć wszystko naraz.

Zatracił wszelką rachubę, nie wiedział, jak wiele przeszedł. Zapadał zmierzch, płynęły godziny, dalej nie mógł już iść.

Ze zdziwieniem przyjął ogromniejące niebo i dotknięcia sosnowych igieł.

Zaskoczony spojrzął pod stopy. Zobaczył, że stoi na kuli, która nieoczekiwanie zaczyna się zmniejszać. Za chwilę była to już piłeczka, ginąca w zimnym, granatowym oceanie.

Zatrzaśnięte bramy otworzyły się i poczuł słodką sytość oraz pewność Wszechwiedzy, pozwalającej ogarnąć początek i koniec, stanąć ponad czasem. Z czystej ciekawości zerknął zatem jeszcze raz pod nogi i ujrzał już tylko mały, bezludny glob, podobny do orzecha włoskiego, łudzący oczy obcych astronomów martwym światłem. Zrozumiał, że ta nikomu niepotrzebna kulka, taki śmieć właściwie, dla niego też nic już nie znaczy.

„No i, w gruncie *rzeczy*, co się stało?” - pomyślał.

Olsztyn, grudzień 1999

Bóg zapłac! jest powieścią o końcu i klęsce naszego pokolenia,  
odchodzącego ze sceny życia w obliczu zupełnie nowego świata,  
uksztaltowanego ze zjawisk, wartości, zachowań,  
których znamiona widoczne są już dzisiaj (...)  
Będzie to być może pierwsza polska powieść o Erze Wodnika.

*Włodzimierz Kowalewski*

Stały mi przed oczami fragmenty prozy Hłaski i niektóre wiersze  
Wojaczka. Kowalewski na nowo zobrazował, ożywił i przeformułował  
główne rozterki tamtych bohaterów.

*Karol Maliszewski*

Kowalewski stworzył antyutopię - przekonującą przestrożę przed ideologią doskonałości. W  
tym tkwi mądrość tej historii i jej waga.

*Przemysław Czapliński*

**Włodzimierz Kowalewski** (ur. 1956) debiutował tomikiem poezji  
*Idę do Ciebie spod sklepionego luku bramy* (1981). W 1993 roku ukazały się  
*Cztery opowiadania o śmierci*. Opublikowany w roku 1997 *Powrót  
do Breitenheide* nominowano do Nagrody Literackiej NIKE '98.  
Pisarza uznaje się za jednego z najciekawszych prozaików ostatniej dekady.  
Opowiadanie *Rude włosy nocą* ukazało się w niemieckim przekładzie.